

m a r e k t r o j a n o w s k i

Etyka i poetyka

Tom IV

Internet 2010

Roman Bromboszcz, digital.prayer.....	3
Artur Szlosarek, Święto szparagów	6
Mirka Szychowiak, Jeszcze się tu pokręcę	9
Piotr Głuchowski, Marcin Kowalski, Apte.	
Niedokończona powieść.....	13
Dominik Bielicki, Gruba tańczy	19
Jan Polkowski, Cantus	23
Magdalena Bielska, Brzydkie zwierzęta	29
Adam Pluszka, french love.....	32
Urszula Koziół, Horrendum.....	36
Wojciech Bonowicz, Hurtownia ran	41
Tadeusz Dąbrowski, Czarny kwadrat	47
Anna Piwkowska, Farbiarka	51
Marta Podgórnik, dwa do jeden.....	55
Michał Jagiełło, ciało i pamięć.....	59
Wisława Szymborska, Tutaj	64
Joanna Szczepkowska, Dzisiaj nazywam się Charles..	69
Krzysztof Cezary Buszman, Errata do świata	72
Krzysztof Mrowiec, Liryki naiwne.....	76
Jakobe Mansztajn, Wiedeński high life	79
Piotr M. Cieński, Prozak życia	89
Łukasz Gryczewski, małe wielkie Anioły	95
Paweł Koziół, metale ciężkie	101
Roman Kaźmierski, dni zimorodków	104
Rafał Grupiński, Uspokojenie	113
Piotr Matywiecki, Powietrze i czerń	118
Bożena Keff, Utwór o Matce i Ojczyźnie.....	123

Roman Bromboszcz, *digital.prayer*.

12. września Łukasz Podgórní opublikował w Internecie wiersz pt., *W imię zaznaczenia*. Tekst składa się z zaznaczonego na niebiesko pola oraz jednego zdania: „*Królowa Bona zaznaczyła ziemniaki*”. Jednym słowem – standardowy gniot, których nazbierały się całe tony w przestrzeni literackiej licząc od czasu jej powstania. Gdyby teoria Profesora Dońdy o tym, że informacja nawet ta najgłupsza posiada swoją masę okazała się być prawdziwa cytowany wiersz Łukasza Podgórnego może nie zatopiłby kultury w odmętach gówna, ale na pewno miałby swój udział w podtopieniu. Podobnie rzecz ma się z wierszami Romana Bromboszcza opublikowanymi w 2008 r., pt. *digital.prayer*

Bromboszcz Roman zanim zaczął udawać twardziela-informatyka, który w chwilach wolnych od grzebania w kodzie źródłowym przekąsi kanapkę, popije redbullem i napisze wiersz objawił się światu najpierw jako romantyk. Wyraźne ślady tej wrażliwej na piękno części duszy Romana Bromboszcza widać w Manifestie Poezji Cybernetycznej, który kiedyś tam ogłosił. Oto kilka pierwszych punktów, które wręcz urzekają bukoliczną naiwnością, z tym że zamiast pastwisk mamy „empirię” a w rolę krowy wcieliła się „filozofia”:

1. *Filozofię oświeśla sztuka, religia i technika.*
2. *Nauka to filozofia empiryczna, część filozofii.*
3. *Cisza nie istnieje empirycznie, jest idea.*
4. *Szum istnieje jako wrażenie... itp., itd.*

Wytrwali czytelnicy oraz zwolennicy tego typu haseł, które często spotyka się utrwalone różnymi technikami na tornistrach licealistów doczekają się dnia, w którym Roman Bromboszcz ogłosi wersję 3.1 Manifestu gdzie punkt 3. zmieniony zostanie na: „Milczenie jest potęgą”.

Trudno ukryć przed światem swoją prawdziwą naturę. Wiedział o tym Adolf Hitler, Józef Stalin i Marek Trojanowski. Nie wiedział o tym jednak Roman Bromboszcz. Tomik *digital.prayer* rozpoczyna się normalnie. Ściślej: zaczyna się przeraźliwie normalnie, tak normalnie jak zaczyna się tomik wierszy stworzony przez duszę zakochanej w księżycu romantyczki – niewiasty o blond włosach, kształtnych piersiach, które wieńczą sterczące brodawki, o czerwonych jak krew usta objętością dorównującym pontonom ratunkowym WOPR-u. W wierszu pt. *Bajka o Hamal*, poeta romantyczny umieści następujące topoty tak charakterystyczne dla tego rodzaju poezji:

„*gdyby można było ją spisać musiałyby się wydarzyć na łące*” – cóż może się wydarzyć na cieplej, rozgrzanej letnim słońcem łące mieniącej się tysiącem barw wszelakiego kwiecia? Czy na tym dywanie rozkoszy może się wydarzyć coś innego niżli rozkosz sama? Oto pan i pani (w innej wersji: pan i pan; pani i pani; pan i pies oraz słoik miodu; itp.) upojeni obrazem tego miejsca oddają się przyjemnością, które opisać można tylko jednym językiem – językiem melodyjnym niczym dźwięk wydobywany mistrzowskim pociągnięciem smyczka z siedemnastowiecznych skrzypiec wykonanych przez samego Antonio Stradivarięgo.

„*rannym południem nawlekać dywan mgły*” – istotę tego wersu pojąć może tylko szalenie zakochana nastolatka, która przeżywa ból rozłąki kontemplując każdy zakamarek krwiożerczego uczucia, trawiącego jej rozkochane ale jakże zawiedzione w miłości wnętrze

na krawędzi dachu wieżowca. Dziewczyna doświadczyła wszystkich dobrodziejstw pierwszej miłości, w szczególności wspólnego nawlekania mgieł na dywany, dywanów na mgły a także poranków na mgły oraz dywany. A ile razy się przy tym ukuła w mały paluszek? I gdyby nie pocałunek ukochanego... itd.

„spełnia pragnienia, o których wie tylko trawa, które pomyśleć znaczy zapomnieć” – aż chciałyby się dokończyć:

*Pójdę daleko, pójdę na łąki
Malowane złotem i rdzą
Zwierzę się wierzbom z naszej rozłąki
Wierzby wierzą szeptom i łzom*

(Szepty i łzy, z płyty **Bosa**, Anna Maria Jopek)

„z czerwonych maków byłoby komunią, jedyne który ocalał” – i podobnie jak wyżej, tutaj także serce i dusza wręcz rwą się do śpiewu. Czytelnik zupełnie nieświadomie zaczyna wystukiwać nogą rytm pieśni o czerwonych makach na Monte Cassino, które zamiast wody piły polską krew. Na szczęście natura oprócz wrażliwego na cierpienie serca obdarzyła człowieka także rozumem, który powstrzymuje nas przed aktami bohaterskiego odwetu na zaborcach i ciemżycielach narodu polskiego przebranych w unijne fatałaszkę. To kalkulujący na chłodno umysł odsuwa zemstę na bardziej dogodną chwilę. Teraz, jako naród, który tuż po Afgańczykach przoduje w uprawie maku na wszystkich polach – zaczynają od przydomowych ogródków, działek, nielegalnych polach w lesie a na niwie poezji kończąc – milczymy. Jednak nadejdzie ten czas, nadejdzie ten dzień w którym my Polacy odpłacimy im. Za dziadów, za pradziadów, za pra pradziadów. Za wolność waszą, naszą, moją, twoją. Za umęczonych pracą szwarcabajterów uciekających przed urzędnikami z Arbeitsamtu, za kanclerze Schroedera i Angelę Merkel. Oni dostaną za swoje. Przysięgamy!

Wiersz pt. *Bajka o Hamal*, Romana Bromboszcza, z którego pochodzą cytowane fragmenty kończy się następująco:

*oderwanymi od ust okrzykami piłoby rosę, nie doznane
i nas by piło do ostatniego słowa którym milkniesz i którym
leczymy się nawzajem zawiązując sobie oczy na łące
która nas nie zawraca*

buuuu, buuuuu, buuuuuuu
(PS. Te wirtualne płamy, to moje łzy)

Tomik *digital.prayer* nie jest zbiorem czułych wierszyków, w których podmiot liryczny skazany jest na nieustanne turlanie się po ukwieconych łąkach nie zważając na roznoszące boreliozę i inne groźne choroby kleszcze, kłujące osty czy ostre kamyczki. Już na stronie 12. autor postanowił „zdigitalizować” swój wiersz. Roman Bromboszcz odrzuca płaszcz, szpadę oraz gruzlicę poety romantycznego i zmienia font. Czcionka wiersza pt. *** wyglądem swoim przypomina font pierwszego polskiego edytora tekstów znanego jako TAG. Wraz z fontem radykalizuje się także przekaz wiersza. Tu próżno szukać czerwonych maków, łąk, nawlekanej mgły, rozchylonych ust. Zamiast tego Roman Bromboszcz idąc szlakiem przetartym przez James’a Camerona wskrzesza lirycznego terminatora, który bez pardonu wali w pysk. I żeby nie było: wali wszystko co się rusza:

*Prosić będę pysk
I dam wam rehotu
By był z wami
Na wiekach
Nie zostawię was stertą
Przyjdę do was*

*Doby poznaćie.
Słyszeliście
Że powiedziałem:
Odchodzę i przychodzę
Że jestem w pysku
Wy we mnie i ja w was*

[***]

Miłośnicy filmów s-f bez problemu odnajdą w tym tekście nawiązania do przygód Johna Connora. Fanom gatunku monolog: „*nie zostawię was, przyjdę do was*” – znany jest z przemówień radiowych bohatera ruchu oporu, który po ataku SKYNETU mobilizował resztki ludzkości do wspólnej walki przeciwko maszynom.

Wracając do omawianego tomiku: im dalej tym gorzej. Czcionka zmienia się w pewnym momencie na zupełnie nieczytelną (np. wiersz pt. „~ ~” na str. 15.). Ale nieczytelność wiersza jest niczym w porównaniu z brakiem czytelności na stronie 34. Tu artysta (lub wydawca) zapomniał opublikować wiersz. Strona jest pusta. Podobnie rzecz ma się ze stroną 36.

Gdyby podsumować wrażenia z lektury tomiku Romana Bromboszcza pt. *digital.prayer* – to:

- 1) Jest to książka nierówna i nieprzemyślana pod względem formalnym i treściowym. Czytelnik odnosi wrażenie, że ma do czynienia z jakąś dziwną papką a nie autorskim projektem.
- 2) Wydana jest niechlujnie – do tego formatu oraz objętości miękkie okładki pasują jak pięść do nosa.
- 3) Na stronie 40. fotka chłopaczka w sweterku z bródką i dopadniętą powieką lewego oka na tle fototapety to przesada.
- 4) Nieczytelny, dwustronicowy blurb Pawła Koziola to już szczyt groteski. równie dobrze mógłby zostać napisany hieroglifami. Skutek byłby ten sam.

Uwaga na zakończenie:

W przyrodzie obowiązuje zasada ciągłości. Nikt nie rodzi się od razu dorosłym (oczywiście za wyjątkiem Jacka Dehnela, który będąc jeszcze w łonie pouczał rodzicielkę, kiedy ta sięgała prawą dłońią po widelec a lewą po nóż, że tak nie wypada) i minie dużo czasu zanim nasionko zmieni się w dorodną roślinę. Zasada ta dotyczy także poezji. Istnieje duża grupa czytelników, którzy obserwują te okresy lęgowe, które przechodzi polska poezja współczesna od 1990 r.. W tym akurat przypadku nikt nie interesuje się bólami porodowymi – je pozostawiono historykom literatury, którzy przyjdą za kilkanaście lat. Ale gdyby w tej chwili – na podstawie tomiku Romana Bromboszcza – próbować ocenić poezję cybernetyczną to ocena byłaby jedna: Dziecinada

Artur Szlosarek, Święto szparagów

ta ta ta taaa taaaaa ta ti ta taaa taaaa
ta ti ta taaaa taaaaa taaa taa ta taaaa

*Dawno, dawno temu,
w odległej galaktyce trwa wojna domowa.
Statki rebeliantów atakujące z ukrytej bazy, odniosły swe
pierwsze zwycięstwo nad złowrogim Imperium Galaktycznym.
Podczas bitwy, szpiegom Rebelii udało się skraść tajne plany straszliwej
broni Imperium, Gwiazdy Śmierci, uzbrojonej stacji kosmicznej z siłą ognia mogącą
niszczyć planety. Ścigana przez znenawidzonych agentów Imperium, księżniczka Leia udaje
się do domu na pokładzie jej okrętu, przewożąc skradzione plany, które mogą ocalić jej lud, i
przywrócić wolność galaktyce....*

taa taa tataa taa tata taa tataa
tii tii ti ti tii tii taa tii tii taa

Scena na krążowniku Imperium:

Darth Vader:

Kapitanie, proszę o raport. Czy na pokładzie znaleźliście wykradzione przez rebeliantów plany?

Kapitan

Nie, Lordzie Vader, tu ich nie ma.

Darth Vader

Dokładnie szukaliście?

Kapitan

Przeszukaliśmy statek cztery razy. Użyliśmy nawet owczarka niemieckiego.

Darth Vader

I co?

Kapitan

I jajco

Darth Vader

Pytam poważnie

Kapitan

Pies nic nie wywęszył. Ani śladu po planach.

Darth Vader

Muszą gdzieś tu być, czuję to.

Kapitan

Lordzie Vader, nasze najczulsze skanery nie wykryły tych planów. Może rebelianci ukryli je na innym statku.

Darth Vader (pogardliwie)

Wy i ta wasza technologia. Czym ona jest w porównaniu do starej wiary, do Mocy, która jest źródłem mojej intuicji? Mówię wam, gdzieś tu jest. Dawać poetę!

Kapitan

Lordzie Vader, poeci mieszkają tylko na Ziemi w Galaktyce Drogi Mlecznej. To lata świetlne stąd. I czy poeta pomoże nam....?

Darth Vader

Niedowiarku! Jak śmiesz wątpić w tajne moce? Ten czarny płaszcz, który noszę to znak rozpoznawczy wszystkich istot, w których żyłach jest wystarczająca ilość midichlorianów, by wzrokiem unieść dwa worki cementu. Gdybyś głupku znał się nie tylko na obsłudze reaktorów imperialnych krążowników międzygalaktycznych, wiedziałbyś że jeszcze nie tak dawno poeci byli dominującą rasą we wszechświecie. Jako istoty władające potężnymi mocami duchowymi byli zdolni zmieniać podstawowe prawa fizyki.

Kapitan (z niedowierzaniem)

Prawa fizyki?

Darth Vader

Ha! Niektórzy siłą woli zaginali przestrzeń. Potęga ich umysłów była tak wielka, że mogli naruszyć delikatną równowagę sił we wszechświecie. Dlatego Zjednoczone Federacje Kosmiczne zdecydowały się schwytać wszystkich poetów i umieścić ich w izolacji – na krańcu wszechświata, na idealnym zadupiu kosmicznym. Gdyby tego ni uczyniono, dzisiaj nie rozmawialibyśmy. Dlatego nędzniku nie waz się więcej wątpić w moc poety. I nigdy nie kwestionuj moich rozkazów. Wysłać na Ziemię sygnał teleportujący. Natychmiast.

Kapitan

Rozkaz!

Sygnal

Beeeeeeeeeeppppppppppppppppp bbbzzzzzy gzzzzzyyyy brrrry fiuuuuut bzzziuuut gzzzz
szzz yyyyy szz yyyy ksssss

Dokładnie 72. sekundy trwał sygnał „WOW” pochodzący spoza Układu Słonecznego, który wykrył doktor Jerry Ehman 15. sierpnia 1977. Struktura zarejestrowanego sygnału przypomina sztuczny wytwór, który mógł – jak się przypuszcza – pochodzić od Obcych. Mimo podjętych później wielokrotnych prób nie udało się ponownie zarejestrować podobnego sygnału. Pozostał on jedynym świadectwem istnienia pozaziemskich form życia.

Najbardziej tajne i najbardziej nowoczesne komputery Pentagonu nie potrafiły rozszyfrować treści sygnału. Najtęższe umysły z legendarnego Massachusetts Institute of Technology kapitulowały. Tajemnica WOW długo i skutecznie opierała się najnowszym wynalazkom techniki. Do czasu.

W 2010 r. sygnał WOW został rozszyfrowany. Oto treść, którą skrywał przez dziesięciolecia:

Obcy gołą twarzę u niewidomego fryzjera. Wieje rzeka. Księżyc się chmurzy na rybiej tusce i w kałuży. Miejscowi wylewają kolejną łódź podwodną za kołnierz. Jeszcze nie umarli, a już wracają do siebie. To, co utrzymuje zmarłych przy życiu, jest wszędzie. Bowiem wszędzie nie znaczy wcale nigdzie. Życie przełamujące skórę w niejasnych miejscach. Swędzący chleb. Mróz ściał mgłę w niejasności i ogromną tarczę chleba podzielił nożem. Moje ciało się rozstaje chociaż się jeszcze nie zawiązało. Mówi, że do nikogo nie należy. Ukarane słowem wędruje zawsze po bezdrożach ciała...

- Badaczem, któremu udało się rozszyfrować WOW jest Polak, Artur Szlosarek, który opublikował wyniki swoich badań nad kosmicznym sygnałem pod nazwą: **Święto szparagów** (Wydawnictwo a5, 2010).

Dzięki swoim osiągnięciom Artur Szlosarek wpisuje się w bogatą tradycję polskiej kryptologii, której filarami do 2010 były takie postacie jak: Marian Rejewski, Jerzy Różycki i Henryk Zegalski. Do tego zaszczytnego grona obecnie dołączył Artur Szlosarek. Jako ciekawostkę warto podać, że Artur Szlosarek oprócz pracy w ramach programu SETI pisze wiersze.

Mirka Szychowiak, Jeszcze się tu pokręcę

Tomik Mirki Szychowiak *Jeszcze się tu pokręcę* (Mikołów 2010) ukazuje się dokładnie pięć lat po *Człap story*. Publikacje te dzieli 1825 dni, ileś tam wody, która upłynęła w rzekach i coś jeszcze.

Ci, którzy mieli przyjemność przeczytać *Człap story* i przeżyć – a przeżycie tekstu:

*Nie jestem waszym wrogiem, proszę tylko o azyl.
Szanowne robactwo, mrowie i reszta ruszaków:
Z uwagi na gwałt zbiorowy, w którym przypadła mi
Rola ofiary zmuszona byłam opuścić moją ziemię.*

[dżudżudżudżu]

nie jest nigdy zadaniem łatwym do wykonania – pamiętaj Autorkę jako autonomiczną poetkę, która nie musi przyłączać się do stada zawodzących lirycznie babsztyli, by zostać zauważoną. W 2010 r. ukazuje się kolejny zbiór wierszy Mirki Szychowiak *Jeszcze się tu pokręcę*. Pięć lat, które dzieli te publikacje, to przysłowiowy chuj w dziejach wszechświata, lecz jeżeli chodzi o rozwój Autorki – to przepaść nie do przekroczenia.

Gdyby porównać Autorów: *Człap story* oraz *Jeszcze się tu pokręcę* – to mamy do czynienia z tym przypadkiem w sporze o uniwersalia, w którym jedna i ta sama nazwa jednostkowa (imię) określa dwa diametralnie różne byty. Mirka Szychowiak to nie Mirka Szychowiak.

Konkretnie.

W analizie tekstów – także poetyckich – warto zacząć od słów kluczowych oraz kontekstu ich użycia. W tomiku *Jeszcze tu się pokręcę* mamy:

SKÓRĘ

*Pod skórą druga skóra [Skuć]
pod skórą przekwitały słowa [restart]
tuż pod skórą – szafa pancerna z zardzewiałym zamkiem [obok]
pod skórę wpętza i się panoszy [celpal]
domom pęka skóra [meta]
na skórze napiszę [ponaddźwięk]*

Pod skórą – co wiadomo powszechnie – są:

ŻYŁY

*Pęcznieją żyły na przegubach [restart]
Szum w korytarzach żył [obok]*

Ale czym by były żyły, gdyby nie płynęła w nich:

KREW

krew się wystudzi i popłynie wolniej [ponaddźwięk]
Krew trudno zmyć; [ponaddźwięk]
krwią, jeśli się uda, na skórze napiszę [ponaddźwięk]
Leży we krwi i boi się, że wypływa z niej ostatni raz [spirala]
Jedna jest krew [obok]
W takim miejscu krew dzikich kobiet rwąca [cięcie]
Krew we mnie [pogłos]
I śluz i krew i moc [Witamija]
Utoczył krwi do koryta [nie]
Przeprowadziłam się na świat upstrzona krwią [okoliczności]
wycieka poza kontur ust, jak strużka krwi. [za okazaniem]

często występują tu także:

OCZY

zaczyna mówić i otwiera oczy [restart]
Operacja strzał między oczy odwołana. [celpal]
zamyka oczy: wszystko widzę [biel]
mrok to milczenie i oczy przepastne [za okazaniem]
Zamykała oczy, a dzia dzia przyjmował zakłady [coraz niżej]
Jeszcze oczy czekają na lepszą widoczność [witamija]
oczy zamknięte; nie zamierzam kusić [nie każ]
Dwie brudne szyby – oczy do wymiany [plamki]
czy pustce potrzebne są oczy? [plamki]
oczy zaczęły kłamać [plamki]
Oczy świętych wędrują za mną [usprawiedliwienie na piśmie]
oczy wolą ciemność [spirala]
otwiera oczy, chce żyć? [nic mnie tu nie trzyma]
Jeden kolor wpada ci w oko [dokop]
obrazy z dna oka, na oko i słuch [wykres]

Jest także:

JĘZYK

Mam tylko głos, połknięty język [kłab]
Splątały się języki i trzeba zacząć myśleć przestrzennie [zabieg]
muszą prowadzić się sami – za język ciągnąć [wykres]
Szczepienia ochronne mózgu i języka tylko dla małych dzieci. [spadek napięcia]

Jak jest język, to muszą być i:

USTA

Zostały tylko usta, z których można coś odczytać [szaberplac]
Pełno go w ustach czuję [ponaddźwięk]
zamknięte usta [kłab]

prócz pary z ust [kłęb]
Zdążył zacisnąć usta [Vitamijs]
wycieka poza kontur ust [za okazaniem]

Krew, żyły, skóra, oczy, usta itp. itd. – z tego rzecz jasna składa się:

CIAŁO

budowało się moje ciało od początku [okoliczności]
Poza ciałem musi być jakaś historia [okoliczności]
nieodgadniona struktura ciała [wtedy tak]
niestałość ciała, które nie chce się zasiedzieć [lepiej tak]
ciało zapięte na ostatni guzik [obok]
Żyje się z tym ciałem razem i osobno [obok]
Ile miałam ciała, tyle ubyło [Vitamijs]
Odrzucam twój układ ciała – milczący desant z ziemi naobiecowanej [linia warunkowa]
skąd ten zapach palonego ciała? [spirala]

Trudno sobie wyobrazić ciało bez:

KOŚCI

potrzaskane kości. [pogłos]
kości bez szpiku [wymiotło]

Mówiąc o ciele nie można zapomnieć o:

ŚMIERC I tym, co ŚMIERTELNE

dni coraz bardziej śmiertelne [pisk]
nigdy nie otwieram telegramów o śmierci [otwarte]
Jedna śmierć to i tak dwa groby [z ręki]
czegoś się jeszcze nauczyć o śmierci – jedynym sporcie ekstremalnym [momentalnie]
tak długo się nie umiera [coraz niżej]
ty mi ze śmierci nie rób durna teatrów [coraz niżej]
Będę umierać, jak długo mi się zechce [coraz niżej]
Umierają szybko, wcześniej i nietrzeźwo. [meta]

Mając wyodrębnione słowa kluczowe oraz konteksty użycia łatwo można zrekonstruować proces twórczy. Mały przykład:

Pod skórą druga skóra. Zostały usta, z których można coś odczytać.
Pod skórą przewitły słowa, wyciekły poza kontur ust.
Pęcznieją żyły na przegubach, krew się wystudzi i popłynie wolniej
Operacja strzał w oczy odwołana. Będę umierać jak długo mi się zechce
Poza ciałem musi być jakaś historia, mrok to milczenie i oczy przepastne
W takim miejscu krew dzikich kobiet rwąca pod skórę wpełza i się panoszy
Jeszcze oczy czekają na lepszą widoczność. Ile miałam ciała tyle ubyło
Kości bez szpiku, potrzaskane kości.

Trudno zarzucić takiemu tekstowi brak znaczenia oraz emocji. Ale gdyby spróbować zdekonstruować tekst pod kątem sensu szybko okaże się, że ów wiersz nie znaczy nic. Że jego tajemnica ogranicza się do użycia konkretnych słów o ustalonej semantyce i przypisanym im emocjom.

Generalnie czytelnicy poezji dzielą się na: fanów i miłośników. Fani nie zawodzą nigdy – niezależnie od okoliczności są fanami i nic im w byciu fanem nie jest w stanie przeszkodzić, w szczególności słabe wiersze idola. Miłośnicy, którzy w trakcie lektury natrafiają na słabe wiersze, także wybaczą ich autorom. Czynią to z miłości do poezji samej, z szacunku dla wiersza, autora oraz unikalnego aktu twórczego, w którym powstaje wiersz.

Ale oprócz fanów i miłośników poezję czytają także poeci. I moim zdaniem to Mirka Szychowiak powinna mieć najwięcej zastrzeżeń do tomiku *Jeszcze się tu pokręcę*, gdyż autorka tego zbioru zapomniała – a może nigdy nie przyswoiła sobie jej nauki:

*niech to nie dzieje się w mgnieniu oka,
nie dzieli na cykl wzrostu i niecierpliwego zbioru.
Zaczynij ufać słońcu, ono nie jest na każde
skinienie, bo inaczej się skurczy i wypali.
Nie popędzaj niczego, niech się dłuży.*

(*ślimacz ślimacz*, z tomiku „*Człap story*” Mirki Szychowiak).

Piotr Głuchowski, Marcin Kowalski, Apte. Niedokończona powieść

W *Dzienniku z lat okupacji Zamojszczyzny* (wyd. 1958r.) Zygmunt Klukowski opisał reakcję ludności polskiej na wysiedlanie Żydów w 1942 roku. Nie były to chrześcijańskie łyzy współczucia, ani troska o bliźniego. Polacy jak pisze Klukowski: „z otwieranych żydowskich domów rozchwytyją wszystko, co jest pod ręką, bezwstydnie dźwigają całe torby z nędznym żydowskim dobytkiem” (s. 292.).

Po 1945 r., biznes trwa dalej. Najszybciej wzbogacić się można w „polskich Eldorado” – w okolicach hitlerowskich obozów zagłady w Treblince, Bełżcu i innych, rozkopując masowe groby i przesiewając ziemię z wykopów w poszukiwaniu ukrytych kosztowności – głównie brylantów. Żeby było szybciej zbiorowe mogiły wysadza się za pomocą materiałów wybuchowych, których po wojnie było pod dostatkiem.

Nie trzeba plamić się trupim jadem, okradać Żydów czy mordować *par excellence*, żeby – jak to się dobrze mówi po polsku – wyjść na swoje. Jest inny sposób: trzeba stworzyć sobie dobrego Żyda, który będzie znosił złote jaja.

Książka napisana przez Piotra Głuchowskiego oraz Marcina Kowalskiego pt. *Apte. Niedokończona powieść* (wyd. 2010) to klasyczny przykład stwarzanie sobie dobrego, złotodajnego Żyda. Po co? – O tym na końcu..

Ryszard Apte – zanim został przetworzony przez reportażystów z „Gazety Wyborczej” na tzw. dobrego, złotodajnego Żyda – był niczym nie wyróżniającym się przedstawicielem Narodu Wybranego. Ciężar boskiego palca odczuł na początku lat 40. XX w., na własnej skórze. Zresztą nie on jeden doświadczył tego metafizycznego uczucia – był jednym z 6. milionów wybrańców, który nie doczekał końca wojny.

Rysio Apte podobnie jak każdy jedynek, wychowywany w zamożnej rodzinie mieszczańskiej, opływał we wszelkie dostatki. Uczęszczał do najdroższych szkół, w których edukowany był przez dobrze opłacaną kadrę pedagogiczną. Chłopiec od dziecka uczony był gry na fortepianie (Steinway na pewno zdobił salon dużego mieszkania państwa Aptów, które zajmowało piętro kamienicy – było więc na czym ćwiczyć) a kiedy posiadał tajniki sztuki czytania rozpoczął swoją przygodę z literaturą piękną, od której ugięły się półki domowej biblioteki. Poza tym – jak każde dziecko – Rysiu spędzał wolny czas bawiąc się od czasu do czasu gryzmołąc swoje dziecięce bazgroły na czystych kartkach, których było pod dostatkiem w gabinecie ojca.

Sielanka wkrótce się skończyła gdyż On upomniał się o Naród, który Wybrał. Rysiu zginął uciekając z hitlerowskiego obozu pracy.

Pozostało po nim kilka wspomnień, trochę rysunków (bo Rysio Apte nabrał apetytu na rysowanie po tym, jak jego szanowny papa sprawił, że lokalna gazetka opublikowała kilka rysunków synka, ozdabiając nimi będące w modzie wówczas opowiadania drukowane w odcinkach) – i nic więcej. Ale to wystarczyło, by stworzyć sobie Własnego, Żyda Znoszącego Złote jaja.

Przepis na takiego Żyda jest prosty. Sposób przyrządzenia w kilku krokach:

1) Znajdź Żyda. Niezbędne jest, by Żyd był nie tylko nieżywy ale żeby był ofiarą holocaustu. Dlaczego? „Holocaust” w kulturze dobrze się sprzedaje. Ludzie lubią współczuć. Nawet kiedy twój Żyd się w nie sprzedaje, to nie masz się co martwić. Żaden Krytyk nie ośmieli podnieść pióra na twój Żyda. Nie wypada mówić źle o umarłych – to po pierwsze. A po drugie: nie można krytykować dzieł kultury poruszających kwestie martyrologii narodów w czasie II wojny światowej.

2) Jeżeli to możliwe, to niech Żyd będzie młody, niewinny – jak Anne Frank. Pamiętnikowe zapiski dorastającej dziewczynki, z których na siłę robi się intelektualny protest pokolenia skazanego na zagładę, sprzedają się jak świeże bułeczki. Wydawnictwo ZNAK opchnęło już trzecie wydanie a zapewne będzie czwarte, piąte i dwudzieste ósme, bo za każdym razem do nowej edycji zostanie dodana jedna strona dotąd niepublikowana. Podliczmy:

4 wydania x 5000 egz. nakład

Cena: średnio 30 zł / egz.

600 tys. PLN – po odliczeniu kosztów wydawniczych za resztę można sobie coś fajnego kupić.

3) Dobrze by było, gdyby twój Żyd był postacią tajemniczą. Ludzie lubią tajemnice i sekrety. Pamiętaj, że każda postać o której niewiele wiadomo jest postacią tajemniczą. Idealnie by było, gdyby istnienie twój Żyda potwierdzały dwie- góra trzy wzmianki w jakiejś lokalnej gazetce, która cudem uchowała się gdzieś w magazynach bibliotecznych. Innymi słowy – im mniej wiadomo o twoim Żydzie, tym więcej będziesz mógł o nim powiedzieć. Na przykład niech to będzie taki Żyd, po którym zostało nazwisko zanotowane na okładce zeszytu z rysunkami odnalezionego w trakcie wykoppek strychowych i nic więcej. Niech to będzie taki Żyd, który trafił się reportażystom z Wyborczej:

„Reporterzy Gazety Wyborczej w chwili rozpoczęcia pracy nad Niepokojem znali jedynie nazwisko jego autora zanotowane na okładce zeszytu. Dzięki wielomiesięcznej pracy udało im się ustalić jego pochodzenie, dotrzeć do nielicznych dokumentów poświadczających losy jego samego... historyczne śledztwo pozwoliło ustalić zaledwie kilka faktów z życia” (okładka)

4) Twój Żyd musi być postacią wyjątkową. Nie jest? Nie przejmuj się. Patrz punkt wyżej. O twoim Żydzie prawie nic nie wiadomo – dlatego możesz puścić wodze fantazji. Zrób z twój młodego, niewinnego i tajemniczego Żyda geniusza. Jak? Sprawa jest prosta: niech będzie raczej szczupły niż pulchny. Ludzie szczupli odbierani są jako sympatyczni i mili. Grubasy w kulturze Zachodu raczej mają przejebane. Niech twój Żyd ma same piątki w szkole, niech przed ukończeniem podstawówki opanuje grę na kilkunastu instrumentach: od harmonijki ustnej zaczynając a na ukulele kończąc. Przesadziłem z ukulele? Nie będę się upierał, ale ważne jest by dzieciak był wirtuozem fortepianu. O tym, że musi władać biegle przynajmniej kilkoma językami nie wspominam. Niech będzie obeznany w klasykach literatury światowej, niech zna Platona i Arystotelesa a na trzynaste urodziny niech przedstawi do oceny jakiemuś przedwojnemu profesorowi filozofii swój dwustustronicowy komentarz do *Sumy Logicznej* Ockhama, w którym zgłosi krytyczne uwagi do teorii supozycji zmieniając tym samym wszystkie ustalone interpretacje logiczne. Niestety ów tekst – jak większość dokumentów z życia – musi zaginać w trakcie niemieckich bombardowań. Jak nie wiesz jak napisać, to ucz się od dziennikarzy z Wyborczej:

„jest delikatnym, chudym chłopcem. Od dziecka rozmowny i rezolutny, uczy się świetnie. Rodzice mogą się nim pochwalić przy każdej okazji. W wieku trzynastu lat potrafi grać na kilku instrumentach, deklamuje poezję po polsku, hebrajsku i niemiecku. Czyta angielskich autorów a oryginale. Lubi Edgara Allana Poe i Jacka Londona, ale też Leśmiana, Lechonia i Boya-Żeleńskiego. (...) Jednocześnie czyta Maya, Kaerstnera i Czechowa. Ostatnio przymierza się do Prousta. Pisze też własne wiersze i opowiadania, wzorowane nieco naiwnie aana rosyjskich romantykach (...) W soboty i niedziele Ryszard daje brawurowe koncerty fortepianowe, które słycać w całej kamienicy, a kiedy gosposia otworzy drzwi na balkon, także w sąsiednich domach (s. 10.)

Bo kiedy Rysio Gra Chopina, to:

„muzykę słycać w całym, przeszło dwustumetrowym mieszkaniu (...) Ryszard uderzający z pasją w klawisze wydaje się w tej chwili starszy, niż jest w rzeczywistości, bardziej dojrzały. W świetle padającym z okna błyszczą kropelki potu na jego czole” (s. 21 n.)

5) Pamiętaj o punkcie nr 1 – twój Żyd musi być martwy (Martwi Żydzi nie protestują). Twój Żyd nie może przeżyć wojny. Ale ważne jest by nie zginął od razu. Żyd musi być Żydem prześladowanym, ukrywającym się. Ukrywając się w wilgotnych piwnicach, zimnych strychach musi nieustannie czuć na swoich plecach gorący oddech owczarka niemieckiego. Taka postać będzie bliższa, bardziej ludzka – mniej abstrakcyjna. Dlatego zamknij swojego Żyda w porządnym hitlerowskim obozie pracy. Może nie zaraz w Auschwitz, bo wszyscy wiedzą jak to się skończy. Pamiętaj – w każdym hitlerowskim obozie pracy znanym z literatury pięknej był przynajmniej jeden wypasiony Ukrainiec w roli kapo, który siał popłoch wśród współwięźniów. Nie możesz o nim zapomnieć. A, i jeszcze jedno – przydałby się też jakiś Polak folksdojcz, który także nie zna litości. Wyobraź sobie taką oto scenę:

z jednej strony gruby, ogolony na łyso Ukrainiec, wielki jak góra a z drugiej Polak, folksdojcz, trochę mniejszy niż Ukrainiec ale z lepszymi statystykami uśmiercania. Stoją naprzeciwko, spoglądają wściekłymi oczyma pod nogi na skulonego, wychudzonego, szarego z umęczenia Żyda – prawie niewidocznego. Chwilę obserwują, jak przebiera niezgrabnie nogami i rękami próbując się przeczołgać w bezpieczne miejsce. Podnoszą pałki...

Kiepska? Brakuje retorycznych pytań potęgujących napięcie w stylu: „Czy przeżyje? Jak długo jeszcze?”. Zabrakło realizmu w opisie? Wiem, wiem, chłopcy z Wyborczej wymyślili lepszą historyjkę:

„Dwa razy udaje mu się tu cudem ocalić życie, kiedy nadzorujący robotników folksdojcz Piosik wyładowuje się na więźniach, bijąc ich metalową rurką, rzucając w nich cegłami albo kilofem. Wielki chłop, podobno służył przed wojną w Legii Cudzoziemskiej, teraz uznaje za rzecz honorową, aby po jego ciosie lub rzucie, człowiek nie był w stanie wstać o własnych siłach.

Ryszard woli nawet nie patrzeć w kierunku Piosika. Pracuje tak szybko, jak może, ale coraz trudniej mu to przychodzi. Jego ciało nie hartuje się wcale, nie krzepnie od morderczej pracy, jak pisał London. Głód, robactwo i beznadzieja niszczą go równo od strony poranionej skóry i od wiecznie pustego żołądka. Ma permanentne rozwolnienie, a Piosik nie pozwala pójść do latryny, więc Ryszard po prostu cuchnie. Ile jeszcze dni wytrzyma nim potknie się pierwszy raz? Jak długo będzie udawało mu się ustrzec błędu, po którym na jego głowę spadnie kamienna pięść Ukraińca albo młotek Piosika? Ile wycierpi, nim umrze? (s. 92)

Złotodajny Żyd – geniusz, postać cudowna, tajemnicza, uzdolniona itp. – stworzony przez Piotra Głuchowskiego i Marcina Kowalskiego na zlecenie Korporacji Ha!art, umrze dokładnie na stronie 106. książeczki pt. *Apte. Niedokończona powieść*. Autorzy, jak przystało na doświadczonych i utytułowanych reportażyście nie opiszą scenki, w której stworzony przez nich Żyd-geniusz jest prowadzony w ustronne miejsce przez żołnierza Wehrmachtu a następnie zastrzelony. Taka śmierć byłaby zbyt prosta jak na takiego geniusza – żeby nie powiedzieć – banalna. Głuchowski z Kowalskim wymyślili sobie, że czytelnik sam sobie uśmierci ich cudownego Żyda – uśmierci oczywiście w domyśle. W końcu czytelnik zapłacił całe trzydzieści jeden złotych, w cenę książki wliczono duchowe przeżycie:

- *Mam! Dwóch!*

Apte i Greschler, skuleni pod półkolistym sklepieniem, nawet nie próbują uciekać.

Gdy po godzinie policjanci doprowadzają ich na posterunek Bahnschutzu w Nisku, gruby Anwarter urzędujący na piętrze obdrapanego dworca nawet nie przygląda im się dokładnie.

- *Będzie szesnasty i siedemnasty w tym tygodniu – mówi do siedzącego na parapecie cywila z fajką. – Obszukać i tam gdzie zwykle!*

Jeden z policjantów, zanim założy kłódkę na drzwiczkach komórki z opałem, odzywa się po polsku:

- *Niech żaden nie próbuje spierdalać, bo ja nie chcę was mieć na sumieniu.*

Anwarter dzwoni do żandarmerii w Rozwadowie.

(s. 106)

Niech teraz każdy sobie sam dopisze koniec opowieści o młodym, pięknym i wszechstronnie utalentowanym geniuszu Ryszardzie Apte. Czy resztkami sił wspólnie z kolegą wykopią podkop? To możliwe, przecież komórki na opał to zwykle drewniane konstrukcje postawione bezpośrednio na ziemi, bez fundamentów. A może Ryszard usłyszawszy od mówiącego po polsku strażnika w niemieckim mundurze, który zapewne był polskim szpiegiem ulokowanym w Wehrmachcie, słowa: „nie chcę was mieć na sumieniu” przekonał go, by ten ryzykując zdekonspirowanie uwolnił więźniów? A może było inaczej – może Ryszard Apte miał dość uciekania i chcąc dobrze spędzić ostatnie chwile życia postanowił pokochać się z towarzyszem swojej niedoli? Może współwięźniowie w zaciszu jakie dawała komórka na opał odkryli w sobie pierwiastki homoseksualne? Niemożliwe? Otóż możliwe, bo Złotodajny Żyd z ha!artu oprócz tego, że jest genialnym pianistą, poetą, prozaikiem, malarzem, uciekinierem jest także prawdopodobnie homoseksualistą. Dlaczego? Bo:

- jako nastoletni Żyd nigdy nie miał dziewczyny (piszący o nim książkę autorzy postanowili, że na wszystkich stronach Rysiu pozostanie prawiczkiem) .

- bo jego znajomy z dzieciństwa Henryk Vogler – jak się okazało wybitny znawca męskiego spojrzenia, ukrytego pod opuszczonymi rzęsami – w swoich wspomnieniach pisał tak o Aptom:

„Gdy mijaliśmy się tak blisko, spojrzenie [Ryszarda], które wówczas przechwytywałem miało w sobie coś dziwnego, dalekiego (...) Obdarzony wielką urodą, o kruczoczarnych włosach, cerze tak delikatnej, że wydawała się przezroczysta (...) miał we wzroku ukrywającym się pod długimi rzęsami, ognisty, zuchwały błysk (...) Jego spojrzenie spod opuszczonych rzęs (...) Dreszcz mną wstrząsał kiedy przesywało mnie to spojrzenie”

- bo Apte narysował trzy rysunki, które poświęcił św. Sebastianowi. Redaktorzy Głuchowski / Kowalski proponują taką interpretację rysunków:

„Od renesansu męczeństwo tego pięknego młodzieńca, starożytnego żołnierza – gwardzisty jest ulubionym motywem homoseksualnych malarzy” ergo: „Ryszard był Żydem, prawdopodobnie homoseksualistą” (s. 71)

Sytuacja jest idealna – oto złotodajny Żyd, postać jednocześnie tajemnicza oraz genialna, talent muzyczny, literacki, poetycki jest także pedałem. Czy to nie jest sensacyjne? News: Geniusz! Homoseksualista! Zamordowany! – powinno się nieźle sprzedać. To nic, że jego św. Sebastian jest patronem Niemiec, odzianym w mundur i ukrzyżowanym na słupie granicznym. O niuansach interpretacyjnych związanych z semantyką męczennika będzie się rozmawiać później. Najważniejsze jest na początku, by genialność wzmocnić motywem homoseksualnym. Leonardo da Vinci był geniuszem i pedałem zatem jeżeli Rysiek Apte ma być porządnym geniuszem musi także być pedałem. A jeżeli nie był – no to co? Czy ktoś to sprawdzi? Nie ma szans.

Książka wydana w 2010 r. przez korporację Ha!art jest publikacją obliczoną na poważną nagrodę. Stworzenie Żyda, który się na pewno sprzeda powierzono nie byle komu. Misja napisania książki na podstawie teczki zachowanych rysunków zlecona została laureatom nagrody Grand Press w kategorii reportaży prasowy w roku 2009. Mamy zatem dwóch autorów na tak zwanej „Fali”, jest kilka obrazków jednego z 6 milionów Żydów, który nie przeżył II wojny i jest pięknie wydana książka pt. *Apte. Niedokończona powieść*. Do wydania dołączono reprodukcję teczki zachowanych rysunków.

Ja miałem tego pecha, że najpierw zapoznałem się z rysunkami. Nie było w nich dla mnie nic niezwykłego. Nie dostrzegłem geniuszu także w innych próbkach twórczości Aptego zamieszczonych w książce. Jeżeli zaś chodzi o tekst Piotra Głuchowskiego i Marcina Kowalskiego, to w trakcie czytania trudno oprzeć się wrażeniu że sporządzony on został przez licealistów, których znajomość tematyki obozowej oraz sytuacji Żydów w okresie okupacji ogranicza się nie tyle do przedmaturalnej, powierzchownej wiedzy ale często dają dowody nieznamośności stanu faktycznego. Wydaje się, że fakty w tej książce nie tylko ustąpiły miejsca fikcji, ale z fikcji próbuje się uczynić fakt.

Dla przykładu: Henryk Apte – ojciec geniusza Ryśka – cały czas funkcjonuje jako przykład bogatego Żyda, z którego kieszeni wysypują się złote monety. Stereotyp pierwszego sortu. Na stronie 47. „ojciec odlicza złote, carskie jednorublowki.” Jedenaście stron dalej mecenas Apte za „dwadzieścia rubli w złocie” wynajmuje polską przewodniczkę (świetna kandydatka na szmalcownika). Na stronie 60. już nie tylko ojciec, ale cała rodzina Aptów para się handlem kosztownościami: „sprzedają pamiątki, biżuterię, złote monety”.

Gdyby tak podliczyć żydowskie złoto, które dźwigał Henryk Apte to wyszłaby niezła sumka. I jak tu nie wierzyć w legendarne bogactwo międzynarodowego żydostwa!? Generalnie, pomijając obóz pracy w Stalowej Woli, to Żydzi w książce „Apte. Niedokończona powieść” są bardzo dobrze ustawieni. Ci najbogatsi mają wszędzie znajomości, mogą „nawet z gestapo wyciągnąć” (s. 58).

Są też inne stereotypy – np. dobrego Polaka. Generalnie w książce występuje tylko jeden niedobry Polak – Piosik – ale on się nie liczy, bo jest folksdojczem a nie prawdziwym Polakiem, który ratuje Żydów i walczy z hitlerowskim okupantem. Natomiast dobry jest Pan Stanisław – szef hotelowej szatni, w której ojciec załatwił pracę dla syna. „Pozwala na czas roboty zdejmować z rękawa opaskę. Dzięki temu Rysiek nie musi się bać, że któryś z podpitych klientów go dla zabawy spoliczkuje” (s. 47.). Człowiekiem dobrym jest także polski chłop – furman, który wioził Aptów do Wieliczki. Wyciągając spod siedzenia flaszkę

wódki nie zważając na okoliczności – obecność rodziców, wiek młodocianego, okupację i inne błahostki – zaproponował szczerze: „Może się panicz napije?” (s. 57). Niebywałą miłością bliźniego wykazał się natomiast pan Ignacy, prosty chłop, który na stronie 102. książki przyjmie pod swój dach Rysia i jego kolegę, tuż po tym jak udało im się uciec z obozu pracy w Stalowej Woli. Jego dobroć była tak wielka, że stronę dalej poczęstuje uciekinierów wódką, podaruje dwie pary butów, bochenek chleba, wodę, cebulę, zapałki, świece i tytoń. Pan Ignacy zapewne przetrzymałby biednych Żydów do końca wojny czym zapewniłby sobie miejsce wśród Sprawiedliwych wśród Narodów Świata ale niestety – obawiał się sąsiadów, którzy chętnie donosili. Dlatego z żalem i bólem serca zmuszony był odprawić chłopców.

W Polsce, w niektórych rejonach do dziś jest zwyczaj wieszania w domach obrazów, z wizerunkiem starego Żyda. Ma on przynieść bogactwo domowi. Czy stworzony przez utytułowanych specjalistów z Wyborczej na zlecenie Ha!artu Złotodajny Żyd – Ryszard Apte – rozwiąże wreszcie ten worek nagród dla wiecznie nominowanych, ustawionych w kolejce autorów korporacji Ha!art? Czy będzie NIKE? O tym przekonamy się już niedługo.

Dominik Bielicki, Gruba tańczy

Książka Dominika Bielickiego, *Gruba tańczy* – to wydawniczy koszmar. Wygląda jak skrzyżowanie krowiego łajna z żołądkową mazią, która sączy się z nosa w ostatniej fazie rzygania po solidnym pijaństwie. Się redaktor Beata Gula nie postarała, nie postarał się także gość odpowiedzialny za grafikę, którego nazwiska nie wymienię gdyż musiałbym wymyślić jakiś nowy epitet a obiecałem mojej Jeanette, że nie będę przeklinał.

Jeżeli ktoś się jednak przełamie wewnętrznie i wyciągnie rękę po tę publikację – a warto – ten się nie zawiedzie. Po pierwsze: książka kosztuje raptem 15 zł. To mało w porównaniu z rozdętymi publikacjami Biura Literackiego, Ha!artu czy ZNAK-u po które – jeżeli nie masz przynajmniej 30 zł w kieszeni – lepiej nie sięgać. A jeżeli już człowiek wysupła te trzy dychy, to musi później zmierzyć się z wyrzutami sumienia. Okazuje się, że zamiast dobrych wierszy kupił wydaną po przyjacielsku sieczkę.

W tym przypadku jest inaczej – za piętnaście złotych można doświadczyć unikalnego uczucia, które towarzyszy zderzeniu wiersza z rzeczywistością. *filk forever* – Dominika Bielickiego należy do tej kategorii wierszy bezpańskich. Ten wiersz w chwili spisania staje się własnością ogólnogatunkową – jest wierszem wszystkich ludzi. Wyrwany niepostrzeżenie z popperowskiego Trzeciego Świata i podarowany ludziom jak ogień.

Wyobraź sobie taką oto sytuację – idziesz do małego kina, bo nie masz pieniędzy na Multipleks. Widzisz obskurny fotelik z poszarpaną i poplamioną keczupem z frytek, spermą i bóg wie czym jeszcze tapicerką. Twoje nozdrza drażni dziwny zapach. Nie jest to zwykła stęchlizna. Zaczynasz szybciej wywachiwać powietrze, starając się zidentyfikować źródło. Nagle w głowie przebłysk – migawka zdechłego kota, z którego wydlubywałeś scyzorykiem białe robaki na ryby – już wiesz co tak śmierdzi.

Mimo wszystko siadasz. Gaśnie światło. Jest niewygodnie. Film bez reklam – kto by chciał się reklamować w takim kinie? Czy ktoś wypiłby jeszcze kawę Tchibo, gdyby skojarzył ją z zapachem padliny z kina?

Film zaczyna się tak:

*Kiedy już wylądujesz, kup śrubę i spójrz,
w którym kierunku nawija się gwint.
Na ogół pierwsi nie podają ręki. Spójrz na gwint.
W końcu zmuszą cię, żebyś z nimi uklęknął.
Nim się przeżegnasz, spójrz na gwint. Ich mezony,*

Pierwsze minuty – trzy wersy tekstu umykają. Kiedy za pośrednictwem odpowiednich połączeń nerwowych do twojego umysłu dociera zdanie: „w końcu zmuszą cię, żebyś z nimi uklęknął” – kamieniejesz. Lepiej się przyzwyczaić do tego dziwnego uczucia, bo towarzyszyć ci będzie do końca.

*od ich mezonów, jak wiesz, siwieją ich katedry.
Spójrz na gwint, gdy wsiadasz w samochód, i uważaj,*

*komendant straży lubi być blisko z burmistrzem.
Spójrz dwa razy na gwint, nim coś napiszesz.
Najlepiej dojdź do wprawy w wodzeniu palcem*

po gwincie.

Zastanawiasz się nad społeczeństwem. Nad obrazem dobrze nagwintowanej śruby oraz nakrętki. Obraz dominuje. Śruba – nakrętka – gwint. Gwintownica – narzynka – gwint. W górę, bez oporów, po dokładnie wyżętym gwincie. Droga w górę i droga w dół. A co jeżeli ktoś chciałby w bok? Przychodzi ci do głowy wspomnienie o starym, grubym profesorze, który poklepując się po brzuchu upajał się swoją niewiedzą domagając się interpretacji fragmentu: **ὁδὸς ἄνω κάτω μία καὶ αὐτή.**

Dzisiaj mógłbyś na ten temat coś powiedzieć. Kto wie? Może nawet miałbyś dużo do powiedzenia. Jest tylko mały problem – stary profesor zmarł i nie masz komu o tym opowiedzieć. Nie masz, bo rozglądając się dookoła w poszukiwaniu kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać zamiast ludzi widzisz tylko części zamienne. Śrubki, nakrętki, narzynki, gwintownice, trybiki, przekładki, podkładki, mufki, zębatki, kulki, łożyska, klucze francuskie, żabki, kombinerki, śrubokręty – wszystkiego pod dostatkiem. Części nowe i używane. Produkowane przez markowych producentów, ale także te o 70% tańsze – jednak no name i w związku z tym jakby gorsze.

Słyszysz:

*„Spójrz na gwint, gdy wsiadasz w samochód”
„Spójrz dwa razy na gwint, nim coś napiszesz.”
„Najlepiej dojdź do wprawy”*

I do głowy zaczynają przychodzić tobie dziwne myśli – o tym, że już w przedszkolu musiałeś odpowiadać na pytanie: „kim będziesz jak dorośniesz?”. Przypominasz sobie wszystkie na początku żartobliwe upomnienia: „brzydko tak dłużyć w nosie”, które później przerodziły się w groźby: „jeszcze raz, a dostaniesz po łapach”. Jak na dłoni masz przed sobą wszystkie nakazy i rozkazy:

- w prawej ręce nóż, w lewej widelec
- przezorny zawsze ubezpieczony
- obowiązuje strój służbowy

Próba bilansu. Buty – wypastowane. Może nie najdroższe, bo na takie cię nie stać. Żadna awangarda, normalne. Spodnie – jak większość, jeansy. Tiszert, bluza, kurtka. „Nic specjalnego” – powtarzasz w myślach – „Nic specjalnego”. Ta myśl już ciebie nie opuści aż do śmierci. Będzie ci towarzyszyła jak bankowy ROR, jak NIP, PESEL oraz kilkanaście innych twoich prywatnych numerów katalogowych. Teraz wiesz, że jesteś częścią w tej narzędziowni. Wpisany na stan magazynowy „nakręcony na gwint” – jesteś do dyspozycji. W wyznaczonym dniu – każda część ma wybitą datę produkcji oraz okres przydatności do użycia – Wielki Inżynier Społeczny wyciągnie po ciebie swoją dłoń archikreatora i wpasuje cię do wielkiej maszyny. Będziesz pracował, konsumował, produkował. Tyle raz usłyszałeś, że musisz spłodzić syna, wybudować dom i zasadzić drzewo, że robisz to mimowolnie. Z synem poszło najłatwiej. Dom – tu było trochę formalności. W końcu podpisałeś druk numer 230923882. Teraz nie masz już odwrotu. Ani jedna droga nie poprowadzi ciebie w lewo czy

w prawo. Masz do wyboru tylko jeden kierunek – do góry, równo po gwincie i proś, by wystarczyło ci smarów technicznych, olejów oraz by twój gwint był prawidłowo nacięty, by nic po drodze się nie zacięło. Ty jako część musisz działać bez zarzutu. Nie dowiesz się czym jest parenkliza, ale za to doskonale poznasz sens słowa: praca. Prawidłowa odmiana wygląda tak:

ja pracuję
ty pracujesz,
ona
ona pracuje
ono

my pracujemy
wy pracujecie
oni pracują

Pamiętasz swoją pierwszą lekcję w szkole. Wiesz co to są tzw. „prawidłowe odpowiedzi” i wiesz z doświadczenia – bo tyle piątek dostałeś, tyle świadectw z czerwonym paskiem do domu przyniosłeś – że w szkole liczą się tylko „prawidłowe odpowiedzi” – które w celach marketingowych nazwano „dobrymi odpowiedziami”. Wzorowy uczeń ma być wzorem w procesie produkcji. Takie są wymogi technologiczne. Dlatego w życiu jak w szkole – tu także zachowujesz się wzorowo: nie przestajesz pracować, nie przestajesz produkować, nie przestajesz konsumować. Wzorowo omijasz wszystkich bezdomnych i bezrobotnych, którzy NIE pracują, NIE mieszkają. Na ich społeczne NIE odpowiadasz swoim ludzkim NIE – NIE wyciągniesz do nikogo pomocnej ręki. Zresztą za tzw. „pomocna dłoń społeczeństwa” została już dawno zaprojektowana i zbudowana przez Wielkiego Inżyniera Społecznego – istnieją odpowiednie organizacje i instytucje społeczne, których celem jest mówienie TAK wszystkim, którzy społeczeństwu powiedzieli NIE.

Siedzisz w małym, obskurnym kinie, w którym śmierdzi zdechłym kotem. Doświadczasz całego repertuaru niedogodności siedziska. Oprócz ciebie jest tylko kilka osób na seansie. Grubas z tyłu kończy trzecie pudło popcornu. Młaska, sapie. Myśli: „Ma astmę”. Wyobrażasz sobie chaotycznie bijące, niedotlenione i obrosnięte tłuszczem serce, które długo nie pociągnie; jego nalaną tłuszczem mordę i widzisz jak wszystko w promieniu dwóch metrów dookoła jest skażone popcornem. Przed sobą masz parkę. Licealiści, którzy nie przyszli na film tylko do kina. Patrzysz na nich i wiesz, że nigdy córki do kina nie puścisz. Że kupisz jej wielki ekran, rzutnik dobry sprzęt stereo ale o kinie może zapomnieć. Nie zraża ciebie widok tego, co robią. Wstydzisz się raczej siebie, własnej reakcji – tego, że przyglądając się małolacie w wieku twojej córki, która obciaga swojemu chłopakowi sam masz ochotę na podobną przyjemność płynącą z ust nastolatki.

Wreszcie: napisy końcowe

*Możesz żyć z muzyki albo geometrii,
ale sport im lepiej zostaw. Dotknij gwintu
sięgając po gitarę. Szanuj ludowe gusta,
jak „dystans do siebie” czy „moim własnym zdaniem”.
Niech płyną rzewne dźwięki! Unikaj gazowników!*

Wychodzisz. Przyglądasz się uśmiechniętej parze. Myślisz sobie: „on jest zadowolony, ona jest zadowolona”. Uświadamiasz sobie, że słowo „zadowolony” podobnie jak „pracuje” lepiej brzmi bez przeczenia. Dziś ani jutro nie będzie rewolucji. Nie będzie zmiany, strajku – żadnych gwałtownych przeobrażeń. Obiecujesz sobie jednak, że od jutra będziesz miał „więcej dystansu do siebie” a każdą wypowiedź będziesz zaczynał od słów: „moim własnym zdaniem”. Tego, że należy mówić pełnymi zdaniami oraz, że nie należy zaczynać wypowiedzi od „a więc” – tego już się dawno nauczyłeś. Teraz pora na przyswojenie nowych treści z podręcznika do Inżynierii Społecznej. Jesteś na tyle duży, by je zrozumieć.

Jan Polkowski, Cantus

Jako czytelnik mam określone oczekiwania w stosunku do współczesnej poezji. Kiedy sięgam po książeczkę z wierszami zaczynam w niej poszukiwać nonsensu, bełkotu czy też objawów literackiego ogłupienia. Zwykle znajduję to, czego szukam ale od czasu do czasu – czyli tak, jak to w bajkach bywa – nie znajduję nic. Popadam w takich sytuacjach w dziwną nerwowość gdyż wiem, że mam do czynienia z takim casusem, kiedy to muszę wykazać się powagą.

Cantus Jana Polkowskiego jest zbiorem tekstów, które ze wszech miar zasługują na powagę oraz uwagę. Ta publikacja, to bez wątpienia trafiona inwestycja redaktorów Wydawnictwa a5 – ale mimo, że Polkowskiemu udało się trudna sztuka pisania wierszy, to stwierdzam że nie jest to poezja dla mnie.

Bo mi się podobają takie wiersze:

*Dzisiaj wielki bal w Operze!
Sam Potężny Archikrator
Dał najwyższy protektorat
Wszelka dziwka majtki pierze*

Jan Polkowski pisze inne wiersze. Pisze bardziej plastycznie – obrazowo:

(...)

*Umarł diabelski wiek. Nie będzie zadośćuczynienia. Pokolenia
przesypują się przez dłonie kapłanów
nicości, przez nasiąkniętą śmiercią
klawiaturę Bacha.
Żaden alfabet nie ma w sobie dość sił by przebaczać.
Inaczej niż pięciolinie i niepodległe
nuty.*

(...)

[podróż do Święcian]

Autor tomiku *Cantus* pisze swoje wiersze ładnie. Buduje zdania z taką samą finezją z jaką profesor matematyki zapisuje zdanie: $1 + 2 = 3$. Jednak czy ktoś zna profesora matematyki, który napisał (lub napisałby) taki oto wiersz:

*Przez ul. Zdobywców,
Przez Annasza, Kajfasza
Przez Siwą, przez św. Tekli
I Proroka Ezdrasza*

*Przez Krymską, Kociolebską
Przez Gnomów i przez Dziewic*

*Przez Mysią, Addis-Abebską
I Łukasza z Błazewicz*

*Przez Czterdziestego Kwietnia,
Przez Bulwary Misyjne –
Jadą za miasto wozy
Asenizacyjne.*

*Z facjatki budy drewnianej
Tłusta panna wygląda:
- Która godzina, gówniarzu?
- Piąta, kurwo, piąta...*

Cantus jest zbiorem wierszy, do których – jak to mawiał mój kolega – nie można się przyjebać. Sporadycznie pojawiają się tu i ówdzie perełki w stylu:

*Splatają się: słone powietrze, szorstka rosa i chłodne dłonie [pragnienie]
Wiatr bezszelestnie wyrывa się z ust [***]
Strach sztywniejący od mrozu i dotknięty wstydem [powodzianie]
Ciemna, niema truskawka łopocze bezgłośnie [***]*

Ale chociaż na temat „bezgłośnego łopotania” w polskiej poezji współczesnej można napisać przynajmniej 2093. doktoraty i tyle samo habilitacji to wiersze Polkowskiego są faktycznie dobre. Oto przykład:

(...)
*Budzę się z bólem serc moich dzieci
Wokół nieruchome oddechy woskowych figur podróżnych.
Blakną, majaczą na korytarzach, w przedziałach, nikną
w cieniu obok kolejowego nasypu.
Już nigdy nie wyruszymy dalej,
ani do W. ani gdziekolwiek.
Szary śnieg? piasek? przysypuje pociąg.
Ziemia przygasa, pokrywa się drżącym popiołem.
Zapamiętałe, zawzięcie zapada się w siebie,
przemienia w wiatr, głuchy gwizd
drutów wysokiego napięcia, sen ciężkiego
dymu, zawodzenie zamkniętych dworców.*

[mgły, ścierniska]

W tym momencie należałoby zebrać wszystkie superlatywy, którymi współczesna krytyka literacka zwykła obdarzać każde wydane dzieło poetyckie, zebrać i opatrzyć wspólnym mianownikiem: „Jan Polkowski, **Cantus**, wydawnictwo a5, Kraków 2009”. To pierwsza i historycznie niepowtarzalna okazja – zgodziłbym się z Maliszewskim, Winiarskim i innymi supermanami polskiej krytyki.

Ale mimo wszystko wiersze Polkowskiego mi się nie podobają (choć mimo czysto subiektywnego niepodobania się potrafię docenić ich obiektywną wartość jako wierszy bardzo dobrych).

Bo mi się podobają takie wiersze:

*Bo patrzcie! Patrzcie, jaka sensacja!
Brawo dyrekcja! Co za atrakcja!
Gąsienicą hipopotamową,
Glistą, na miarę przedpotopową,
Na salę wpęłza tłusty Jaszczur,
Czołg złotociekły, forsiasty praszczur:
Szczurząc i wsząc, i pchłąc wspaniale,
Księżę Karnawał wjeżdża na salę!
Tajniaki z tyłu, tajniaki na przedzie
Mlaskiem, człapem, wijąc się, jedzie,
Pełźnie smoczysko – a na nim okrakiem
Goła, w pończochach, w cylinderku na bakier,
Z paznokciami purpurowymi,
Z wymionami malowanymi
Z szmaragdowym monoklem w oku
Z neonową reklamą w kroku
Skrzeczająca szlagiera:
„Komu dziś dać?
Komu dziś dać?
Komu dziś dać!
Wierzga na gęstym pieniężnym potoku
Promieniejąca Kurwa Mać!*

Człowiek czytający wiersze odkrywa przede wszystkim siebie samego. Poezja jest zaledwie pomostem, po którym się przechodzi na drugą stronę przepaści. Taka podróż można odbyć tylko jeden raz – pomost znika i człowiek jest skazany na dożywotnie spędzenie czasu z samym sobą. Wiersze Jana Polkowskiego to bardzo dobre wiersze, ale ten pomost, który zbudował mi autor zboru pt. **Cantus** zupełnie mi nie odpowiada. To dobra droga, ale nie dla mnie.

Tomasz Pohl, *Niedosyt*

Kolejny tydzień i kolejny tomik poezji – z przykrością stwierdzam: kupiony i przeczytany. Skandaliczne marnotrawstwo i pieniędzy i czasu. *Niedosyt* Tomasza Pohla wśród wszędobylskiej sieczki literackiej wyróżnia się tylko wydaniem – solidna robota w sensie technicznym.

Przedemną komputer, obok *Niedosyt*. Jest piątek, dziewiąta rano i trzeba by było coś w końcu napisać. Ludzie jak psy się przyzwyczajają. Literaci to najbardziej ludzcy z ludzi, także przywykli do rytualnego świniobicia raz w tygodniu. Jest jednak pewien szkopuł – w zasadzie mały problem: mam dość. Mam dość tej sieczki, tego gówna, które czytam i o którym piszę. Trzy lata wystarczyły, by zgrubieć wewnątrz. Zrogowacieć i zlodowacieć.

Mógłbym po raz setny (może dwusetny) ubić te liche wierszydła packą na muchy. Mógłbym przetworzyć je na papkę, upchać w sztuczny flak i sprzedać. Ale czy ukatrupienie strof:

*napętniam uszy dźwiękami
pięknymi jak sen dziecka o świecie
wypełniam oczy słowami*

*połykam zachłannie
płyny i pokarmy liczne*

ale nie mogę nasycić

...

[niedosyt]

będzie – niezależnie od okoliczności – jakimś wyczynem? Czy do tego potrzeba moich zdolności? Czy muszę zmarnować kilkanaście minut, by dowieść, że gówno jest niejadalne niezależnie od formy w jakiej się je serwuje?

Na okładce patroni medialni:

Panorama Powiatu, Gazeta Kulturalna, siedemdni, telewizja TTM, Marek Jurecki, RED, Nasze Radio, ZW Media, źródło blog.onet, polskie radio Katowice.

Z przyczyn dla mnie niezrozumiałych nie dopisano tu jeszcze:

Sołtys, Sołtysowa, Pan inżynier, Miłosz Biedrzycki

Wypada jednak coś napisać o wierszach. Ale co można napisać o takiej sieczce:

*Dzień, w którym odechciało mi się żyć był pogodny.
Co prawda przegraliśmy z kretesem
Mecz, ale przyjemnie było wiedzieć radość na twarzach rywali
I dzieci wymachujące na pożegnanie swoją tęsknotą.*

...

[bądź wola moja]

Czy ci uduchowieńi debile nie nauczą się nigdy, że nie można „wymachiwać tęsknotą” nawet na pożegnanie?

Jedyne czytelne zdania – jak przystało na przeciętne dzieło polskiej literatury pięknej – znajdują się na okładce. Czytam wydrukowany pomarańczową czcionką tekst, który zaczyna się:

„Tomasz Pohl, to bez wątpienia twórcza indywidualność”

A kończy jeszcze ciekawiej:

„Bardzo p i ę k n y tomik”

Zastanawiam się, czy gdyby Maciej M. Szczawiński wprowadził większe odstępy między kolejnymi literkami w przymiotniku: „piękny” uczyniłby *Niedosyt* Pohla faktycznie piękniejszym?

Mam dość. Mam dość kiedy po raz tysięczny (nie przesadzam – 50 stron x 200 tomików = 1000 sztuk połyskującego literackiego gówna świetnie kontrastującego z celulozą wybieloną podchlorynem) czytam:

*Mała Dziewczynka siedzi skulona w ciele dojrzałej Kobiety
Wstydzi się siebie i też zbieranych pod poduszką
Mały Chłopiec w dużym Mężczyźnie ukrywa się
Czuje się nagi jak Dziecko*

...

[dziewczynka z wyrzutami]

Gdybym to, co miał do powiedzenia na temat tej perły nonsensu ubrał w piórka kulturalnego dyskursu; gdybym nigdy do siebie nie zraził żadnego z polskich krytyków literackich, współczesnych poetów, redaktorów itp., gdybym nie zrobił durniów z nich skończonych, to w ramach riposty przeczytałbym, że:

Poeta w sposób znaczący używa Wielkich Liter. Stosując literacki kod stara skontaktować się z nieuświadomioną częścią duszy, która wprowadzona w socjalizacyjną śpiączkę uodporniła się na konwencjonalny przekaz... bla, bla, kurwa mać, bla.

Później ja odpowiedziałbym. I przeczytałbym inną odpowiedź na moją odpowiedź w sprawie odpowiedzi. Odpowiedziałbym po raz kolejny itp. To samo gówno przerzucane z rączki do rączki przez panów w białych rękawiczkach zmieniałoby się w utwardzoną kulę kałową. Koprolit. Zmieniając konsystencję zmieniałoby może także woń – nasiąknęłoby zapachem detergentów i wody kolońskiej z białych rękawiczek. Dzięki temu stałoby się do zniesienia. Gówno które jest salonfähig! Specjaliści w białych rękawiczkach od brudnej roboty – gówniarze! Czy można napisać gorszy scenariusz.

W ciągu trzech lat pisania zauważyłem, że najbardziej popularne są analizy porównawcze tomików. Że ludzie lubią czytać: jeden tak, a drugi tak. Ten to, tamten siamto. Gówno jednak porównać można tylko fizykalnie. Na początek ciężar:

Tomasz Pohl, *Niedosyt*: waga: 184 g – Adam Pluszka, *french love*: waga 60 g
Gównno Pohla jest o 124 gramy cięższe niż Pluszki. To znaczy, że Pohl je więcej, ma lepszą przemianę materii i za jednym posiedzeniem potrafi się bardziej obficie wypróżnić.
Zważywszy jednak, że Pluszka wypróżnia się częściej – produkując jedną literacką kupę na rok, bilans wydaje się być zrównoważony.

Niedosyt – ta sama waga: 184 g. – Marta Podgórnica, *Dwa do jeden*: waga 124 g.
Znowu Pohl jakby lepszy w produkcji kału, ale dziewczyny z reguły robią kupy mniejsze i mniej śmierdzące niż mężczyźni. Nawet jeżeli kwestia aromatu jest dyskusyjna, to pewne jest że kobiety nie pierdzą tak głośno i tak często jak mężczyźni.

Kolejne konfrontacja: Pohl, *Niedosyt* (184 g) a Wojciech Bonowicz, *Hurtownia ran*: waga 62 gramy. Przewagę Pohla w produkcji literackiego gówna nad kolegą z branży wytłumaczyć można tym, że Bonowicz ma dużo obowiązków służbowych w wydawnictwie ZNAK. Tyra po nocach, nie dojada a na dodatek umartwia się i pości, by osiągnąć tischnerowską świętość za życia. Stąd taka licha kupka. Gdyby jednak zsumować produkcję gastryczną Bonowicza i Podgórnica oraz porównać ją z tym, co wyrzucił z siebie w roku 2009 Tomasz Pohl, to możemy mówić o idealnej wręcz proporcji. O równowadze między gównem A a sumą kup B + C.

Kolejnym etapem analizy porównawczej miało być badanie składu chemicznego oraz uziarnienia.

Śmiałem się z Jakuba Winiarskiego i jego płaskich notatek o książkach. Drwiłem z jego ujednoliconych, mcdonaldowych recenzji. Po trzech latach obcowania z literackim kałem zaczynam doceniać jego wolę przetrwania. Bo potrzeba dużo silnej woli, by tak jak Winiarski tłuc recenzje. Jedna, druga, trzecia, dziesiąta, setna, tysięczna. Jeden wywiad, trzeci, pięćdziesiąty. Po setnym blurbie, po pięćsetnej recenzji człowiek traci czucie. Najbliższa z białych rękawiczek zmienia się w drelichowy łach służb asenizacyjnych. Nie ma na to rady. Normalny człowiek rzuca to wszystko w trzy dupy. Mówi: „Dość, idę. Nie, życie jest piękne! Ale dość mam w życiu tego gówna”. Chyba, że jest się Jakubem Winiarskim – człowiekiem, który poszukiwał etatu, płatnej posady z pełnym zusem itp. Gdy ma się jeden kredyt do spłacenia, drugi i trzeci to trzeba zatkać sobie nos i wzięwszy gówno w palce należy z niego turlać kulki. Niepostrzeżenie – po roku albo dwóch latach dokona się metamorfoza: człowiek zmienia się w krytyka, który bez strat własnych jest w stanie przebrnąć przez tekst:

*hotelowy wiersz jest bardzo nieswój
daleki od domu ma okna oko
na wielkie miasto z widokiem
na przyszłość
europejską lub wiejską
...*

[hotelowy wiersz]

I napisać o nim: **P I Ę K N Y**

Magdalena Bielska, Brzydkie zwierzęta

Nowoczesne poetki oprócz pracy zawodowej – czyli pisania wierszy – mają prawdziwe pasje.

Na przykład taka oto poetka – Magdalena Bielska, dziewczuszka spłodzona tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego przez Państwa Jerzego i Hannę Pilchów – po ciężkim wysiłku twórczym kiedy to zмага się z weną, natchnieniem i kosmitami, odpoczywa oddając się bez reszty swojej prawdziwej pasji – ogrodnictwu. Swoją miłością do stokrotek Magdalena Bielska nie chwali się światu i prawdopodobnie pozostałaby ona sekretem poetki, który zabrany zostałby do trumny gdyby nie wiersze, które w godzinach urzędowania: od 8.00 do 15.00 w dni pracujące Magda Bielska musi pisać.

Magda wystukuje na klawiaturze nie tylko wierszyki ale także – niejako z obowiązku bo tatuś literat a mamusia historyk literatury i córeczce nie wypada zajmować się pieleniem marchewki – pisze „oniryczne, oryginalne prozy” (tekst o „oniryczności” oraz o „oryginalności” został przeze mnie bezmyślnie przepisany ze strony wydawnictwa a5, w którym ukazał się debiutancki tomik poetki Magdaleny Bielskiej, o którym za chwilę.).

Mimo godzin spędzonych na warsztatach literackich prowadzonych przez szanownego Papę, w sercu dziewczyny było tylko jedno miejsce i to miejsce przypadło ogrodnictwu.

Jedna z mądrości ludowych uczy, że co z oczu, to z serca. U poetek – w szczególności u tych najwrażliwszych, a do takich zalicza się Magdalena Bielska, która stanowi biologiczne i duchowe ukoronowanie związku pani i pan Pilch – kolejność jest odwrotna: co z serca to w oczy. I dzięki temu zwykły, szary czytelnik może się dowiedzieć o prawdziwej pasji dziewczyny, której rodzice kazali tworzyć literaturę – czyli o ogrodnictwie.

Magdalena Bielska nie ukrywa swoich namiętności. Jej ciało pozostało posłuszne nakazowi literackiej rodziny, ale duch przez 24 godziny na dobę swawoli w ogródku położonym tuż za domem. Pisząc wiersz poetka pisze go tak, jakby pielęła grządkę, podlewała warzywa, wiązała pomidory do palików. Jej serce wypełnione po brzegi teorią agronomii wylewa żar ze swego wnętrza do duszy kobieciny, a ta następnie sprawnie przerabia go na wersy. Z próbką tego rodzaju przetwórstwa empirii na literaturę mamy do czynienia w tomiku wydanym w 2006 r. pt. **Brzydkie zwierzęta**. Już z pobieżnej tylko lektury dowiedzieć się można, że w ogródku państwa Pilchów jest jak w niebie:

*słodko pachnie maciejka, dzikie maliny
stokrotki mdleją, zakrywają oczy.*

[***]

Kogoś mogłyby zdziwić antropomorfizacja pospolitego kwiatka – stokrotki, która w wierszyku Magdaleny Bielskiej posiada oprócz gałek ocznych także unikalny, typowo ludzki dar utraty świadomości. Zdziwienie niczym zły sen pryska w chwili, w której śmiertelnik uświadomi sobie, że ma do czynienia z opisem ogródka państwa Pilchów – czyli z opisem nieba na ziemi. A w niebie, jak to zwykle w takich miejscach bywa, pełno jest dziwnych

stworów i cudownych roślin, wśród których mdlejące i zakrywające oczy stokrotki nie są niczym niezwykłym.

Przejdźmy do dalszych części opisu owego edenu:

*Słodkie sierpniowe śliwki
chore pomidory, mimo to miały dziki smak.
Słońce schowane za modrzewiami*

[***]

I to byłby koniec sielanki. A o tym, że wszystkie niebiańskie sielanki – w szczególności te, w których biorą udział ludzie a które odbywają się w boskich ogródkach – źle się dla gości kończą, o tym pouczają najstarsze przekazy piśmienne kultury judeochrześcijańskiej. Podobnie rzecz ma się z ogródkiem, który opisuje w poetyckiej relacji Magdalena Bielska. Oto bowiem na idealnym obrazie pojawiła się rysa – cienka niczym chujek dwunastolatka lub jak starotestamentowy wąż, który namówił Ewę by zgrzeszyła. Skaza, która odmieni sposób percepcji grządki z marchewką – oto: chory pomidor. Teraz już nic nie będzie takie jak wcześniej. Bo kiedy pleśń szara dopadnie pomidory, to syfa łapie cały ogródek. I jeżeli doświadczony działkowicz nie podejmie zdecydowanych działań (np. jeżeli nie użyje napalmu i nie wypali wszystkiego do gołej ziemi), to szlag trafi wszystkie rośliny. O tym przekonała się Magdalena Bielska:

*Na starej śliwie owoce chorują z przegrzania
...
Drzewa chowają się we własnym cieniu,
pochylają do ziemi, która jakby mściwie
obojętnie żółknie schnie*

[***]

Widać jak na dłoni, że miejsce onegdaj przyjazne człowiekowi zmieniło się w swoje przeciwieństwo. Owa metamorfoza nie umknęła uwadze poetki, której wyostrzony zmysł obserwacji świata od pewnego czasu robił za kosiarkę do trawy. Oto ogród Pilchów po mutacji:

*Ogród jest stary, dziki, nastroszony
porusza się, chwieje, trzeszczy
grubymi łodygami jeżyn, rude sójki
ostrożnie podchodzą do chorych jabłoni.
Skrzywione gałęzie płaczą się ze sobą.*

[***]

Gdzieś w połowie dzieła pt. *Brzydkie zwierzęta*, poetka Bielska powraca do motywu pomidorów, które w wierszach zdolne są do odczuwania mąk większych niż hiobowe. Na stronie 16. pisze:

Chore pomidory pachną dziko w słońcu.

[***]

Każdy uważny czytelnik w tym momencie pozazdrości poetce konsekwencji w opisie. Okazuje się, że pomidory, które na stronie 6. tomiku „dziko smakowały” dokładnie dziesięć stron dalej zaczęły „dziko pachnieć”. Konsekwencja – jak na poetkę – wręcz niespotykana.

W tomiku *Brzydkie zwierzęta* debiutująca wówczas poetka opisała także „przekwitłe i wilgotne palmy łubinów”, które „kurczą swoje długie palce” (s. 16). Owe cudowne rośliny wymagają do wzrostu szczególnych warunków. Najważniejsze jest powietrze, które w opisywanym przez córkę państwa Pilch ogródku jest: „duszne od zapachu dzikich malin” (s.19). Ci, którzy zazdroszczą poetce uzdolnień oraz utytułowanych rodziców mogliby zarzucić, że ów skład chemiczny atmosfery nie jest czymś wyjątkowym. Wszak mieszankę ową zna ludzkość od czasów Leśmiana. Ale czy Leśmian zdołałby za życia wymyślić: „Powietrze – dzikie i pachnące solą.” (*Sen*, s. 26)? Albo czy inny twórca lub twórczyni polskojęzycznej kultury byliby w stanie wyobrazić sobie na przykład: „żółte powietrze, którym mogą oddychać tylko ćmy” (s. 40)?

Po przygodzie z debiutem spadkobierczyni rodu Pilchów pozostaje mieć nadzieję, że Pan Jerzy i jego Małżonka nie powiedzieli jeszcze swego ostatniego słowa w kwestii zachowania ciągłości rodu. Być może za którymś razem wstrzelą się w ten właściwy moment, w milisekundę dającą początek życiu, które połączy wszystkie rodzinne uzdolnienia.

Adam Pluszka, french love

Poeta Adam Pluszka (rocznik 76') znany jest przede wszystkim z tego, że wraz z innym poetą Adamem – Adamem Wiedemannem – spędza wolne chwile na wspólnej konsumpcji kebabu. Jak to mówią: „Płaczek? Pluszka? – jeden chuj”. Oczywiście w tym przypadku Pluszka płaci – ot, taka mała korupcja. Tak na wszelki wypadek, bo tylko Bóg raczy wiedzieć, kiedy Adam (są na ty) zasiądzie w žiri konkursu, na który on – Adam numer dwa – wyśle wiersze? Tylko Bóg.

Jeżeli chodzi o różnice estetyczne między Adamem (A) a Adamem (B), to Adam (A) nie lubi sosu czosnkowego, za którym Adam (B) wprost przepada. Poza tym Adam (A) zamawia komplet surówek, Adam (B) bierze bez cebuli – lubi, i owszem ale Adam (B) zwykle na wieczór planuje na wieczór ostry seks a po cebuli ma wzdęcia. Puszczanie bąka ukochanemu prosto w usta – tego chciałby każdy Adam uniknąć.

Adam Pluszka jest poetą, który – jeżeli przyjąć, że na jeden tomik poetycki przypada średnio 50 wierszy – w ciągu ośmiu lat (1999-2007.) wydał 500 sztuk wierszy. Płodnością bije na głowę nawet młodziutką seksowną, tłuściutką króliczkę o błyszczącym miękkim i przyjemnym w dotyku futerku, na którą chętkę ma nie tylko każdy z czterdziestu zamkniętych wraz z nią w klatce osobników płci przeciwnej, ale także rolnik, u którego prędzej czy później skończy na stole. (Ktoś mógłby powiedzieć, że przecież Romek Kaźmierski pisze o wiele więcej. Że normę 500. sztuk wyrabia w miesiąc. Owszem, to prawda ale Romek Kaźmierski ma do dyspozycji długie noce polarne, w trakcie których wpada w regularną depresję i wszechogarniającą nudę. Pisanie w tym przypadku ma charakter terapeutyczny.)

french love to dziewiąty tomik poetycki Adama Pluszki wyprodukowany w 2006 r., przy współdziałaniu wydawnictwa ha!art. Tomik składa się z niezwykle równych tekstów. Każdy z tekstów jest dedykowany. I nie chodzi tu o Adama Wiedemanna. Pluszka dedykuje wiersze znanym postaciom kultury. W *french love* znajdują się wiersze m.in. dla Simone Weil, Gastona Bachelarda, Michela Foucaulta, Paula Ricoeura i innych podobnej klasy myślicieli.

Oprócz tego, że każdy z tekstów jest dedykowany, to wszystkie rozpoczynają się kursywą (w domyśle: ma być to cytat z któregoś z dzieł postaci, której Pluszka Poeta Adam wiersz zadedykował)

Ostatnim wspólnym mianownikiem dla wierszy z przedstawianego tomiku jest to, że każdy z osobna oraz wszystkie razem wzięte świetnie korespondują z fizjonomią poety z tą różnicą, że nie sprawiają wrażenia ale są zwyczajnie głupie (pod warunkiem, że wiersze w ogóle mogą być głupie).

Specjaliści są jak zwykle innego zdania:

Pierwszy, ekspert od stawiania przecinków w zdaniu, chociaż niekoniecznie od sensu – Tomasz Charnas – o omawianym tomiku Pluszki napisał:

„to niewątpliwie intertekstowy dyskurs miłosny, palimpsest odzierany z obcej tekstury, obnażający ubezwłasnowolnienie kochaniem wielu języków. Ich podmiot twórczy dąży do

*zaznania metafizyki: w polemicznej, ogarniętej dyskursywnym myśleniem przechodzące przez francuskie wcielenia postmodernizmu, by zaaplikować w ich mowie infiltrację, potraktować odbyte lektury jako przyczynek do nauki własnego idiolektu, pozwalającego odnaleźć i zapisać wyrazy miłości pozatekstowej, ułożyć zdjęcia (z) prywatności, która dojrzewa do racjonalnego o / pisania” (Tomasz Charnas, blurb na ostatniej stronie okładki **french love** Adama Pluszki)*

Ja – Marek Trojanowski – doktor nauk humanistycznych, specjalista wszech dziedzin, przyznać muszę że nie zrozumiałem ani słowa z tego, co Tomasz Charans napisał. Widzę kropki, dostrzegam przecinki – ufam, że użyte zgodnie z regułami interpunkcji – ale najważniejszej rzeczy nie widzę. Sensu brak.

I tu znowu pojawia się kolejny rodzaj korespondencji jako aedequatio – tym razem pomiędzy wierszami Pluszki a blurbem Charnasa. Jaki blurb takie wiersze, ale czego wymagać od blurba skoro wiersze takie a nie inne. *Circulus vitiosus* skoro już jesteśmy przy łacinie.

Inny spec od literatury, piszący dla wszystkich i na wszystkie tematy – Karol Maliszewski o Pluszce i jego dziełach także napisał. A napisał, to co pisze każdemu – czyli:

„Jego [tj. Pluszki –M.T.] wiersze wysforowały się naprzód. Prawem nieprzeciętnego talentu.”

Skąd się wzięła ta różnica w odbiorze wierszy Pluszki? Gdzie szukać odpowiedzi na proste w gruncie rzeczy pytanie: dlaczego innym podobają się wierszyki, które mi się nie podobają? Mógłbym to wytłumaczyć guzem mózgu Trojanowskiego lub zbiorową paranoją. Można odwołać się do rocznych statystyk pogodowych i próbować dowodzić, że Maliszewski, Charnas i wszyscy ci, którym się podoba twórczość literacka Adama Pluszki żyją na tych obszarach, na których wskutek takich a nie innych ruchów mas powietrza oraz rozkładu frontów barycznych dociera mniej tlenu i w związku z tym ich nie dotlenione umysły nie są w stanie postrzegać rzeczy takimi jakie są. Najprościej jednak będzie przeanalizować wiersze Pluszki, by odnaleźć źródło tak rozbieżnych sądów.

Na początek jeden z wierszy dedykowany dla Gastona Bachelarda:

W głębi materii krzewi się mroczna roślinność. Stąd blisko do kwiatyzmu, a stamtąd wszędzie jest daleko. Właśnie wracam. Za chwilę wsiądę w wagon i metrem odmierzając kolejne stacje tafię do naszego ogrodu

botanicznego gdzie brak skrajnych kolorów, całość tonie w delikatnym półmroku. Tu usta ciepło przypominają każdy kwiatu płatek, choćby były ściśnięte mrozem na żółto rysowanej ulicy. Tutaj wiele

słów nie pada, bo widzieć się możemy tylko przez zamknięte oczy. A krzykiem spłoszą się dopiero co narodzone pędy ufnie owinięte wokół nogi. Ruszać

też się nie ma co gwałtownie. Co skryte za plecami miewa twardość codzienności. Ona ma obce dłonie i palcami złożonymi w sekator przytnie, czego nie widać.

[2.]

A teraz – w celach czysto badawczych – weźmy inny fragment pochodzący z innego dzieła kulturowego przy którego powstaniu (co dziwić może zważywszy na płodność Pluszki) poeta Adam nie maczał swoich literackich paluszków. Oto scena z pewnego filmu polskiego:

Długa przerwa. Chłopak – ksywka „Żeli” – wiek ok. 17 lat, modnie ubrany, włosy ulizane przy pomocy żelu (typ playboya z filmów klasy B) przysiada się do dziewczyny na ławce. Na ławce sąsiednio ustawionej siedzi inny chłopak. Zwrócony do pary plecami czyta książkę. Lowelas go ignoruje, zakładając nóżkę na nóżkę zwraca się do dziewczyny kładąc lewą rękę na oparciu ławki. Rozpoczyna się rozmowa:

- dzień dobry
- dzień dobry
- jesteś bardzo ładna, chciałem cię poznać.
- dziękuję.
- Platona opowiadał, że kiedy zrzucano ludzkie dusze z nieba na ziemię ...

[w tle zaczyna rozbrzmiewać romantyczna melodia]

- ...to pękały i rozpadały się na połówki. I od tego momentu błąkają się po ziemi w poszukiwaniu swej drugiej połowy. I wiesz, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, to od razu wiedziałem, że to właśnie ty jesteś tą moją połową. Czujesz to samo?
- Nie.
- Jest taka stara serbska pieśń „jutro będzie koniec świata niech przypadnie, mała strata”. I do dziś też tak myślałem... do dziś. Życie nie jest zepsute, życia ma tylko gorzko słodki smak. Jesteś taka słodka i tak gorzkie jest to, że jesteś taka młoda ale z żadnego z tych smaków nigdy bym nie zrezygnował.
- Ty, Żeli, długo tak możesz? – przerywa mu chłopak, który był świadkiem rozmowy.
- Długo – odpowiedział playboy i kontynuował...

Tak wygląda jedna ze scen filmu Władysława Pasikowskiego z 1996 r.

Słodko gorzki jest generalnie jednym z najsłabszych filmów tego reżysera, ale przytoczona scena doskonale obrazuje w gruncie rzeczy dość naiwny mechanizm, z którego korzystają nie tylko lowelasi. Adaś Pluszka – ksywka Króliczek Żeli – postępuje podobnie. By złapać czytelnika, rzuca mu przynętę z **Platona**. Króliczek Pluszka Żeli wyrwa swój literacki elektorat na postmodernistów francuskich.

Łatwo sobie wyobrazić taką oto scenę:

Adam Wiedemann po udanej misji w roli jurora w konkursie poetyckim siedzi sobie na ławce w parku przy GOK-u i zajada się ufundowanym mu przez finałową trójkę kebabem. Po chwili przysiada się do niego Adam Pluszka, który je kebab i oblizując palce utaplane sosem czosnkowym mówi:

- Zwróćmy uwagę na styl. Dużo myślę o liofilizacji...
- A co to takiego?

- Nie przerywaj. Jeszcze raz od początku: „Zwróćmy uwagę na styl. Dużo myślę o liofilizacji, może / niestusznie...

[w tle zaczyna rozbrzmiewać jakaś romantyczna melodia znana ze starych amerykańskich filmów z happy endem]

...O takiej sublimacji, która tylko w próżni ma / szansę. Styl uchyleń, do zliczania których potrzeba setki / dłoni wieloletnich pracowników traktatu, przypomina mi // kosarski syndrom autonomii...

- A mi przypomina, że nie zabraliśmy serwetek. Skocz, przynieś kilka, ale tak na jednej nóżce.

- Czy wiesz, że zdanie: „zwróćmy uwagę na styl” to z Jeana-Francoisa Lyotarda?

- To ma być ta jedna nóżka?

Scena z filmu *Słodko gorzki* Pasikowskiego kończy się tak, że dziewczyna łapie się bajer lowelasa. Przynęta z **Platona** zadziałała. Życie uczy, że taki sposób nęcenia jest skuteczny i nawet najbardziej uzdolniony matematycznie ginekolog nie jest w stanie policzyć ile to błon uległo defloracji na tzw. „egzystencjalizm”, ile to „sartre’owskich „ciąż zostało po cichu wyskrobanych. Podobnie rzecz ma się z *french love*: Pluszka nawtykał tu tylu filozofów, że Wiedemann musiał przynajmniej raz mlasnąć przeżuając fundowanego kebaba.

Tomik *french love* Adama Pluszki jest zaledwie promilem z tego, co ma do zaoferowania autor cywilizowanemu światu. I świat powinien się tego obawiać. Nie chodzi tu o zmiany świadomościowe ale o ocieplenie klimatu. Bo kiedy Pluszka na spójkę z ha!artem będzie w takim tempie produkował tomiki wkrótce okazać się może, że zabraknie lasu tropikowego by zdążyć z produkcją papieru.

Urszula Koziół, Horrendum

Edek (to pytanie skierowane bezpośrednio do Edwarda Pasewicza), powiedz jak to jest? Kiedy wchodzisz do marketu i błędzisz między regałami, a później gdy stoisz w kolejce do kasy, to czy słyszysz za plecami GŁOSY: „to on, mówię ci, to Pasewicz. Nie, nie. To chyba nie on. To on, poważnie, na sto procent, że on”?

Edward Pasewicz może publicznie olać indagującego wraz z pytaniem. Na podobny popis ekshibicjonizmu zdobyć się może pozostała część zainteresowanej tematem populacji. Jednak niezależnie od konsystencji i składu chemicznego moczu oraz siły strumienia na to pytanie odpowiedzieć należy, gdyż będzie to jednocześnie odpowiedź na pytanie o szerokość marginesu recepcji poezji.

[uwaga: trudność z koncentracją. Podśłuchuję Kurta Weila, stąd ta pokraczna konstrukcja zdaniowa]

W przeciągu ostatnich kilkunastu lat wymyślono prawdopodobnie wszystkie slogany dotyczące relacji między poezją a krytyką literacką. Że poezja tylko dla krytyki, że krytyk to idealny czytelnik, i że idealny poeta to taki, który potrafi napisać wiersz dla idealnego krytyka.

Później – albo może kolejność była odwrotna – ktoś wymyślił drugi slogan: że poezja jest dla poetów. Że poeci piszą dla innych poetów. Że jeden poeta czyta wiersze drugiego poety i że ten drugi pisze dla trzeciego, a trzeci uszczęśliwia swoimi wierszami czwartego itd.

Na końcu pozostał gdzieś w zawieszeniu, w obawie przed każdą formą werbalizacji strach, że być może poezja jest dla nikogo. Że nie istnieje nie tylko czytelnik ale także odbiorca wiersza. Ten strach ma swoje drugie, bardziej przerażające oblicze. Przyjęcie tezy: „poezja jest dla nikogo” oznacza pogodzenie się z faktem, że produkcja liryczna w postaci wydawanych tomików doskonale wyczerpuje zakres semantyczny powiedzonka: „psu na budę”. Że wszystkie publikacje, książki poetyckie cały ten papierowy biznes jest dosłownie z papieru, jest jakąś kuriozalną odmianą potiomkinowskiej wioski tyle, że mniej trwałą bo zamiast dyktu tu w konstrukcji użyto kartonowych okładek lub też, że jest zwykłym wypełnianiem misji o nazwie: „krzewienie kultury” wpisanej w statut mediów oraz wydawnictw.

Jacek Dehnel wychodząc rano po bułki do marketu i chcąc usłyszeć GŁOSY przebiera się. Czarna pelerynka, cylinder też czarny i laska odpowiedniej długości i czarne buciki. Żerując na popkulturowym wyobrażeniu rycerza z Gotham City próbuje utrwalić swój wizerunek. Chce być rozpoznawalny. Jeżeli numer z Batmanem nie wychodzi, to gotów zdjąć obuwie i skacząc po peerelowskich meblöściankach udawać dzdiziałego potomka arystokratycznego rodu Greystoke'ów, pokrzykując rytmicznie :
- Banana! Banana!

Założmy jednak, że mimo niesprzyjających po temu okoliczności coś takiego jak godność w świecie literackim jeszcze istnieje oraz że są ludzie piszący wiersze, którzy nigdy nie wespną się na szafę i nie poproszą o banana. Przypuśćmy, że aby być rozpoznawalnym poetą nie trzeba kupować stroju Batmana, by – pocąć się niemiłosiernie – paradować w nim od 10.00

do 18.00, w godzinach urzędowania. Dla potrzeb czysto teoretycznych przyjmijmy także, że istnieje w polskojęzycznej populacji taka jej część, która jest żywo zainteresowana najnowszą poezją. Jeżeli tak jest, to jak wytłumaczyć fakt, że Edward Pasewicz nie słyszy GŁOSÓW po wyjściu z domu. Jak zatem wytłumaczyć fakt, że Dorota Robaczewska – poetka tej klasy co Jacek Dehnel – każdego ranka w drodze po bułki i mleko musi przedzierać się przez tłumy fanów, których zapału i determinacji nie jest w stanie ostudzić jednostka GROM dorabiająca po godzinach? Czy ten kraj nigdy nie otrząsnął się z barbarzyństwa duchowo-kulturowego?

Czy pokolenia tresowane na wersach:

*Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...*

może czytać najnowszą poezję polską? Czy w nowoczesnych utworach literackich współczesnych człowiek jest w stanie odnaleźć coś interesującego dla siebie a następnie przyswoić to z taką mocą z jaką masy społeczne – których jest częścią – wchłaniają słowa:

*Nie daj się, ludzie niech swoje myślą
Nie daj się, z diabłem do piekła wysłą
Nie daj się, warto być w życiu tylko sobą*

Na tym etapie rozważań pojawia się Jan Kowalski.

Jan Kowalski jest statystycznym Polakiem. Ma jedno dziecko (bo wg statystyk należy mieć tylko jedno dziecko) i żonę też ma, której co miesiąc oddaje swoją statystyczną pensję w wysokości 2700 zł. brutto. Do pracy wychodzi o statystycznej porze – przed ósmą rano. Wraca także zgodnie z statystycznym zegarem: po 18.00. Czasami wróci później. Na jedno z najczęściej zadawanych pytań współmałżonki: „gdzie byłeś” – wg statystyk z 2009 r. – statystyczny mąż i ojciec wymyśli statystyczne kłamstwo: „musiałem zostać po godzinach” czym sprowokuje statystyczną awanturę, spór o ilość wypitych piw oraz na temat złego wpływu kolegów.

Jan Kowalski należy do tej połowy społeczeństwa, która wg statystyk czyta przynajmniej jedną książkę w roku. Żeby wprowadzić mały element irracjonalnych do tych jakże przeraźliwie statystycznych rozważań założmy, że Jan Kowalski – tak się szczęśliwie złożyło – wydał w 2010 roku dwadzieścia sześć złotych na zakup książki. Zatem nie tylko należy do tej połowy narodu, która czyta ale także zalicza się do tych statystycznych 30% z połowy, która zanim przeczyta jedną książkę w roku wyda na nią pieniądze.

Pewnego niedzielnego popołudnia, którego przebieg oraz dynamikę także dałoby się przedstawić za pomocą statystyk rocznych, gdyby takowe istniały, nasz statystyczny bohater zasiadł do lektury. Kowalski właśnie odpoczywał po imprezie, które jak wynika ze statystyk zawsze przypadały na noc z soboty na niedzielę. Bawił się jak przystało na statystycznego Polaka w średnim wieku. Żonę zostawił w domu z dzieckiem a sam spędził noc z seksownymi koleżankami z pracy oraz z kolegami, z którymi wypił kilka butelek wódki. Statystyczny Polak, jak to wynika z najnowszych badań, wypija coraz mniej alkoholi wysokoprocentowych, preferując raczej wino czy piwo. Nasz Kowalski ma gdzieś najnowsze statystyki. W tym zakresie nie identyfikuje się z wydelikacjami, metroseksualnymi

lalusiami badanymi w 2009 roku lecz ze starą, statystyczną gwardią, która w 2007 r. potrafiła przelać przez gardło 16,7 milionowa litrów wódki w miesiąc. To upodobanie oraz mocna głowa – jak to wynika ze statystyk – nie imponuje statystycznej koleżance z pracy. Jednak takimi drobnostkami nasz Jan Kowalski się nigdy nie przejmował. Każdy statystyczny sobotnio-niedzielny wieczór kończył się statystycznie – tzn. z nosem w majtkach statystycznej współpracownicy. Co robiła wówczas statystyczna żona, gdy mąż spełniał swoje statystyczne obowiązki? – Tej kwestii jeszcze nie zbadano

Wracając do popołudniowego rytuału. Otworzywszy książeczkę na losowo wybranej stronie przeczytał fragment:

*aż chciałoby się napisać
lingwo
ojczyzno moja –
stale
noszę ją w sobie*

*tę lingę moją
nie moją
tę jakąś bezbrzeżną
załącznię
w której pluskają umykające
wymigujące się
wybłyskujące i gasnące znów
drobne załączki wierszy moich
nie moich
rozproszone*

[lingwa]

Łatwo sobie wyobrazić jego zdziwienie kiedy okazało się, że pachnący farbą drukarską nabytek nie jest sensacyjną powieścią czy też baśniową historia o czarodzieju w okularach ale tomikiem poezji. Trzeba wiedzieć, że prawdopodobieństwo trafienia tomiku poetyckiego w statystycznym empiku jest bliskie zeru. W labiryncie regałów obładowanych książkami, atlasami, poradnikami, gazetami trudno znaleźć drogę do wyjścia nie wspominając o odnalezieniu cieniutkiej i zwykle nie rzucającej się oczy książeczki z wierszami. Ale nasz Jan Kowalski miał więcej szczęścia niż inni statystyczni Kowalscy. Mógłby zadać sobie pytanie: „dlaczego ja? Dlaczego padło właśnie na mnie?”. Lecz w eksplikacji tych przypadków, w których mamy do czynienia z ingerencją Ślepego Losu wszystkie teorie naukowe, statystyki oraz inne racjonalizacje zawodzą. Kowalskiemu nie pozostało nic innego jak z pokorą przyjąć ów dar od Losu – co też uczynił.

Pojawia się pytanie: ilu Polaków po przeczytaniu zdania: „aż chciałoby się napisać lingwo ojczyzno moja – stale noszę ją w sobie tę lingę moją nie moją tę jakąś bezbrzeżną załącznię w której pluskają umykające wymigujące się wybłyskujące i gasnące znów drobne załączki wierszy moich nie moich rozproszone” zdecyduje się na dalszą lekturę? Ilu zaś porzuci popołudniowe czytanie?

Nasz Kowalski wyłamał się spod racjonalnego jarzma liczb i kolorowych słupków, którego ciężar odczuwał w każdej minucie swojego mieszczańskiego, przewidywalnego życia. Wbrew

zasadom dyktowanym przez zdrowy rozsądek, na przekór bólowi głowy, który odziedziczył w spadku po suto zakrapianej nocy zdobył się na akt w tych okolicznościach heroiczny: oddał się procesowi refleksji.

Analizując fragment: „lingwo ojczyzna moja” dotarł do takich pokładów wspomnień z dzieciństwa, w których pojawiła się chuda nauczycielka języka polskiego z hemoroidalnie pomarszczoną twarzą. Przypomnił sobie mękę: uczenie się na pamięć Inwokacji z Pana Tadeusza oraz to, jak egzekwowano ową znajomość dzieła narodowego wieszczą w trakcie 45. minutowej lekcji. To było najdłuższe 45 minut w jego życiu. Nigdy wcześniej a także i później nie miał okazji zaobserwować tyle sadystyczno-demonicznej pasji na twarzy człowieka. Chociaż dzisiaj nie był pewien czy polonistka o gruźliczej sylwetce wymachująca kijem nad głowami tych, którzy nie mogli sobie przypomnieć do jakich to miejsc miała zostać przeniesiona dusza utęskniona, była w ogóle człowiekiem.

Otrząsnąwszy się ze złych wspomnień Kowalski czytał dalej:

*obejmę deszcz
oburącz
żeby przytrzymać się chmury*

[Gamy I]

Tym razem statystyczny Kowalski zareagował statystycznie – wybuchnął śmiechem. Śmiał się i śmiał, śmiał i śmiał, a kiedy jego statystyczna małżonka zaniepokojona tym jakże niestatystycznym śmiechem (ilu ludzi jest w stanie śmiać się nieprzerwanie przez dwie godziny i czternaście minut?) zapytała o powód jego zadowolenia zrobił jej wykład na temat: sztuki obejmowania deszczu oburącz żeby się wspólnie pośmiać.

Zanim statystyczny Kowalski udał się do innych statystycznych zajęć, zdążył przeczytać jeszcze kilka wierszyków.

Wierszyk pierwszy przeczytał w całości tylko dlatego, że był krótki:

*Mam uczulenie na końską sierść
zatem nie jeżdżę konno
od psiego pyska boli mnie ząb
oraz na wskroś przenika mnie ziąb
no i do mężczyzn naganną
bezustanną mam skłonność
jak mniemam*

[melodyjka]

Wierszyka drugiego przeczytał zaledwie fragment. Ale to i tak dużo, gdyż po przeczytaniu wersów na temat „oczywistości kuli u nogi dmuchawca” uznał tekst za bezbrzeżnie głupi:

*to co bliskie co wydaje się
oczywiste jak choćby ta u nóg kula
dmuchawca*

*ta jego konstrukcja jakże się ma
do mnie
nie mówiąc o tym jak to się ma
względem kosmosu*

horrendum

*każde z osobna nasionko
przezroczyście nie
ważkie
wzlotne*

ble, ble, ble

[Horrendum]

W poniedziałek Jan Kowalski zjawił się punktualnie o 8.00 w biurze. Z aktówką, w garniturze, dokładnie ogolony i uczesany – oto statystyczny przedstawiciel klasy średniej. W trakcie przerwy na lunch opowiadał o swoich sobotnio-niedzielnych perypetiach. Wymieniał się z kolegami statystycznymi danymi na temat konsystencji śluzu pochwowego statystycznej koleżanki pracującej w dziale Obsługi Klientów Biznesowych. O wierszach Urszuli Koziół nie wspomniał ani słowem. Mało tego – statystyczny Jan Kowalski nie wie, że czytał wiersze Urszuli Koziół z tomiku *Horrendum* – gwiazdy rodem z PRL-u – której biogram w tym spisie publikacji, nagród i wyróżnień zajmuje całą stronę w wikipedii.

Wygląda na to, że w statystycznych społeczeństwach życie statystycznego poety nie jest łatwe.

Wojciech Bonowicz, Hurtownia ran

Kiedyś z kolegą próbowaliśmy odpowiedzieć na pytanie: dlaczego ksiądz jest księdzem? Do rozmowy przystąpiliśmy z różnych powodów. On dlatego, że nie mógł jeszcze ochłonąć po niedzielnym debiucie w roli neoprezbitera, ja dlatego że, lubiłem dyskusje i zawsze byłem przeciw – nieważne o czym by rozmawiano.

Młody duchowny, którego umysł i ciało hartowało się w skąpo oświetlonej celi jednego z tesalskich Meteorów wykazywał zdumiewające obeznanie w zakresie znajomości tekstów klasycznych. Twierdzenie istnieniowe: ksiądz jest księdzem, ponieważ nim jest – którym rozpoczął swój wywód wcale mnie nie zaskoczyło. Przeciwnie, byłem na nie przygotowany. Od kiedy, w wieku jedenastu lat, nauczyłem się rozgrywać tzw. Obronę Pirca w wersji Mariottiego to przewidywanie kolejnych posunięć przeciwnika w jakiegokolwiek rozgrywce z moim udziałem (kategorię gry należy tu rozumieć bardzo szerokie) sprawia mi dziką wręcz przyjemność. Czy ksiądz, którego umysł ostrzył się na klasyce scholastyki mógłby wyjść poza najogólniej rozumianą teorię tego, co jest?

Pionek na e4.

Siedział tak naprzeciwko mnie, obracając w długich i kościstych palcach stuletniego karczmiaka odpitego gdzieś tak w jednej czwartej. W grubym, zielonkawym szkłe, w którym w małych pęcherzykach przypominających galaktykę Drogi Mlecznej przedwojenni glasblaserzy uwięzili minimalne dawki powietrza, odbijała się twarz młodego księdza – fizjonomia jezuita, który próbując rozwiązać wszystkie antynomie teologiczne osiągnął taki stopień samoświadomości, w którym nie istniały żadne ograniczenia, w szczególności te, których źródło tkwiło w grzesznej i z definicji niedoskonałej materii. To nie była twarz fanatyka. Pełne usta i duże głęboko osadzone oczy zdradzały łagodność charakteru. Owszem, łagodności i zrozumienia dla grzesznej natury ludzkiej nigdy mu nie brakowało. Jednak czasami – a takich momentów zdarzyło się dużo do tej pory w jego trzydziestotrzyletnim życiu – zmieniał się w doskonałą lecz odczłowieczoną maszynę napędzaną siłą tylko tych dogmatów, dla których znalazło się miejsce między wyświechtanymi okładkami Katechizmu Kościoła Katolickiego. Nie jestem pewien, które jego wcielenie bardziej polubiłem. A może polubiłem oba? Mniejsza o to.

Mój kontrargument był w gruncie rzeczy prosty. Chodziło o to, by zanegować – póki co na gruncie formalnym – fakt istnieniowości. Jedno zdanie: „A może ksiądz nie jest księdzem?” – wywołało spodziewaną reakcję. Rozmówca w skrojonej na miarę sutannie, który w trakcie studiów teologicznych osiągnął mistrzowski poziom panowania nad sobą i swoim głosem, wychylił do dna kieliszek i nawet nie skrzywił się, gdy ponad siedemdziesięcioprocentowy calvados własnej produkcji rozlał mu się na języku by spłynąć palącą stróżką w kierunku przełyku. Otarłszy usta pouczył mnie, że nie wypada tak niespodziewanie jak ja to właśnie uczyniłem zmieniać tematu rozmowy i że zamiast torpedować jego tezy przez wprowadzanie prostych negacji powinienem skupić się na konstrukcji dowodu bądź wykazaniu fałszywości któregoś z jego założeń.

Istnieją różne rodzaje satysfakcji. Jedni potrafią ją osiągnąć tylko z palcem w dupie, inni wtedy gdy posiadają odpowiednią liczbę zer na koncie. Są też proste rodzaje zadowolenia –

np. wędkarza, który wyciąga na brzeg dużą rybę złapaną na małe ziarenko pęczaku. Jako prosty człowiek gustowałem w tych drugich. Wszystkiego rodzaju komplikacje – szczególnie te najbardziej barokowe w formie – z mojego punktu widzenia nie były interesujące. W tej chwili, w której odbierałem pierwsze pouczenie od nie ostygniętego jeszcze po mszy prymicyjnej księdza czułem się jak rybak, który na prostą przynętę zamiast rybki złapał człowieka. Wyrecytowałem z pamięci:

Każdemu sądowi twierdzącemu odpowiada przeciwny mu przeczący, a każdemu przeczącemu – twierdzący.

- Stagiryta, *Hermeneutika* księga 6 – odpowiedział.
– Taaa, moja ulubiona. **Fragment** 71a – uściśliłem.

Na jego wychudzonej, chrystusowej twarzy nie zadrgał ani jeden mięsień. A ja wiedziałem, że usłyszawszy cytat z Arystotelesa zwątpił, że zawahał się. Nie chodziło już o mnie, ani o spór dotyczący istoty ale o autorytet z którym musiał podjąć polemikę. Jak tu polemizować skoro cała scholastyka opiera się na potędze autorytetów. On dobry uczeń, szkolony był do faktycznego i formalnego posłuszeństwa. Przysięgał, składał kolejne śluby a wszystko po to, by stać się dobrze dopasowaną cegiełką budowli teoretyczno-instytucjonalnej, którą kolejne pokolenia mu podobnych wznosiły z powodzeniem od dwóch tysięcy lat na barkach mniejszych lub większych Arystotelesów.

W 1977 roku Mariotti rozegrał dziwną partię. Zwykle, niezależnie od tego czy grał białymi czy czarnymi rozpoczynał Obroną Sycylijską. Tym razem zagrał białymi i Atakiem Trompowskiego. Mimo nietypowego otwarcia rozgromił przeciwnika: Aleksandra Bieliawskiego. Chwilę później lub tuż przed – dokładnie nie pamiętam – urodziłem się ja.

Rozmowa na temat istoty kapłaństwa nie doczekała się finału podczas tamtego spotkania. Trwa nadal i nic nie zapowiada jej końca. W związku z tym, że ma być to jednak tekst o wierszach Wojciecha Bonowicza wydanych w tomiku pt. *Hurtownia ran*, to warto spróbować rozstrzygnąć kwestię następującą: „Dlaczego Wojciech Bonowicz jest poetą?”

Odpowiedź Pierwsza:

Wojciech Bonowicz jest poetą, ponieważ był / jest zatrudniony w Wydawnictwie ZNAK.

Sed contra:

W Wydawnictwie ZNAK zatrudniona jest także na etacie sekretarki Pani Małgosia. Ona nie jest poetką.

Aporia:

Jeżeli $[(A + x) = Y]$ oraz $[(B + x) \rightarrow (\sim(=)) Y]$ a $(A = C)$ oraz $(B = C)$ to $[?(+)]$

Comm.

Wojciech Bonowicz [A] oraz Pani Małgosia [B] są zatrudnieni [+] w Wydawnictwie ZNAK [x]. To nie jedyne z podobieństw, które ich łączy. Wojciech Bonowicz [A] jest [=] człowiekiem [C] oraz Pani Jadzia jest człowiekiem [C]. Zatem jeżeli:

ponieważ $C = C$ to $A = B$

$[(C + x) = Y]$ i $[(C + x) (\sim(=)) Y]$ to:

aporia dotyczy tego, że: $[C]$ pozostając w tym samym systemie odniesienia $[+ x]$ jednocześnie jest i nie jest $[Y]$ – **czyli**:

$C \rightarrow [(=) \wedge ((\sim (=)))]$

Problem jak się okazało dotyczy nie tego czy $[C]$ jest $[Y]$, tylko tego w jaki sposób C jest $[(=)]$ w ogóle. I na tym etapie pojawia się druga możliwa odpowiedź na pytanie: „Dlaczego Wojciech Bonowicz jest poetą?”.

Odpowiedź Druga:

Wojciech Bonowicz jest poetą, ponieważ jest / był zatrudniony w Wydawnictwie ZNAK bardziej niż inni.

Comm.

Wydawnictwo Znak jest systemem, w którym $[C]$ może być bardziej niż inne $[C]$.

Lemat:

Tzw. *Aksjomat Illga*.

$C (I) \neq Y$

$C (I) ++ x \rightarrow C (I) = Y$

$[C (I) \neq Y] \rightarrow [Y (I) = T 0]$

gdzie:

$[++]$ oznacza: „bycie bardziej”

Comm.

Jerzy Illg $[C (I)]$ nie jest poetą $[Y]$. Ale Jerzy Illg, dlatego że w Wydawnictwie ZNAK jest bardziej $[++]$ wydał własny tomik wierszy $[T]$ pt. „Wiersze z Marcówki” i dzięki temu stał się poetą mimo, że wartość jego dzieła poetyckiego była zerowa $[T 0]$, gdyż Jerzy Illg $[C (I)]$ nie jest poetą $[Y]$.

Wracając do Odpowiedzi Drugiej. Składa się ona z dwóch członów:

Wojciech Bonowicz jest poetą

Wojciech Bonowicz jest / był zatrudniony w Wydawnictwie ZNAK bardziej niż inni

W zapisie formalnym:

$C(B) = Y$
 $C(B) \leftrightarrow x$

Czyli:

$[C(B) = Y] \rightarrow [C(B) \leftrightarrow x]$

Zastosowanie wprost Aksjomatu IIIga nie jest tu możliwe ze względu na kolejność członów implikacji. Gdyby następnik był w poprzedniku i odwrotnie to implikacja wyglądałaby następująco:

$[C(B) \leftrightarrow x] \rightarrow [C(B) = Y]$

Wówczas na mocy Ax. IIIga uprawnione byłoby twierdzenie, że:

$C(B) \leftrightarrow x = Y$

Odpowiedź Druga: „Wojciech Bonowicz jest poetą, ponieważ jest / był zatrudniony w Wydawnictwie ZNAK bardziej niż inni” wymaga zatem rozstrzygnięcia wartości logicznej zdania:

$[C(B) = Y] \rightarrow [C(B) \leftrightarrow x]$

Implikacja jest fałszywa wtedy i tylko wtedy, gdy jej poprzednik jest prawdziwy, a jej następnik fałszywy. Zdumiewająca właściwość implikacji polega na tym, że jeżeli jej poprzednik jest fałszywy, to (bez względu na wartość jej następnika) jest prawdziwa. Oznacza to, że z fałszu wynika – lub, że z fałszu można wyprowadzić – dowolne, prawdziwe, jak i fałszywe zdanie.

W tym konkretnym przypadku wartość logiczna następnika wynosi (1). Zdanie: „Bonowicz jest zatrudniony w Wydawnictwie ZNAK bardziej niż inni” jest zdaniem prawdziwym. Zatem bez względu na to, jaka jest wartość prawdziwościowa poprzednika czyli zdania: „Wojciech Bonowicz jest poetą” – czy będzie ono fałszywe (0) czy prawdziwe (1) – wartość implikacji będzie wynosiła (1)

Innymi słowy szczególny rodzaj bycia bardziej Wojciecha Bonowicza w Wydawnictwie ZNAK jest gwarancją prawdziwości zdania: „Wojciech Bonowicz jest poetą”. Pozostaje jednak problem z Aksjomatem IIIga, który straci swoją moc dowodową wówczas gdy zdanie: „Wojciech Bonowicz jest poetą” okaże się być zdaniem prawdziwym. W tym konkretnym przypadku chodzi o prawdziwość materialną dlatego też konieczna jest analiza dzieła Wojciecha Bonowicza – książki pt. *Hurtownia ran*.

Lektura wierszy Wojciecha Bonowicza z wydanego w 2000 roku zbioru pt. *Hurtownia ran* przypomina raczej czytanie codziennej gazety. Autor tekstów – bo trudno w niektórych przypadkach nazwać je wierszami – konstruuje je na zasadzie newsów publikowanych w stałych rubrykach. Wojciech Bonowicz dodaje do swoich wersówek takie frazy jak:

„o jak dobrze odbudowała poezja nasze starania” [Wzgórze]
„sny są dziś cięższe niż literatura” [Syrena]

po to, by Odbiorca nie miał wątpliwości, że obcuje z tekstem z pogranicza metaliteratury – czyli literatury o literaturze, która z definicji należy do kultury wysokiej.

Zresztą tomik Wojciecha Bonowicza *Hurtownia ran* rozpoczyna się rodzajem ukłonu do wszystkich zainteresowanych literaturą – bo że tylko osoby zainteresowane literaturą sięgają po tego rodzaju produkcje literackie jaką jest m.in. omawiana książka, z tego nie tylko Bonowicz zdaje sobie sprawę. Oto tekst:

*Okrucieństwo literatury? Dwa zdania z których jedno
Zabija drugie i przejmuje jego słowa.*

[***]

Wojciech Bonowicz nie umieścił w tomiku cytatów z Heideggera jak to zrobi dekadę później Tadeusz Dąbrowski, by wzmocnić odbiór wierszy. Mimo to na pewno znajdzie się ktoś, kto w tym fragmencie doszuka się pewnych odkrywczych przemyśleń na temat istoty oraz sposobu funkcjonowania wszystkich możliwych konstrukcji zdaniowych w zbiorze o nazwie „LITERATURA”. Do tych zadowolonych czytelników wierszy Bonowicza z tomiku *Hurtownia ran* zaliczają się m.in.

Adam Wiedemann, który był redaktorem pierwszego wydania *Hurtowni ran*, wydanego w Bibliotece Studium. Trudno się zatem dziwić, że kiedy recenzował reedycję wzbogaconą o dodatek „Wierszy ludowych” napisał:

*Niewiele tu teologicznego fantazjowania, sporo natomiast poetyckiego guślarstwa,
miniaturowych obrzędów, prób odczytania domniemanych znaków.*

Marcinowi Świetlickiemu także spodobały się wiersze. Chociaż bardziej te ludowe niż poranione. Napisał:

*Arcydzieło poezji prorodzinnej! Wiersze ludowe są bardziej ludowe niż Ludowe Wojsko
Polskie. Lud powinien odwdzińczyć się swojemu Poecie.*

Jednak Marcinowi Świetlickiemu, który często pogrąża się w pewnych stanach cały świat wydaje się piękny i ludowy niczym PRL.

Na przychyłność Karola Maliszewskiego także mógł liczyć Wojciech Bonowicz. Karol Maliszewski jest z definicji przychylny. I tym razem nie zawiódł:

*W hałasie nie słyhać słów. Bonowicz je właśnie powymyślał, dopisał w imieniu wszystkich.
W imieniu tych milczących też. Dlatego te wiersze są „ludowe”.*

Chociaż w recenzji, podobnie jak Świetlicki skupił się raczej na dodanej w reedycji części ludowej.

Wiersze by były wierszami muszą posiadać to „coś”. Owo „coś” mimo że różnie nazwane za każdym razem jest lub nie. W *Hurtowni ran* Wojciecha Bonowicza nie ma ani jednego tekstu, który by owo „coś” posiadał. Przykład:

*Co napisałem mogło przyjść o świcie.
Dom nasiąkał powoli a wypita woda*

*rurami ciała wracała do ziemi.
Co napisałem dziś w czarnym zeszycie
mogło się zdarzyć. Leżałem ostrożnie
i gdy zrobiło się jasno zasnąłem.*

[center]

Trudno odnaleźć odpowiedź dlaczego wiersze Wojciecha Bonowicza ze zbioru *Hurtownia ran* doczekały się wydania. Być może dlatego, że już wówczas Wojciech Bonowicz – jak informuje biogram na ostatniej stronie okładki – był „redaktorem miesięcznika ZNAK” i głupio było jakoś Adamowi Wiedemannowi odmówić redaktorowi miesięcznika ZNAK publikacji. Zresztą nie on jeden miał takie trudności – podobny los spotkał Romana Honeta, który musiał wydać *Cosinus salsę*.

Okazuje się, że w świecie literackim *Aksjomat Illga* działa i ma się dobrze.

Tadeusz Dąbrowski, Czarny kwadrat

W INDEKSIE ZAWODÓW ujętych w klasyfikacji zawodów i specjalności wprowadzonej rozporządzeniem Ministra Gospodarki i Pracy z dnia 8 grudnia 2004 r. (Dz.U. Nr 265, poz. 2644), zmienionej rozporządzeniem Ministra Pracy i Polityki Społecznej z dnia 1 czerwca 2007 r. (Dz. U. Nr 106, poz. 728) nie istnieje zawód: „stypendysta”. Po „styliście” (kod: 347104) jest „sufler” (kod: 347208) – „stypendysty” brak.

Podobnie rzecz ma się z profesją: „laureat nagrody”. W urzędowym INDEKSIE pod literką L ustawodawca wpisał „latarnika” i zaraz po nim „legalizatora”. Dla „laureata nagrody” póki co zabrakło miejsca w urzędowym spisie.

Czy ów brak wynika z urzędniczego niedopatrzania? A może pracownicy ministerstwa są nieświadomi istnienia tzw. Szarej Strefy w tym zakresie? Albo – co gorsze – być może istnieje potężne ale tajne lobby w porównaniu z którym masoneria to przysłowiowy pikuś, które wykorzystując swoje wpływy w strukturach rządowych dba o to, by takie profesje jak:

- stypendysta

- laureat nagród

nigdy nie doczekały się legalizacji i dzięki temu nie doświadczyły niedogodności związanych z opodatkowaniem itp.?

O tym, że problem wymaga rozwiązania świadczy przypadek Tadeusza Dąbrowskiego urodzonego w 1979 r.

Pierwsze stypendium Tadeusz Dąbrowski zgarnął w 2004 (*Fundacja Grazella*). Ten sposób pozyskiwania środków od razu spodobał się Dąbrowskiemu, który w tym samym roku pobierał pieniądze z ufundowane przez *Baltic Centre for Writers and Translators*. Korzystając jednocześnie z dwóch niezależnych źródeł finansowania mógł sobie trochę forsy odłożyć na wypadek, gdyby kiedyś nie udało mu się zdobyć jakiegoś stypendium. I tu przezorność się opłaciła, gdyż w latach 2004-2010 był tylko jeden rok chudy – rok 2009., w którym Dąbrowski nie otrzymał żadnego stypendium.

Do tej pory oprócz wspomnianych Dąbrowski zaliczył kolejno stypendia:

Marszałka Województwa Pomorskiego (dwa razy, w 2005 r. i w 2008 r.)

Literarisches Colloquium Berlin (2006)

Ministra Kultury RP (także dwukrotnie: w 2007 i 2010)

Internationales Haus der Autoren Graz (2008)

Biorąc pod uwagę to, że np. taki Minister Kultury jest gotów przekazać Stypendyście (nawet kilka razy) pięćdziesiąt tysięcy złotych polskich rocznie, a obecna średnia krajowa pensja wynosi trzy tysiące z małym ogonkiem, to okazuje się że zawód Stypendysty jest zawodem atrakcyjnym z punktu widzenia nie tylko tych kandydatów, którzy tuż po maturze zastanawiają się nad wyborem profesji.

Ale bycie Stypendystą nie jest jedynym zajęciem, którym zawodowo zajmuje się Tadeusz Dąbrowski. Równie dobrze idzie mu w innej dziedzinie jaką jest pozyskiwanie

jednorazowych funduszy – nagród. Bardzo dobry Stypendysta Tadeusz Dąbrowski jest również bardzo dobrym Laureatem Nagród Tadeuszem Dąbrowskim. Zaliczył:

- Nagrodę Miasta Gdańsk dla Młodych Twórców (2002r.)
- „Czerwoną Różę” (dwukrotnie w: 2000r. i 2002r.)
- Nagrodę Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki (2007r.),
- Splendor Gedanensis (2007r.)
- Nagrodę Huberta Burdy (2008r.)
- Kościelskich (2009r.)
- Sztormu Roku (2010)

Póki co Laureat Dąbrowski działa w najbliższej dla miejsca zamieszkania okolicy, zgarniając wszystkie regionalne nagrody. Jednak w jego karierze widać wyraźną tendencję rozwoju w kierunku opanowania nowych rynków. Jak w każdej dziedzinie zawodowej tak i tu konkurencja jest duża dlatego Dąbrowskiemu trudno się przebić zwłaszcza w stolicy, opanowanym przez konkurencyjnych przedstawicieli zawodu Laureata.

Trzecią profesją, którą parą się ów człowiek to zawód Poety. Także i w tej dziedzinie z Tadeuszem Dąbrowskim konkurować mógłby tylko Aleksiej Stachanow – mógłby, ale nie żyje. Dąbrowski jako Poeta zaliczył kilka podróży dookoła świata. Stany Zjednoczone, Izrael to normalka dla polskiego Poety – np. Jacek Dehnel gorszy Laureat i Stypendysta niż Dąbrowski był w USA kilka razy a taki Jarek Łukaszewicz, który zaczyna dopiero swoją karierę w zawodzie Laureata zdążył już być Izraelu, skąd przywiózł na pamiątkę kilka fotek, którymi przystroił swoje trójmasztowo-dwuegzemplarzowe debiutanckie dzieło. Jednak ilu współczesnych Poetów uczestniczyło w szkoleniach w Indiach? Tadeusz Dąbrowski testujący emocjonalną wartość swojej produkcji lirycznej na świętych krowach jest tu wyjątkiem – widział i doświadczył więcej niż Tony Halik.

Co jest takiego w produkcji literackiej Tadeusza Dąbrowskiego jako Poety, co rozczuła byłoby rogate w dorzeczu Gangesu? Warto sprawdzić.

W 2009 roku nakładem krakowskiego wydawnictwa a5 ukazał się kolejny tomik Tadeusza Dąbrowskiego pt. *Czarny kwadrat*. Książka – jak na dzieło konkursowe przystało – rozpoczyna się odpowiednim mottem. W tym przypadku są to: fragment rozprawy Martina Heideggera pt. *Koniec filozofii i zadanie myślenia*, na temat kategorii Unverborgenheit i Lichtung oraz kilka wersów z piosenki Franka Blacka.

Z cytatami z Heideggera oraz tekstami, w których się one znajdują sprawa ma się następująco:

Zbiór możliwych interpretacji dowolnego tekstu, w którym występuje przynajmniej raz nazwa „Heidegger” nie jest zbiorem pustym a jego granica (G) jest nieskończona: G + 1 (czyli do zbioru wszystkich możliwych interpretacji możemy zawsze dodać kolejną interpretację itd., itd.)

Innymi słowy: jeżeli do dowolnego zdania Instrukcja Obsługi Pralki Automatycznej dodana zostanie nazwa „Heidegger” zdanie to nie tylko nie straci na znaczeniu jako zdanie błędne, ale stanie się zdaniem znaczącym przesadzającym o interpretacji Instrukcji Obsługi Pralki Automatycznej, która będzie od tej pory znaczyła „coś” więcej niż zanim wprowadzono do niej nazwę: „Heidegger”. Czym jest owo „coś”? – tutaj dzięki wewnętrznej niejasności (żeby

nie powiedzieć: mętności) spuścizny intelektualnej po Martinie Heideggerze możliwość interpretacji owego „cosia” ograniczona jest zdolnościami i wyobraźnią interpretatora.

Przechodząc do wierszy ze zbioru *Czarny kwadrat* i ich interpretacji. Poeta Tadeusz Dąbrowski używa do budowy tekstów jednego, ustalonego zestawu pojęć kluczowych, których znaczenie w większości zakorzenione jest w tradycji judeochrześcijańskiej. Mamy tu m.in. pojęcia: dobra, zła, nieśmiertelnej duszy oraz śmiertelnego ciała, nieba rozumianego jako miejsca zamieszkania Boga a nie lirycznej przestrzeni, po której leniwie suną chmurki oraz samego Boga wraz z jego wszystkimi atrybutami: od absolutnej dobroci po absolutną obojętność.

Korzystając z owego zbioru Dąbrowski tworzy stosunkowo proste historyjki, które wzbogacone mottem z Heideggera zyskują dodatkowy potencjał interpretacyjny. Weźmy taki przykład:

W wierszu pt. **Różnica**, Dąbrowski porusza problem granicy między złem a dobrem, pisze:

*Granica między złem a dobrem jest stanowcza
i przeraźliwie ostra. I cienka jak kreska
narysowana najtwardszym ołówkiem. Różnica między*

*dobrem a złem jest nie mniej zasadnicza
niż różnica między kichnięciem a kasznięciem.*

*Pisałem wiersz i akurat miałem kichnąć, gdy
do drzwi zadzwonił ojciec. Przestraszyłem się
tak, że złamałem grafit a zamiast kichnąć*

*- zakaszlałem. Różnica między dobrem a złem
jest oczywista. Jak różnica między*

*strachem uzasadnionym
i strachem bez powodu.*

[**różnica**]

Przekaz poety można łatwo zrekonstruować: zło i dobro a przede wszystkim granica między nimi istnieje i ma się dobrze. Na tym poziomie, kiedy przytoczony tekst traktujemy jako autonomiczną jednostkę interpretacyjną nie ma problemów z jego zrozumieniem. Jedyne problemy może dotyczyć wyjaśnienia ostatniego dwuwiersu. Jednak najprawdopodobniej mamy tu do czynienia z pomyłką autora, któremu nie było znane rozróżnienie na lęk i strach. Strach jest z definicji racjonalny – ma zawsze określoną przyczynę / powód (pisanie o: strachu uzasadnionym przypomina pisanie o: fakcie dokonanym). Natomiast lęk jest irracjonalny – jego źródło, powód / przyczyna są trudne do określenia. Dlatego strach ma działanie krótkotrwałe i znika w momencie ustania powodu / przyczyny (przyczyna jest znana, więc można ją usunąć). Natomiast lęk to stan długotrwały (nie można usunąć źródła lęku, gdyż jest ono nieokreślone, nieznanne)

Ten nieskomplikowany tekst zacznie się – używając określenia Dąbrowskiego: „przeraźliwie” gmatwać kiedy w interpretacji uwzględnione zostanie motto tomiku. Dla przykładu:

wprowadzone jako tło dla rozpatrywania granicy między złem a dobrem heideggerowskie rozróżnienie między światłem a prześwitem komplikuje interpretację do tego stopnia, że każda próba ustalenia sensu zakończy się porażką.

Weźmy inny tekst z tomiku:

*Trzydziestoletni chłopiec święcie przekonany
o swojej nieśmiertelności.
Chłopiec o skórze biało-błękitnej jak marmur
nieba.*

*Chłopiec, który opada na mnie grobową płytą
nocy. Bezsennym snem.*

*Ktoś, kto bezzwłocznie pojawia się i znika
jak czarny kwadrat na czarnym tle.*

[***]

Podobnie jak wyżej i w tym przypadku mamy do czynienia z prostym przekazem, a ściślej: laickim komentarzem do nauki Abrahama od św. Klary, że: „kto umrze zanim umrze, ten nie umrze jak umrze”. W tekście brakuje emocji. Mimo użytych obrazowań: „opada grobową płytą nocy”, „skóra biało-błękitna jak marmur nieba” – tekst jest łatwym równaniem, odcinkiem przebyłym z punktu A do punktu B wybrukowanym betonową kostką z wytłoczeniem: „pamiętaj, że umrzesz”. Jest skamieniałą nauką przekazywaną przez księdza, który nigdy nie miał w sobie wiary a kapłaństwo przyjął jako zawód i źródło utrzymania.

Ale wystarczy, że dodamy do wiersza odrobinę charyzmy heideggerowskiej... trzy gramy prześwitu, szczyptę alethei oraz kilka ziaren das Man i podlejemy to sosem z Sein zum Tode – wówczas skamienielina ożyje, przybierając postać samonapędzającego się systemu kolejnych interpretacji, które będą miały umocowanie w heideggeryzmie. I bynajmniej nie jest to zasługa wierszy Dąbrowskiego.

Na zakończenie kilka słów o „czarnym kwadracie na czarnym tle” z ostatniej strofy wiersza. Nigdy nie miałem w rękach tomiku poetyckiego, w którym panowałaby idealna harmonia między tytułem a tym, co na okładce. W przypadku omawianego dzieła Tadeusza Dąbrowskiego na pierwszej stronie okładki wydawca umieścił grafikę autorstwa poety – mianowicie rysunek przedstawiający czarny kwadrat, który Tadeusz Dąbrowski jako Artysta-Malarz zatytułował: „czarny kwadrat na czarnym tle”. [warto dodać, że na ostatniej stronie okładki znajduje się czerwona kropka. Czy jest to „czerwona kropka na czerwonym tle”? – trudno odpowiedzieć].

Produkt malarskiej pasji Tadeusza Dąbrowskiego to zamalowany czarną farbą kwadrat i tylko tyle można o tym dziele orzec. Rozpatrując jednak obraz w kontekście tomiku opatrzonego cytatem z Heideggera okazuje się, że zwykły czarny kwadrat funkcjonować może jako wytwór człowieka jako istoty „ek-statycznej” (pojęcie zaczerpnięte z *Brief über den Humanismus*, Heideggera). Na tym etapie interpretacji „czarny kwadrat na czarnym tle” znaczyć może wszystko i nic. Może być dziełem ubóstwianym jak i pogardzanym, można obraz ten mieć w sercu bądź w dupie – w przenośni i dosłownie. Ja wybieram dosłowność.

Anna Piwkowska, Farbiarka

Kiedy znany poszukiwacz i koneser młodych talentów poetyckich rodzaju męskiego – Jerzy Illg – ogłasza publicznie, że: „Już dawno żadna kobieta nie podobała mi się tak bardzo”, to ogarnia mnie pewien niepokój. Wyglądam przez okno. Upewniam się – świat istnieje, niebo dalej jest niebieskie a trawa nieprzerwanie trwa w swej zieloności. Jeżeli wszystko jest takie jakie jest, to dlaczego Jurek jest nie do poznania?

Mutagenem okazał się być tomik Anny Piwkowskiej pt. *Farbiarka* (2009).

Ten rodzaj czynnika mutującego oraz sposób działania znany jest nauce, a sposób jego działania doczekał się szczegółowego opracowania. Oto przykład:

Dwa lata przed śmiercią Diego Velazquez ukończył pracę nad obrazem pt. *Przędki*. Dzieło to przez kilkaset lat podziwiano jako scenkę rodzajową ukazującą warsztat tkacki a w nim pracujące kobiety. Dopiero w połowie dwudziestego wieku ktoś dostrzegł pewien detal, który przez wszystkie stulecia pozostał niezauważony.

Zwrócono uwagę na gotowy gobelin utkany przez tkaczki, któremu przyglądały się kobiety. Odkryto, że Velazquez umieścił na nim miniaturową kopię obrazu swojego kolegi. Chodziło o *Porwanie Europy*, Tycjana.

W tym momencie zwykła scena rodzajowa zmieniała się w dzieło o głębokim przesłaniu artystycznym. Stara prządka zmieniała się w Arachne, której pewność swych sił i wielkości poczucie zwróciło uwagę zazdrosnych bogów olimpijskich. Ciąg dalszy tej opowieści przedstawił Owidiusz w *Metamorfozach*. W konkursie na najładniejsze płótno Atena (na obrazie Velazqueza przedstawiona jest w zbroi i z podniesionym mieczem) przegrywa z genialną prządką. Płótno *Arachne* przedstawiające nieobyčajne harce jednego z bogów jakie ten wyczyniał z kobietami na ziemi (Jowisza porwijącego Europę) budzi zachwyty. Jedno przekleństwo pokonanej bogini:

*vive quidem, pende tamen, improba dixit:
lexque eadem poenae, ne sis secura futuri,
dicta tuo generi serisque nepotibus esto.*

[Ov. *Met.* 6. 136-138, ed. H. Magnus]

kilka kropel soku z ziół hekatejskich zmieniły Arachne w potwora skazanego na wieczne przędzenie swych nici.

Wracając do obrazu Velazqueza. Artyście udało się przez kilkaset lat ukryć treść i przekaz dzieła. Nie chodzi o tu jednak o sztukę kamuflażu ale o zmianę interpretacji dzieła na skutek wprowadzenia do niego archetypów kulturowych. Scena porwania Europy użyta w konstrukcji dzieła nie jest tylko jednym z tropów interpretacyjnych, ale jest czynnikiem dominującym i decydującym o znaczeniu. Banalny landszaft błyskawicznie mutuje w coś znaczącego:

- Postać w zbroi zmienia się w Pallas Atenę a jej podniesiona ręka z mieczem zmienia się w krytyków, którzy występują przeciwko artyście i jego dziełu

- Stara prządka zmienia się w starego artystę, który z mistrzowską precyzją tworzy dzieła, które doskonałością i kunsztem przewyższają twory boskie za co zostaje skazany na potępienie.

W wierszach Anny Piwkowskiej z tomiku *Farbiarka* mamy do czynienia z podobnym mechanizmem. Wiersze te to bardzo uproszczone, literackie odpowiedniki obrazu *Arachne (Prządki)* Velazqueza.

Oto przykład: wiersz **Kolejka elektryczna**. Tekst zbudowany jest z czterech strof. Oto strofa pierwsza:

*Towarowe pociągi, semafony, szyny,
światła nocy, węglowy pył na rękawicze,
flauszowy zapach płaszcza. Oleistym cieniem
schodzi przeszłość w tunele, spadamy pod ziemię*

Czy jest coś skomplikowanego na tym poziomie w przekazie? Nie – wszystko jest tak proste jak na obrazie Prządki zanim nie doszukano się w nim obrazu Tycjana. Żeby się upewnić co do prostoty przekazu zacytuję strofę trzecią:

*Tutaj mchem porastają ogrodzone zony,
czasami tylko zając o druty kolczaste
zrani brzuch i pobiegnie polem, przerażony
słysząc, jak płatek śniegu spada na Alasce
jak motyl ruszył skrzydłem w dalekiej Afryce
i poruszył lawinę, zbudził nawałnicę.*

Być może znajdują się wśród odbiorców tego tekstu osoby, których wzruszy poetycka wariacja na temat tzw. Efektu motyla ale mimo oczywistego nawiązania ciągle mamy tu do czynienia z płaskim landszaftem. I dopiero kulturowe motywy wykorzystane przez Piwkowską w budowie drugiej i czwartej strofy nie tyle wprowadzają nowe możliwości interpretacyjne, ale całkowicie interpretację zmieniają. Oto strofa numer dwa:

*Ach, Diano Nemorensis wyjęta spod prawa,
bogini cudzoziemców, opiekunko zabaw
i zbiegłych niewolników ukochana Pani,
przeprowadź nas przez ciemność, zmituj się nad nami.*

I trzy ostatnie wersy ostatniej strofy:

*ach Diano Nemorensis, przyjaciółko słońca,
poprowadź nas na łąki przykryte kwiatami
pełne złotych narcyzów, zmituj się nad nami*

Podobne sztuczki Anna Piwkowska stosuje w większości tekstów w tomiku *Farbiarka*. Czytelnik zostanie przytłoczony kulturowym mięsem znaczeniowym, którymi przez wieki zdążyły obrosnąć archetypy takie jak: wieża Babel [**poranek Ifigenii**], porwanie Europy [**Maria**], jabłko Hesperyd i piłka Heleny [**Czerwony punkt**], Nemezis [**Frou-Frou**], Artemida [**Kairos**], Edyp [**Południe**], Walkirie, Dydony, Sakuntale [**wieża Babel**] itp., itd.

Anna Piwkowska używa ustalonych znaczeń o bogatej tradycji literackiej z wprawnością gospodyni domowej, która niedzielne rosoły gotuje na kondensatach. Piętnaście minut przed podaniem do stołu nalewa wody do garnka i wrzuca do niego trzy kostki rosołowe w drugim gotuje makaron a następnie podaje domownikom i przybyłym gościom. Karmić znieawidzoną teściową takim rosołem to nie grzech, ale uczynić z niego popisowe danie to przesada. A że Piwkowska celuje w takich technikach świadczy tekst pt. **Czerwony punkt**:

*Ta czerwona kropka to nie jest boja
wyznaczająca granice falom przyboju.
To lśniący czepek dziewczyny,
to wplatany z barwionych witek
koszyk puszczonej na morze,
xxxix xxxxxx xxxxxxxx xxxxxxx xxxix
xxxix xxxxxxx xxxxxx xxxxxxx xxxix
Ten czerwony punkt to granica,
gdzie rozpędzony lazur zmienia stan skupienia
i staje się czarną ołowianą kroplą.
Czarną piłką. Czarną boją.*

[czerwony punkt]

Kolejny banalny, nic nie znaczący landszaft. W miejscach krzyżyków znajduje się literacka kostka rosołowa, płótno Tycjana w obrazie Velasqueza. Oto erzac kurczaka, który w tym przypadku z wody robi rosół podawany teściowej na proszonym obiadku niedzielny:

*to dojrzałe jabłko Hesperyd i piłka Heleny
podarowana jej w dniu ślubu przez Menelaosa.*

Nie mam powodów, by wątpić, że wiersze Anny Piwkowskiej z tomiku *Farbiarka* spodobały się autorowi *Wierszy z Marcówki*. Jakość tekstów poetki nie jest jakością w sobie ale pochodną historii literatury począwszy od Antyku. Zaryzykować można tezę, że każdy tekst, do którego zostanie wprowadzony umocowany w tradycji motyw literacki będzie tekstem znaczącym. Dla przykładu – wiersz opublikowany na portalu nieszuflada.pl przez użytkownika o nicku: ola [2010-08-04 08:01:38]

tekst nie ma tytułu zostaw puste pole

*psy potrafią śpiewać nokturny
wychodzić z sierści wybiegać poza granice
nie można spać trzeba nasłuchiwać i wypytywać sąsiadów
skąd dochodzą głosy i kim są ludzie*

Używając kostki rosołowej zrobimy z wierszyka porządną wiersz:

*psy potrafią śpiewać nokturny
wychodzić z sierści wybiegać poza granice
nie można spać trzeba nasłuchiwać i wypytywać sąsiadów
skąd dochodzą głosy i kim są ludzie
to dojrzałe jabłko Hesperyd i piłka Heleny*

podarowana jej w dniu ślubu przez Menelaosa.

Marta Podgórnik, dwa do jeden

W wieku 17. lat przeciętny nastolatek upija się, pali papierosy, przeprowadza pierwsze poważne eksperymenty na narkotykach i płci przeciwnej. Nastoletnia idylla trwałaby w nieskończoność gdyby nie to, że kiedyś trzeba dorosnąć.

Kiedy jedni tak sobie popijali i popalali obmacując się w trakcie wolnych kawałków puszcanych na piątkowych dyskotekach, inni w pocie czoła zmagali się z wewnętrznymi demonami i duchami dziedzictwa narodowego. W izolacji od świata zewnętrznego prowadzili bój na śmierć i życie, w którym stawką była scheda po Mickiewiczu.

Jednym z takich paladynów a dokładniej rzecz biorąc: paladynką poezji jest Marta Podgórnik. Jako nastolatka, Marta zamiast serc rówieśników podbijała serca jurorów w konkursie im. Bierezina. Czy poszła w bój nieprzymuszona? Czy może powodowała ją siła, której nie potrafiła stawić czoła? Czy nastolatka z tyłozgryzem i protruzją siekaczy miała inny wybór niż zatracenie się poezji?

Ciekawe jak zareagowało ciało pedagogiczne, w szczególności belfer od języka polskiego kiedy dowiedział się, że jego siedemnastoletnia uczennica wygrała konkurs poetycki, który wówczas jeszcze cieszył się sławą i uznaniem? A może nastoletnia Marta nie pochwaliła się sukcesem? Może *Próby negocjacji* – swoje debiutanckie dzieło – ukryła przed światem tak mocno, jak tylko nastolatka potrafi ukryć dojrzewające i twarde piersi przed ciekawskimi kolegami z klasy?

Marta Podgórnik dorosła. A że była tak dobra w walce z duchami natchnienia, to natychmiast wpadła w oko literackiemu alfonsowi. Artur Burszta przygarnął pod swoje opiekuńcze skrzydła (te same, pod którymi zabrakło miejsca dla Jakuba Winiarskiego) młodą i jakże uzdolnioną poetkę Podgórnik Martę, która (podaję za Wikipedią): „w internetowym serwisie Biura – „Przystani” zamieszcza felietony i odpowiada za dział poetyckich debiutów”.

Jedno z powiedzonek w światku poetyckim brzmi: „Nie masz pieniędzy na ksero? Zadzwoń do Burszty, on wyda wszystko”. Marta Podgórnik nie musiała do nikogo dzwonić. Artur Burszta urzędował od 10-18.00 w pokoju obok. Wystarczyło kilka uśmiechów, spojrzeń i wspólnie wypita kawa, by kolejne dzieło poetki Podgórnik, pt. *Dwa do jeden*, znalazło się w planie wydawniczym Biura Literackiego na rok 2006.

Dwa do jeden wydane zostało w tym czasie, kiedy w Polsce dominowała powszechna moda na głupotę: Justyna Radczyńska wydaje swoje dwa dzieła kanoniczne: *Podmiana Joli Grosz* oraz *Nawet*, powołana zostaje nonsensopedia oraz kanał youtube, w którym furorę robią najgłupsze filmy. Innymi słowy – *Dwa do jeden* Marty Podgórnik nie było na tle epoki ani dziełem wyjątkowym ani odosobnionym – trzeba mieć to na uwadze rozpoczynając studia tekstów z wzmiankowanego dzieła.

W *Dwa do jeden* autorka prezentuje się czytelnikowi jako Kolumb semantyki. Autorka używaj języka jako środka lokomocji, by dotrzeć do nieznanego nikomu (poza rzecz jasna tubylcami) nowych Ameryk Znaczenia. W podróży poetka słyszy różne dźwięki,

dominującym jest „pohukiwanie”. W wierszu *W zdrowym ciele zdrowy duch*, Marta Podgórnik napisze:

*pohukują od samiuteńkiego zaranka! Proszę pedagogów
by używali ile wlezie der Sein neutrum i za dobre euro
wzięli, iż każdy dostał minimum sześć lat alma dręczarium;
potem i tak biorą nas na blat urzędy; chwilę kwilę by*

nie pauperyzowali interpunkcji;

[w zdrowym ciele zdrowy duch]

Jak przystało na podmiot liryczny w poezji kobiecej, tak i w tym przypadku mamy do czynienia z podmiotem kwilącym. Ale ni to jest najważniejsze. Także nie problem „der Sein neutrum” oraz „dobrego euro”, „alma dręczarium” czy „pauperyzowanej interpunkcji” – tu rozum wywiesza białą flagę a kanony estetyczne i interpretacyjne w obliczu podobnych głupot popełniają zbiorowe samobójstwo. Najważniejszy w tym wierszu jest zdanie:

Pohukują od samiuteńkiego zaranka!

Co znaczy pohukiwać? Słownik języka polskiego podaje dwa znaczenia:

1. pokrzykiwać, wydawać okrzyki, a o przedmiotach także: rozbrzmiewać od czasu do czasu;
2. łajać, strofować kogoś udzielać komuś napomnienia lub nagany co pewien czas

Nieważne na które znaczenie się zdecydujemy, gdyż kolejny problem interpretacyjny związany jest z wyrazem: „samiuteńki” oraz z kategorią „zaranka”. Dlaczego autorka zdecydowała się na dziwną formę zaimka? Czy „zarank” różni się tym od „przedranka” że jest za gdy tym czasem ten drugi jest przed porankiem? Wydaje się, że tylko odpowiednio odżywiony oraz wystarczająco dobrze dotleniony mózg Profesjonalnego Krytyka Literackiego może w tym przypadku odważyć się na podróż ścieżką o nazwie: „Co poetka miała na myśli...”

Kolejny nieznanym nikomu ład semantyczny, który odkrywa Marta Podgórnik opisany został w wierszu: **Carramba dla Doren silvestri**. Oto fragment relacji z odkrycia:

*półobróć: mleczna tafla mgły przędzie szlaban na powrót,
choć można by pertraktować z tak zsiadłym deszczem.
potrujemy się dniem jeszcze: w twoich włosach skrzy
diadem białego talku spod kół tunochodów*

[Carramba dla Doren silvestri]

W pierwotnej wersji wiersz ten Marta Podgórnik zadedykowała:

„Wszystkim tym, którzy mają ochotę podyskutować na temat poezji”

Z oczywistych powodów wiersz został wydrukowany bez dedykacji.

Łatwo się domyśleć, że inny fragment, innego wiersza będzie dotyczył czegoś innego – tylko pytanie jest identyczne: czego? Proszę zgadnąć:

*Listy po renowacji wzruszają jak nowe, budująca lektura.
Detergenty pachną gdy cykuta siada jak karminowa mgiełka
na dnie wanny. Czas przestać myśleć o nośności frazy, a
nakręcić śmieciami i życiem modelek, dać się różną światu*

[repetitorium dla adolescencji]

W interpretując cytowany fragment wiersza Marty Podgórnik poczułem jak ogarnia mnie wstyd. To dziwne i rzadkie uczucie. Nie doświadczam go często. Rozmyślając nad „karminową mgiełką na dnie wanny” przypomniałem sobie swój cosobotni rytuał. Każdego szóstego dnia tygodnia biorę kąpiel. Napuszczam wodę do wanny. Bez płynu. Lubię oglądać swoje ciało pokrzywione optycznie przez falującą lekko wodę. Woda jest letnia. Siadam i pierwsze co robię po wejściu, to oddaję mocz. Widzę wyraźną smugę żółtej cieczy, która rozchodzi się w kryształowo czystej wodzie. Faluje ona cienką żółtą strużką, by po chwili zmienić się w ciemniejszą pomarańczową plamę tuż w okolicy mojego podbrzusza. Zbliżam do niej dłoń ale zanim zdążę ją dotknąć, poruszona woda zakłóca jednolity obszar i ten rozmywa się zanim zdążę musnąć go palcami. Delikatnym ruchem dłoni popycham resztki rozwianej chmury, która na powrót przybrała jasnożółty kolor, w kierunku kolan. Kiedy mgiełka zniknie, znikam i ja. Zanurzam się i wypuszczając nosem bąbelki powietrza próbuję pobić swój rekord przebywania pod wodą bez oddechu. Przez falującą taflę wody spoglądam na zniekształcony optycznie zegar na ścianie. Wodzę wzrokiem za sekundnikiem, który w okolicy drugiej minuty zwalnia aż wreszcie ślimaczy się niemiłosiernie. By przedłużyć okres bezdechu próbuję myśleć o czymś innym. Do głowy przychodzi mi nauczycielka od niemieckiego z liceum, straszna suka ale jednocześnie podniecająca. Jej gestapowskie maniere były nafaszerowane erotyzmem. Zwłaszcza kiedy w trakcie niezapowiedzianych kartkówek przechadzała się po klasie bacznie wypatrując ściąg i innych niedozwolonych przyborów naukowych. Węch ją nie zawodził. Miała nosa jak owczarek niemiecki. Średnia wykryć 90 procent, tylko dlatego bo nigdy nie odważyła się szukać w majtkach. Natomiast bez oporów własnoręcznie przeszukiwała kieszenie, rękawy, szukała pod bluzkami, koszulami, we włosach itp. Rasowy SS-Man. Nie oszczędzała ani mężczyzn, ani kobiet. Trzy minuty i czterdzieści trzy sekundy to mój życiowy rekord.

W tomiku *Dwa do jeden*, jest tylko jeden – jeden jedyny – samotny jak kawałek gówna w oceanie destylowanej wody wiersz, dla którego warto uszczuplić się o tych kilkanaście złotych. Wiersz pesymistyczny ale i ważny, tekst obok którego nawet najbardziej zatwardziały cynik, najbardziej zdeklarowany hochsztapler intelektualny obojętnie przejść nie zdoła. Oto on:

*Ludzie są tylko źli. Ktoś śni, niech wie: mylił się.
Nawet we śnie ich smoła wrze, że aż kłębi się rym.
Wrze smoła imion i serc; kochaliśmy się dziś w
topolowym pyłku; brodziliśmy w hałdach listowia*

*placami zabaw, przez sen. Bez przysięgi po kres;
Słońce liście postrąca z drze; ranna pieśń zbudzi
odzew krwi. Ludzie są tylko źli. Gazety wydali Ci
niczym zgodę na śmierć. Park zaciska się, w pięść.*

*Nie są źli w głębiach serc, nie. Mogliby Cię
pokochać wręcz; lecz poczytać? Co to to nie; Po co
welon, swój czarny tren, na zastony przeszywa (i
wie i ja wiem i), wiesz: Ludzie są tylko źli. Wykopią*

*Ci dół, gdzie chcesz. Każdy garstkę dorzuci Ci na
wierzch wieka, co stłumi dźwięk. Oskubią gołębie,
i wygłoszą z twych listów wiersz: wskrzeszą łżące
i mdlące łzy. Mało Ci? No to śpij. Ludzie są tylko źli.*

[ci mili państwo]

Cytowany wiersz jest prawdopodobnie jedynym argumentem kolegów i koleżanek Marty Podgórnik, który przedstawiany jest za każdym razem w dyskusji z niewiernymi na temat: czy Autorka tomików: *Próby negocjacji*, *Paradiso*, *Długi maj*, *Opium i Lament*, *Dwa do jeden* oraz *Pięć opakowań* jest poetką czy też nią nie jest. Dla niewiernych jeden tekst nie wystarczy, niewierny potrzebuje cudu. Wierni zaś obędą się bez tego typu objawień. Sama wiara w Artura Bursztę i jego sprawczą moc to dla wiernych wystarczające dobrodziejstwo.

Michał Jagiełło, ciało i pamięć

To jest Andrzej. Andrzej jeszcze cztery lata temu palił, na zmianę papierosy i fajkę: białe Marsy i Amphorę. Teraz dużo biega, jeździ rowerem i chodzi na basen. Andrzej pracuje w szkole. Kiedyś uczył języka polskiego, teraz informatyki. Pierwszy komputer kupił po to, by analizować tendencje giełdowe.

- Wysoki Sądzie, piracką wersję programu **Metastock** do analiz dostarczyłem Andrzejowi ja. Proszę o łagodny wymiar kary.

Andrzej ma żonę, córkę – jedynaczkę. Nigdy nie miał psa ani kota. Nie zgodził się. Z trudem odmówił dziecku. Wiedział, że przyjmując stworzenie pod dach za kilka lat będzie musiał zmierzyć się ze śmiercią domownika. Andrzej wie, że ze śmiercią nie wygrał.

W 2003 roku Andrzej wygrał na giełdzie tyle pieniędzy, że mógł wykupić dla swoich pań dwutygodniową wycieczkę do Londynu. Od tego czasu Andrzej nie zanotował większych sukcesów finansowych. Na Jeepa Grand Cherokee Andrzej z żoną oszczędzali kilkanaście ładnych lat. Odłożyć czterdzieści siedem tysięcy z pensji nauczycielskiej? Prawie niemożliwe.

Jeepa kupili w poznańskim komisie. Sprzedawca chwalił pojazd. Mówił, że z Kanady, że tylko rok użytkowany na polskich drogach i co oczywiste: zimę przestał w garażu.

- Nic nie puka, nic nie stuka tylko wsiadać, lać i jeździć – mówił, mówił i mówi. Ale Andrzej traktował gościa i jego przemowy jako coś nieistniejącego. W tej chwili był tylko on i wyprodukowany w 1997. roku Jeep z fabrycznie przyciemnionymi szybami. Andrzej był zafascynowany.

Tylko żona trochę marudziła. Szeptwała Andrzejowi:

- Dlaczego nie ma kładecki? Miała być kładecka, mieliśmy jeździć jak Bonnie i Clyde. Jeżeli Andrzej usłyszał jej narzekanie to tylko przez chwilę. Właściciel komisju odpalił auto. Pracujące pięciolitrowe, widlaste ósemki wydają z siebie zupełnie mistyczne odgłosy, które bez problemu są w stanie stłumić najgłośniejsze apele zdrowego rozsądku.

Właściciel komisju przeliczył gotówkę, podpisał niezbędne dokumenty i wręczył kluczyki. Zapomniał Andrzejowi powiedzieć, że auto zanim wysłano je do Europy przeżyło w Kanadzie powódź.

Andrzej wydał kilka tysięcy na elektryków. Żaden nie potrafi naprawić fabrycznego alarmu, który nie tylko rozładowuje akumulator przez noc ale od czas do czasu włącza się w trakcie jazdy. Ostatni specjalista, z którym konsultował wadę powiedział mu:

- I tak masz pan szczęście. W zalanych wozach immobilizery potrafią uzbroić się w ruch.

- Zalany?

- Masz pan w papierach wpisane: „water damage”. Każde zalane auto ze Stanów ma to wpisane.

W tym momencie należałoby rzucić kurwą, pizdą i kilkoma chujami. W dobrym tonie byłaby następująca charakterystyka właściciela komisju: „a to chuj i skurwiel pierdolony. Jebany matkojebca, wszarz i chodząca kurwa w dupę jebana”. Każde zabronione słowo w tej sytuacji

byłoby dozwolone. Był tylko jeden mały problem: Andrzej nie przeklina. Nigdy w życiu nie powiedział słowa na k..., ch... na p.... Najbardziej niecenzuralnym słowem, które sporadycznie pojawia się w jego wypowiedziach jest rzeczownik dupa.

Andrzej języka angielskiego zaczął się uczyć trzy lata później. Ania – jego jedyna córka – wyszła za mąż za obywatela Stanów Zjednoczonych i świeżo upieczony teściu chciał się chociaż w minimalnym zakresie porozumieć z zięciem. Kto wie, gdyby Anka wcześniej emigrowała Andrzej wiedziałby co znaczy „water damage” wpisany w oryginalnych papierach.

W latach czterdziestych ojciec Andrzeja w Afryce jako niemiecki czołgista słuchał rozkazów Rommla. Nie nawojował się długo, bo w 1942 pod El Alamein został wzięty do niewoli. Do dnia dzisiejszego nie zostało wiele po dawnym czołgście. Trzęsący się staruszek czasami ni stąd ni zowąd przy stole wyskoczy z hasłem:

- Gdybyśmy mieli takie zaopatrzenie jak oni, wygralibyśmy. Wygrali!

Uspokaja go wtedy żona – matka Andrzeja, na którą wszyscy mówią babcia.

Babcia w swoim życiu zdążyła zachorować na wszystkie znane medycynie rodzaje chorób. Babcia nie jest zwykłą hipochondryczką. Z pomocą sąsiadek, fachowej literatury lub sama wymyśla sobie jednostkę chorobową i tak długo studiuje jej objawy, przebieg i rozwój, aż w końcu bezbłędnie zdiagnozuje ją u siebie. Do lekarza chodzi często i tylko po to, by potwierdzić własne przypuszczenia.

Rodzice Andrzeja nie mieli problemów z uzyskaniem potwierdzenia obywatelstwa. W latach osiemdziesiątych przeprowadzili się do Norymbergii. Wkrótce dołączył do nich najstarszy syn. Andrzej nie wyjechał. Został, bo ktoś musiał rozwalić komunę i odbudować kraj.

Teraz pracuje w jednej z szkół podstawowych. Od kiedy? Od początku. Uczy kolejne pokolenie – dzieci swoich dawnych wychowanków. Połowa miasta mówi mu dzień dobry. Najniżej kłaniają się gangusy z ulicy Wesolej. Chłopaki powyrastali i nauczyli się tu i tam, że najważniejszy w życiu jest szacunek oraz to, by nigdy nie posprzedawać kumpli. Andrzej nikogo nie sprzedał.

Siedząc w rozklekotanej nysce nie wiedział dokąd go zabierają. Ubecy byli bardzo mili. Poczęstowali papierosem. On z zasady odmówił. Andrzej w trakcie swojej przygody z nałogiem nie palił cudzych papierosów. Zawsze odmawiał gdy go częstowano. Zawsze. Jeden z ubeków odmowę potraktował jako przejaw jawnego oporu wobec władzy.

- Panie Andrzeju, drogi panie Andrzeju i po co tak? No po co? Studiuje pan filologię polską. Który rok? Piąty? Na pewno pan coś jeszcze pisze oprócz tych ulotek. Wiersze pan pisze panie Andrzeju? Na pewno, przecież gołym okiem widać, że jest pan bardzo dobrym poetą. Wydamy panu jeden tomik, może nawet kilka. Wszystko zależy od pana. Andrzej do dziś mówi o nim: „mój dobry ubek”.

Andrzej nie wydał żadnego tomiku, nie opublikował żadnego wiersza, nie podjął współpracy także z którymś z wydawnictw. Andrzej nie pisał, ale dużo czytał. Wszystko i wszystkich. Na kilkudziesięciu metrach kwadratowych mieszkania na poddaszu zgromadził jeden z największych zbiorów druków bezdebitowych (ulotki, czasopisma, książki, plakaty). Ostatnią książką, którą się przy mnie zachwycał była Przygoda damskiego fryzjera, Eduardo Mendozy

Pierwsze rozczarowanie przyniosła prezydentura Wałęsy. Później było tylko gorzej. Andrzej szybko zrozumiał prostą prawdę: każde zdanie wygłaszane na Wiejskiej, nie może być rozstrzygalne w ramach logiki klasycznej.

Przeszłość. Andrzej przeczytał w gazecie, że może złożyć stosowny wniosek w odpowiednim urzędzie i że dzięki temu udostępniona zostanie mu jego teczka – materiały, które przez lata gromadziła bezpieka na jego temat. Nie skorzystał. Nie tylko Andrzej, ale cały akademik wiedział, kto kapował. Wiedza ta w tamtym czasie była tak powszechna, że nawet kapuś wiedział, że wszyscy wiedzą kto donosi. Dzień przed zapukał do pokoju numer 281 i uprzedził Andrzeja, że jutro przed siódmą przyjdą po niego. Andrzej podziękował grzecznie i przepakował walizki. Wigilia 1981 r., była pierwszą i ostatnią, której nie spędził z rodziną przy stole.

Jest jeszcze coś, co powstrzymuje Andrzeja przed rozliczeniem przeszłości. To strach. Andrzej boi się, że znajdzie w materiałach bezpieki informację lub co gorsze – informatora. Konkretnie imię, konkretne nazwisko, którego nie powinno tam być.
- Nie chcę wiedzieć – mówi.

Kiedyś zapytałem Andrzeja, czy nie żałuje odpowiedział:
- Nie jest sztuką dokonać wyboru, ale sztuką jest ponieść tego konsekwencje.

Zmienił się ustrój a przygoda Andrzeja z władzą trwa dalej. W tym roku Andrzej po wielomiesięcznej biurokratycznej batalii z urzędnikami różnego szczebla, różnych urzędów musiał opuścić mieszkanie na poddaszu. Miał pecha. Secesyjną kamienicę, w której przed wojną była kawiarnia w której teraz jest Poradnia młodzieżowo-psychologiczna upatrzył sobie jeden z urzędników. Andrzej sam by ją kupił, gdyby tylko miał pieniądze. Opowiadał, że na parterze zrobiłby biura dla prawników, w piwnicy knajpę, którą by prowadził. Na piętrze mieszkania. Andrzej walczył do końca a koniec był taki, że zgodnie z prawem został przekwaterowany do mieszkania o powierzchni nie mniejszej niż 10 m2 na osobę. Na trzydziestu metrach kwadratowych powierzchni najtrudniej było wygospodarować miejsce na książki.

Codziennie w drodze do pracy Andrzej przechodzi obok dawnego domu i obserwuje jak kamienica umiera. Dopóki mieszkali w nim ludzie, dom żył. Teraz szyby pękają. Zaczyna odpadać tynk. Okna pokrywają się miejskim kurzem i szarzeją. Na wysokości poddasza nowy właściciel zawiesił żółty transparent z napisem: Sprzedam lub wynajmę.

Nie ma kupca.

Nieruchomość została sprzedana dokładnie za 311 tysięcy złotych. Nabywcą nie był urzędnik, który wcześniej ostrzył sobie zęby atrakcyjnie położoną kamienicę. Zrezygnował z zakupu, kiedy dowiedział się, że dom ma naruszoną statykę. Tony papierów w archiwum Poradni tak długo i tak mocno obciążały drewniane stropy, że budynek o konstrukcji ryglowej zaczął osiadać. Konieczny do przeprowadzenia remont przekraczał kilkakrotnie wartość nieruchomości. O tej ekspertyzie nowy nabywca nie został poinformowany.

Obecnie Andrzej przyzwyczajają się do nowego miejsca. Minęło kilka miesięcy, ale jeszcze teraz, kiedy wychodzi na spacer na pytanie żony dokąd idzie, odpowiada:

- Do domu.

To nie jest Andrzej. To jest Michał Jagiełło. Tatarnik, alpinista członek TOPR. Od 1966 r. działacz PZPR. Działa do dzisiaj, jednak w innych strukturach i innej rzeczywistości. Jagiełło

kariere rozpoczął po tym, jak wystąpił jako świadek oskarżenia w pokazowym procesie taterników. Szybko przeprowadza się do stolicy, by być bliżej Komitetu Centralnego.

W 1978 r. Jagiełło wydał debiutancką powieść – *Hotel klasy lux* – która już rok później doczekała się ekranizacji. Cud? Nie takie cuda kinematograficzne działy się w latach siedemdziesiątych i nie takie sukcesy odnotowywali młodzi, ambitni i już bardzo zasłużeni dla utrwalania władzy ludowej debiutanci literaccy. Chociaż, kto wie – może cenzura doceniła autorską próbę samooczyszczenia? W jednej ze scen filmu, redaktor Wojtan (w tej roli Krzysztof Kolberger) na wieść o tym, że został mianowany redaktorem naczelnym miejscowej gazety nie cieszy się, bo ma świadomość że awansował dzięki naciskom partyjnym a nie własnym zdolnościom.

Kiedy Andrzej w asyście dobrego ubeka resortową nyską odbywał podróż w siną dal, Michał Jagiełło z kolegami z Wydziału Kultury Komitetu Centralnego, w którym od roku pracował jako wiceminister opijał kolejny literacki sukces. Właśnie wydany został jego tomik poezji *Bez oddechu*.

- I kto mi kurwa teraz podskoczy, kto kurwa?! No kto?

W 2009 r. Jagiełło po raz kolejny wypina pierś po order. Przypinają mu Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. W chwili, w której Jagiełło ścisnął dłoń Prezydenta RP, Andrzej kwitował odbiór pisma z Urzędu, z decyzją o tym, że od dnia tego i tego jego dom nie jest już jego domem i że musi się przeprowadzić. Do wyboru ma trzy lokalizacje.

Rok później w wydawnictwie ISKRY ukazuje się nowy tomik Michała Jagiełło pt. *Ciało i pamięć*.

Próbka dzieła:

*Nie rozpaczaj, raczej roz-patrz się
w tej starej-nowej sytuacji.*

*Stół w drzazgi Polana w zapaści
Sokolica rozdarta w skalne odłamki
Trzy Korony zagubione nawołują się
płaczliwie w wapiennej chmurze
wąwóz Homole zasypyany
kręgoślupem Wysokiej.*

Przez jedno – źle użyte? – słowo?

Którego nie pamiętasz.

Przebudzenie – wolność budowania.

[sen i przebudzenie]

Michał Jagiełło zawsze miał szczęście, także do krytyków, którzy i tym razem nie zawiedli. Na ostatniej stronie okładki wydrukowano:

Poetycki język Michała Jagiełły jest oszczędny ale precyzyjny. Dzięki temu lektura jego wierszy układa się w czytelną fabułę: przejmująco szczere, czasem bolesne, często pełne ciepła wspomnienia o ludziach i miejscach I dokonywanych wyborach – tych najtrudniejszych.

Andrzej zawsze powtarzał, że to nie wybory same, ale ich konsekwencję są najtrudniejsze dla człowieka.

Wisława Szymborska, Tutaj

W domach starych ludzi śmierdzi. To nie formalina ani zapach starej szafy, to coś innego. Dziwny i charakterystyczny – nie do pomylenia z żadnym innym – zapach starego człowieka i wraz z nim starzejącego się domu.

Starość wytworzyła własną geriatryczną estetykę. Zapadnięte usta, pomarszczone twarze i chudnące z dnia na dzień łydki, które na kilka godzin przed śmiercią zmieniają się w oświęcimskie piszczele obciążone przezroczystą skórą, przez którą prześwitują zgrubiałe ścianki sino brunatnych żył. Oczy starych ludzi powleka gruba błona, która zmienia odcień białka na lekko żółty wpadający w okolicy kącików w brąz. Kolory tęczy tracą kontrast, zaczynają się zlewać.

Starzy ludzie z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień aż w końcu z dnia na dzień stają się bardziej niedołążni. W końcu boją się podnieść z tapczanu. Każdy krok może skoczyć się upadkiem. Upadek zaś oznacza złamane biodro – a to zwykle w przypadku starych ludzi kończy się śmiercią na łóżku szpitalnym. Kto by chciał umierać? – Nikt. Tyle, że śmierć nie zadaje takich pytań i nie wymaga odpowiedzi.

Niedołążność fizyczna pociąga za sobą zniedołążnienie intelektualne. Anatomie takiego stanu zaobserwować można w tomiku Wisławy Szymborskiej pt. **Tutaj**.

Dokładnie 2. lipca – Szymborska skończyła osiemdziesiąt siedem lat. Było to prawdziwe święto – urodziny świętowane jak nigdy wcześniej bo było co świętować: udało się dożyć! Zaczynała Noblistka dotrwała do tego dnia, nie obyło się bez przemówienia bez przemówienia dla najbliższych. Wisława powiedziała to i owo. Na początku zapewne był zwyczajowy dowcip i podziękowania dla odpowiedniego Ministra oraz kolegów ze Związku. Później część najbardziej interesująca – Wisława opowiadała o swoich przemyśleniach na temat świata, człowieka oraz przemijania. Powiedziała dokładnie to, co mówi każdy stary człowiek. Zaczęła klasycznie – przywołując siebie z odległej przeszłości:

*Ja – kilkunastoletnia?
Gdyby nagle, tu, teraz, stanęła przede mną,
czy miałabym ją witać jak osobę bliską,
choć jest ode mnie obca i daleka?*

*Uronić łezkę, pocałować w czółko
z tej wyłącznie przyczyny,
że mamy jednakową datę urodzenia?*

Tyle niepodobieństwa między nami

...

[kilkunastoletnia]

Wiersz **kilkunastoletnia** to klasyka tzw. liryki geriatrycznej, typowy powrót do przeszłości z nutą nostalgii w głosie. To opowiadanie babci, która w zimowy wieczór wygrzewając stare

kości przy kaflowym piecu kuchennym snuje swoją długą opowieść wnuczkom, którzy potakując babci ukradkiem przechodzą kolejny level **Prince of Persia** na gameboyach, których nie trzeba specjalnie ukrywać przed zniedołężniałym wzrokiem wiecznie uśmiechniętej od jakiegoś czasu staruszki. Szymborska jako staruszka i poetka jest przede wszystkim staruszką – nie tylko postrzega rzeczywistość w kategoriach czasu przeszłego, ale także samą siebie traktuje jako coś, co dawno przeminęło. Charakterystyczne przeciwstawia ja i nie-ja, gdzie różnica między podmiotami ogranicza się do banalnej negacji w tym przypadku: do matematycznie obliczalnego odcinka czasu dzielącego A i A.

W tym bezzębnym memłaniu starego człowieka, który w skondensowanej dawce podany został czytelnikowi w postaci tomiku *Tutaj*, widać pewną aspirację. Rodzaj ambicji napisania odmiany filozofii życia z perspektywy człowieka, który ma jedno życzenie przed śmiercią: zostać mędrcom.

Szymborska w swoich ostatnich (zakładam, że oprócz dzieł pośmiertnych i zebranych na rynku za życia autorki nie pojawi się więcej nowych wierszy Wisławy Szymborskiej) tekstach próbuje pisać recenzję świata. Jednak po kilku wersach okazuje się, że Szymborska w roli mędrca szybko grzęźnie w banałach.

Na przykład.

W wierszu **mikrokosmos** poetka, podporządkowując akcję geriatrycznej logice najpierw przedstawia czas przeszły po to, by udowodnić że symptomy rozkładu i degrengolady, która trawi czas teraźniejszy pojawiły się znacznie wcześniej niż wszyscy sobie myślą:

*Kiedy zaczęto patrzeć przez mikroskop
powiało grozą i do dzisiaj wieje.
Życie było dotychczas wystarczająco szalone
w swoich rozmiarach i kształtach.
Wytwarzało więc także istoty maleńki,
jakieś muszki i robaczki,
ale przynajmniej gołym ludzkim okiem
dające się zobaczyć.*

[mikrokosmos]

Diagnoza: „wieje grozą” oraz wskazanie przyczyn owego stanu chorobowego: „od kiedy zaczęto patrzeć przez mikroskop” – podobnie jak Szymborska jest reliktem pochodzącym z otchłani czasu przeszłego.

Zdanie: „kiedy zaczęto patrzeć przez mikroskop powiało grozą i do dzisiaj wieje” – wymyślono w okolicach 1872. roku, zaraz po tym jak Fryderyk Nietzsche przepuścił atak na rozum oskarżając Sokratesa o to, że ów „Antygrek” rozpoczynając epokę ratio ukatrupił to, co właściwe: niewyraźne i ukryte. Uwolnionej lawiny nie mógł powstrzymać nikt. Dawne autorytety zostały brutalnie zdezonizowane. Hasło: „przeżywania (erleben)” wykrzykiwane przez młokosów z Wandervoegel było czymś więcej niż tylko formą klasycznego buntu młodych przeciwko starym.

Zanim wydawnictwo ZNAK opublikowało zdanie o grozie wynikającej z użycia mikroskopu kilkadziesiąt lat wcześniej odkryto przepaść między Erklären a Verstehen. Wszystkie narzędzia poznawcze związane z kategorią „erklaeren” uległy zdeprecjonowaniu. Czym bowiem jest wyjaśnienie zjawisk fizykalnych i przyrody samej w porównaniu ze

zrozumieniem świata ducha, odkryciem jego najgłębszego sensu poprzez przeżycie. Otworzyło się szerokie pole dla dziwnej metodologii, która do tej pory zastrzeżona była do interpretacji tekstów objawionych. Wkrótce świat zaroił się od różnej maści hermeneutów. Zaraz po tym nad światem rozległ się miarowy stukot żołnierskich butów, bo w okresach w których rozum zasypiał lub był przymusowo usypiany zawsze pojawiały się demony.

Wisława Szymborska jest poetką nie z tego świata. Pochodzi ona z czasów, w których świat był jeszcze duży, nie do ogarnięcia – dorastała w systemie geometrycznym, w którym inne były jednostki miary. By przebyć drogę z miejsca A do miejsca B potrzeba było lat. Dzisiaj ten sam odcinek pokonywany jest w ułamkach sekundy. Szymborska jest stara, niedołączona i nie ma szans na opanowanie zasad działania nowego systemu. Ma aspirację, czuje na sobie jarzmo Nagrody Nobla. Czuje to samo, co jej poprzednik Rudolf Eucken i podobnie jak on stara się nawiązać jakąś formę dialogu z dynamicznie zmieniającą się rzeczywistością. Zarówno Szymborska jak i Eucken postrzegają świat jako wielką zrjonalizowaną i groźną (bo poznaną i poznawalną) maszynę, w której prywatne przestrzenie zredukowane zostały do minimum. Szymborska pisze:

*A tu nagle, pod szkiełkiem,
inne aż do przesady
i tak już znikome,
że to co sobą zajmują w przestrzeni,
tylko przez litość nazwać można miejscem*

[mikrokosmos]

Epoka rozumu (wg poetki: epoka grozy), w której poznanie naukowe spowodowało skurczenie się tego co nieznanego i niezbadanego do minimum miała wpływ na intymną sferę człowieka jako jednostki. Mechanizmy zastąpiły naturalne organizmy, maszyny wyparły ciała a mity i wiara ustąpiły miejsca nauce.

Trudno w tej interpretacji doszukiwać się elementów oryginalnych. Stara Szymborska w roli mędrca Made in Poland jest taka jak wszyscy mędrzy Made in Poland: wtórna i eklektyczna.

W żadnym ze tekstów omawianego tomiku Szymborska nie wyszła poza znaną – przynajmniej od końca 19. w. – argumentację przeciwko racjonalizmowi. Dla przykładu, w tekście *Sny* poetka tworzy klasyczną dychotomię – my i oni. Oni – to uczestnicy świata znanego i poznanego, w którym rządzą prawa nauki i zasady rozumu. My – to konsumenci misterium, połykacze ofiarnych okruchów spadających z magicznych ołtarzy.

Oni:

*Wbrew wiedzy i naukom geologów
kpiąc sobie z ich magnesów, wykresów i map
....
Bez inżynierów, majstrów, robotników
bez koparek, sycharek, dostawy budulca
....
Bez biegłych w swoim fachu architektów
bez cieśli, bez murarzy, betoniarzy*

My:

*A my – czego nie mogą cyrkowi sztukmistrze,
magowie, cudotwórcy i hipnotyzerzy*

...

*W czarnych tunelach świecimy sobie oczami
Rozmawiamy ze swadą w nieznanym języku
i to nie z byle kim, bo z umarłymi*

....

Zatracamy się w miłosnym pożądaniu

[sny]

[łatwo sobie wyobrazić Wisławę Szymborską, która jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej, na którymś z walnych posiedzeń ZLP recytuje znany wierszyk pewnego znanego poety z równie znanego elementarza Falskiego:

*Murarz domy muruje,
krawiec szyje ubrania.
Ale gdzieżby co uszył,
gdyby nie miał mieszkania?
A i murarz by przecie
na robotę nie ruszył,
gdyby krawiec mu spodni
i fartucha nie uszył.
Piekarz musi mieć buty,
więc do szewca iść trzeba.
No, a gdyby nie piekarz,
toby szewc nie miał chleba.
Tak dla wspólnej korzyści
i dla dobra wspólnego
wszyscy muszą pracować,
mój maleńki kolego!]*

Wisława Szymborska jest polskim produktem eksportowym. Po śmierci Czesława Miłosza jest jedyną, rozpoznawaną w świecie literacką metką z napisem „Made in Poland”. Wiedzą o tym zwłaszcza polscy wydawcy, którzy za wszelką cenę starają się wydobyć od trzęsącej się starowinki kilka wersów, strof a jeżeli się uda to całych wierszy by zmontować tomik a następnie zarobić na jego sprzedaży. Takie działanie przypomina politykę wytwórni fonograficznej, która wysyła akwizytorów do domu Violetty Villas, która ma trudności w rozpoznawaniu osoby w lustrze.

Szymborska w jednym ma racje – w świecie, w którym żyjemy wieje grozą. I to nie jest wina mikroskopów.

Jest rola, w której doskonale i z powodzeniem mogłaby się realizować autorka tomiku Tutaj. Zamiast ulegać namowom wydawców powinna ogłosić casting na swoją następczynię. Hasło: „Kobieto! Namaści cię Wisława Szymborska” na pewno przyciągnęłoby tłumy nie tylko początkujących ale i zaprawionych w literackich konkursach poetek. Wszystkie one

zmierzyłyby się w równym wyścigu w konkursie, w którym nagrodą byłoby wydanie tomiku z blurbem na okładce o treści:

*Pojawienie się nowej i niewątpliwie prawdziwej poetki jest zawsze rzeczą radosną (...).
Poetyka jej wierszy jest mi bliska i nie ukrywam, że ona to skłoniła mnie do tego pochlebnego sądu*

Joanna Szczepkowska, Dzisiaj nazywam się Charles

W hinduskiej mitologii jedna z opowieści przedstawia historię rodzaju ludzkiego. Oto ona w dużym skrócie:

Dokładnie 9 milionów lat po tym jak na ziemi pojawił się Wielki Uzdrowiec Dhanwantari część kobiet zbuntowała się przeciwko mężczyznom, którym Wisznu dał władzę panowania we wszystkich królestwach. Wypowiedziały im posłuszeństwo i postanowiły, że stworzą królestwo, do którego mężczyźni będą mieli wstęp tylko w celach rozplodowych. Mężczyźni początkowo chcieli poskromić buntowniczkę ale powstrzymał ich z rozkazu Wisznu mądry Brahmanaspati, który rozkazał im: „Nie róbcie nic”.

Już po roku zbuntowanym kobietom wyczerpały się zapasy, które zabrały odchodząc od mężczyzn. Niektóre z nich wychudzone wróciły, korząc się, do swych dawnych domostw i ról społecznych. Ale większość trwała w postanowieniu. Kiedy śmierć z głodu zaczęła zaglądać im w oczy kobiety postanowiły wyruszyć na polowanie. Szkopuł w tym, że nie posiadały siły i sprawności mężczyzn – żadna nie potrafiła trafić kamieniem w królika. Niektóre z nich chciały upolować najpowolniejsze z ziemskich stworzeń – węża Muczalindę – ale i ten zdążył im umknąć, znajdując schronienie między korzeniami drzewa Bo.

Ostatecznie, by nie umrzeć z głodu kobiety postanowiły zacząć żywić się trawą i liśćmi. Tu nie musiały wykazywać się umiejętnościami myśliwych. Całymi dniami chodziły one po łąkach – na czworakach, bo tak było łatwiej – i skubały trawę. Skubały i żyły. I któregoś razu, kiedy mądry Brahmanaspati przechadzając się po świecie ujrzał łąkę na której roilo się od kobiet w pozycji na czworakach, zachwycił się. Podrapawszy się kosturem po swoich niebieskich plecach wypowiedział życzenie: „chcę je mieć”. Kobiety usłyszały to życzenie i rzuciwszy się do stóp mądrymu Brahmanaspatiemu przyrzekły, że będą należały do niego pod jednym warunkiem, że je nakarmi i tak długo będą jego jak długo nie będą musiały troszczyć się o pożywienie.

Tym oto sposobem mądry Brahmanaspati stał się nie tylko patronem brahminów, zielonych łąk ale także patronem krów. A zwierzęta te od tamtego czasu uznane są za święte.

Kobiety-krowy tylko raz zrobiły sobie przerwę w jedzeniu. Było to tuż po tym jak przybrały obecnie znaną krowią postać. Spotkały się wszystkie. Wybrawszy spośród siebie Surabhi – krowę, która w imieniu wszystkich krów do końca świata komunikować się będzie z mądrym Brahmanaspatim – powróciły do swojego naturalnego zajęcia: do żucia pokarmu. Od tego czasu kobiety-krowy zajmują się tylko przeżuwaniami. Jeżeli nie przeżuwają to znaczy, że śpią lub nie żyją. I tylko jedna z nich o imieniu Surabhi może przestać żuć ale tylko na krótką chwilę, wystarczającą by wypowiedzieć dwa słowa: „Bardzo dobrze” w odpowiedzi na zapytanie mądrego Brahmanaspatiego: „Jak się dziś macie moje drogie panie?”

Kobiety, które nie były tak głupie by buntować się przeciwko mężczyznom miały się całkiem dobrze. Rodziły, gotowały i wychowywały dzieci. Wychowywały dzieci, gotowały i rodziły – i tak cały czas. Mijały dekady i stulecia. Mężczyźni wynaleźli koło a kobiety dalej gotowały, prały i wychowywały dzieci. Później były inne odkrycia, w tym Ameryki a kobiety dalej robiły swoje. Idylla trwałaby dłużej i kto wie, może dzisiaj dzięki nowym wynalazkom spacerowalibyśmy po powierzchniach nieznanymi planet, gdyby nie pewne zdarzenie..

Otóż któregoś dnia mężczyzna postanowił, że nauczy kobietę czytać. Uprzednio zapytał ją, czy chce posiadać ową boską umiejętność odczytywania dźwięków i myśli ze znaków (o pisaniu mowy w ogóle nie było). Kobieta odpowiedziała, że chce ale w duchu postanowiła, że wraz ze sztuką czytania ukradnie mężczyźnie sztukę pisania. I tak wyglądał początek końca.

Kiedy Joanna Szczepkowska nauczyła się pisać? – tego nie wiemy. Wiadomo jednak, że od jakiegoś czasu aktorka nie tylko pisze ale tworzy i maluje. O jej najnowszej produkcji – tomiku wydanym w 2010 r. przez Nowy Świat pt. *Dzisiaj nazywam się Charles*, w którym umieściła to, co stworzyła, spisała i narysowała – ktoś (prawdopodobnie Agnieszka Wolny-Hamkało albo inna kobieta, gdyż żaden mężczyzna nigdy by takich głupot nie wymyślił. A jeżeli nawet udałoby mu się wymyślić, to nigdy w życiu nie odważyłby się tego zapisać.) napisał:

„Nowy zbiór wierszy Joanny Szczepkowskiej to poezja zwykłych spraw i pozornie drobnych zdarzeń, z których autorka wydobywa dramatyczne napięcie, nierzadko zaskakujące czytelnika prowokacyjnym skojarzeniem”

Oczyściwszy blurba z przymiotniczków a’la „Elżbieta Lipińska w szczycie formy” otrzymujemy:

Zbiór wierszy Joanny Szczepkowskiej to poezja spraw i zdarzeń, z których autorka wydobywa napięcie, zaskakujące czytelnika skojarzeniem

(Teraz już widać dlaczego tego blurba mogła wymyślić tylko kobieta).

Pierwsze prawo fizyki literackiej brzmi:

Jakość dzieła jest wprost proporcjonalna do jakości pierwszego utworu w dziele.

Przytoczmy zatem pierwszy wiersz z tomiku *Dzisiaj nazywam się Charles* Joanny Szczepkowskiej:

*Jest po to, żeby ująć trochę pustki w pokoju
podzielić ciszę na przedpołudniową
i chwilę popołudniowej ciszy
i jeszcze po to, żeby światło
miało się po czym ślizgać
jest obiektem latającym
powolnie, nisko, nad stołem, łukiem do ust
czasami zamiast słów*

[filizanka]

Wiersz **filizanka** jest wierszem, w którym udało się poetce skondensować oprócz ciszy – która we współczesnej poezji kobiecej jak wiadomo dzieli się na: poranną, przedpołudniową, południową, popołudniową, wieczorną i nocną – także niebywałą wręcz dawkę infantylizmu waginalnego. Frazy:

„żeby światło miało się po czym ślizgać” oraz: „łukiem do ust czasami zamiast słów”

mogą równać się tylko z poradami radiowymi Pani Jeanette Kalety, która działając w zмовie i w porozumieniu z producentem Laktacytu uczy wszystkie Polki jednej ważnej rzeczy: współczynnika PH cipy.

O tekście **Filizanka** można powiedzieć także, że jest to bez wątpienia najlepszy wiersz w tomiku. Żaden z kolejnych kilkunastu tekstów nie jest tak dobry jak wiersz o filizance z kosmosu, która w dłoni kobiety zmienia się w „obiekt latający” sunący w przestrzeni dostojnie, powolnie i nisko.

Dowód? Proszę bardzo – wiersz ze strony 14.

*W gorących źródłach brzucha
wokół Śpiącego
pływają kawałki lustra
głazy i stonie
powietrze w szklistych kłębach
szare, przeddeszczowe
potęga senna w jednym tonie
głazy jak śpiące stonie albo odwrotnie
gdyby taki był świat... może właśnie jest taki
a życie to kicz wyobraźni
i grafomania marzeń*

[zanim]

Oprócz wierszy fatalnych Joanna Szczepkowska podążając drogą, którą wybiera większość wierchuszki literackiej w spódnicy, dociera do tzw. Sosnowszczyzny. Jej eksperyment neolingwistyczny kończy się tak jak kończą się wszystkie eksperymenty prezesówny Justyny Radczyńskiej i podobnych – na mieliznach śmieszności.

Dowód? Proszę bardzo – strona 8.:

*warstwa jubi... dziewczynka z uchem przy drzwiach...
ogon psa karetka mężczyzna z dziec...
jej chude kol...*

...

itp. itd [reszta nieczytelna - M.T.]

[myjąca szyby]

Tomik *Dzisiaj nazywam się Charles* mimo wszystko warto kupić. Warto wydać 19,90 na cieniutką książeczkę. Jest jeden powód, który rekompensuje stratę ekonomiczną: rysunki autorstwa Joanny Szczepkowskiej. O ile wiersze nie nadają się do czytania i trudno mierzyć się z autorką w wymyśleniu podobnych głupot (w szczególności z tymi dłuższymi, z działu „Reportaże”) – tak rysunki, którymi gęsto upstrzony został tomiczek, można sobie pooglądać i nacieszyć się myślą, że: „Moje dziecko potrafi lepiej rysować”.

Krzysztof Cezary Buszman, Errata do świata

Tomik *Errata do świata* Krzysztofa Cezarego Buszmana jest jeszcze jednym produktem systemu wydawniczego FORTUNET, na który można natknąć w EMPIK-u.

Errata do świata – jeżeli można użyć takiego porównania – jest ogniwem przejściowym między światem profesjonalnych tomików poetyckich produkowanych przez profesjonalnych poetów, wydawanych przez profesjonalne wydawnictwa i nagradzanych w profesjonalnych konkursach przez profesjonalne žiri a krainą uduchowionych nieprofesjonalnych naiwniaków, którzy wydają fortuny w FORTUNECIE, licząc na profesjonalną sławę.

Ewolucyjną pomostowość tomiku *Errata do świata* łatwo dostrzec na poziomie formalnym.

Po pierwsze – w redagowaniu tomiku brała udział m.in. Pani Barbara Buszman. O tym, że w świecie profesjonalistów literackich ważną rolę odgrywają intymne relacje świadczą m.in. takie literackie związki:

Pan Maliszewski – Pani Maliszewska
Pan Wiśniewski – Pani Wiśniewska
Pani Szychowiak – Pani Szychowiak
Pan Dehnel – Pan Illg

Wygląda na to, że parka: Pan Buszman – Pani Buszman są kolejnym tandemem polskiej literatury.

Po drugie – okładka. Zamiast jednobarwnej monotonii (która z perspektywy kosztów druku jest najtańsza) mamy grafiki, fotografie, odcienie. Gdyby dodać do tego pieczętkę „Egzemplarz prawoskrętny” to okładka *Erraty do świata* Buszmana byłaby ładząco podobna do *Trójmaszowca* Łukaszewicza.

Po trzecie – blurb. Dobry blurb to taki blurb, który napisany został przez kogoś sławnego.

Przykład Dehnela pokazuje jaką siłę może mieć blurb. Dwa ogólne, nic nie znaczące zdania wypowiedziane przez Czesława Miłosza:

*„Pojawienie się nowego i niewątpliwie prawdziwego poety jest zawsze rzeczą radosną (...).
Poetyka jego wierszy jest mi bliska i nie ukrywam, że ona to skłoniła mnie do tego pochlebnego sądu”*

może nie zmieniły kury w słowika literatury, ale sprawiły że jurorzy konkursów literackich w drobiu pospolitym zaczęli dostrzegać wyjątkowy potencjał do wzlotu na wyżyny ducha.

Krzysztof Cezary Buszman podobnie jak Jacek Dehnel także ma swojego superblurba. Powstał on w 1996 r. Oto on:

„Mnie się najbardziej podobały te strofy, w których autor operuje swoistą grą słów”

Autorem... Autorką tych słów była Agnieszka Osiecka! Tak, tak, ta Agnieszka Osiecka. Ta a nie inna Osiecka. Ta, która zmarła w 1997 roku. Kobięcina – podobnie jak Czesław – rok przed śmiercią wykrztusiła z siebie zdanie, które miało być przepustką do świata czerwonych dywanów, sałatek majonezowych i reporterskich fleszy.

Podobnie jak Czesław i Jezus Chrystus także Agnieszka dawno gryzie ziemię. Nie przeszkadza to Buszmenowi. Dwanaście lat po śmierci Osieckiej ten ciągle ją ożywia. Literacki szaman upodobał sobie jedno, jedno jedyne zdanie, niefortunna wypowiedź o „swoistej grze słów”.

Na czym miałyby owa „swoistość” polegać? Czym jest gra słów w kontekście dzieł Krzysia Buszmana? By się tego dowiedzieć potrzebny jest szaman voo doo z pewną praktyką, który jest w stanie przywołać z zaświatów Osiecką, by ta złożyła stosowne wyjaśnienia.

Jeden solidny blurb zwykle wystarcza. Buszman jako reżyser własnego sukcesu nie chce niczego pozostawić ślepemu losowi. Dlatego na okładce tomiku *Errata do świata* oprócz archiwalnego zapisku Osieckiej znajduje się jak najbardziej aktualna notka Katarzy Gärtner – drugi blurb:

„czuje się w tej poezji świeżość, hardość i talent tej miary co kiedyś o Jonaszu Kofcie mówiło się w kręgach literackiej bohemy iż ma szansę sięgnąć po laur czwartego wieszca Polski.

Po czwarte – pierwszy wiersz tomiku *Errata do świata* Krzysztofa Buszmana wydrukowany został na stronie 8. Ostatni znajduje się na stronie 115. Tomik ma stron 120.

Strona pierwsza: autor + tytuł + logo autora (kombinacja liter CKB) + logo wydawnictwa „Poligraf”

Strona druga: copyright’y + projekt/redakcja/współpraca/korekta/itp. + ISBN + adres wydawnictwa

Strona trzecia: fotka autora + CV

Strona czwarta: pusta

Strona piąta: dedykacja

Strona szósta: pusta

Strona siódma: grafika + tytuł podrozdziału

Strona ósma: wiersz

Wyszukana prostota

*Wiedz o tym, kiedy się rozklejasz
Bo los cię do obłędu zbeształ
Że tym, co przetrwa jest nadzieja
Kiedy zawodzi cała reszta*

*I wciąż w pamięci miej te słowa
Gdy tak niemrawo w pejzaż idziesz
Że można wszystko zaplanować
Ale nie można nic przewidzieć*

*Tego los pokarał
Kto miejsca nie zagrzeje
Bo chcą być wszędzie naraz
Naprawdę nigdzie nie jest!*

*Bo w życiu prawdy są niezmiennie
Choć ludzie do nich się nie garną
Że nie kosztuje nic, co cenne
Lecz nie da tego los za darmo*

*Dziś będzie lepszy dzień niż sądzisz
I wreszcie się przestaniesz mylić
Gdy myślą w przyszłość nie zabłądzisz
Trzymając się obecnej chwili*

(19 sierpnia 2006, Berlin – Gran Canaria)

Jaki jest cel takiego marnotrawstwa papieru? Dlaczego autor „FORTUNETU”, który musi wydać na druk 100. stron książki w nakładzie 1000. egz. połowę Silesiusa – całe 9500 zł. – trwoni pierwszych siedem stron na życiorysy, grafiki i inne głupoty? Trudno odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie. Być może Autor ma za dużo pieniędzy i nie ma pomysłu jak wydać fortunę. A może chce, by jego tomik wyglądał bardzo profesjonalnie, by nie sprawiał wrażenia książki wydanej naprędce, książki niestarannej. Tego nie wie nikt.

Po piąte – Dehnel by uatrakcyjnić produkowaną przez siebie liryczną sieczkę stosuje proste ale skuteczne sztuczki. Pod wierszykami dodaje czas i miejsce powstania: „Kraków-Wilno 1901 r.” (stosując antydatowanie Dehnel stara się pogłębić odbiór tekstu. W kolejnym tomiku rapującego geja prawdopodobnie przeczytamy wiersze datowane na „768 r. B.C.”). Tę samą sztuczkę stosuje Krzysiek Buszman. Pod jego wierszykami w tomiku *Errata do świata* można odczytać następujące nazwy miejscowości:

Chlewiska, Pałac Odrowążów
Płock
Rzym
Watykan
Maspalomas – Gran Canaria
Berlin – Gran Canaria
Londyn
Warszawa
Ciechanów – Gdynia
Gdynia – Warszawa
Zurych – Varadero Kuba
Playa del Carmen – Meksyk
Sopot – Kraków

Sterdyń – Pałac Ossolińskich
Wenecja
Florencja – W domu Dantego

Itp. itd.

Jak widać Krzysztof Cezary musi się dużo najeździć zanim napisze wiersz. Ale – o czym poucza przykład Dehnela – akwizycja literacka, kiedy to poeta rozlicza się z każdego przebytego kilometra dodając odczyty z tachografu do wierszy się oplaca.

Tomik *Errata do świata* aspiruje do bycia profesjonalnym produktem profesjonalnego poety, który nie czytał się w Sosnowskim, Świetlickim itp. I takim też tomikiem jest. Spełnia wszystkie wymogi formalne. Jednak trudno znaleźć go na liście tomików nominowanych do profesjonalnych nagród w profesjonalnych konkurach, w których zasiada profesjonalne żiri.

Maliszewski, Śliwiński czy Winiarski itp. – czy od któregoś z nich usłyszeliście o Krzysztofie Cezarym Buszkanie? Czy usłyszeliście o poecie, o którym przed śmiercią Agnieszka Osiecka wydukała jedno zdanie? Jeżeli nie, to dlaczego tylu z was usłyszało o Dehnelu, którego dzieła są odrobinę lepsze niż teksty Buszmana (ale tylko odrobinę – mały niuansik)? Dlaczego uwierzyliście, że Dehnel i jego liryczne pasztecjarstwo ma większą wartość niż teksty Krzyśka Buszmana? Dlatego że Miłosz jest jakoś lepszy od Osieckiej? Czy różnica między Dehnelem a Buszmanem to różnica między Miłoszem a Osiecką?

Krzysztof Mrowiec, *Liryki naiwne*

Łukaszewicz zgarniając nagrodę za *Trójmasztowca* udowodnił, że pisanie dobrych wierszy nie jest warunkiem koniecznym wygrania konkursu literackiego. Czerpiąc ze swojego wieloletniego doświadczenia wydawcy poezji wiedzieli, że musi coś zrobić, by jurorzy – nawet ci, którzy dorabiają w prowincjonalnych konkursach – dostrzegli w jego tomiku coś, czego tam nie ma. Mowa oczywiście o znaczeniu w jakiegokolwiek postaci.

Miał do wyboru: albo napisze przebojowe wiersze, co nigdy nie jest sprawą łatwą, albo zaskoczy czymś jurorów. Żiri w składzie: Maliszewski, Wolny-Hamkało i Matuszkiewicz to doświadczona ekipa. W niejednym konkursie poetyckim jurorowali, w niejednej części nieoficjalnej aktywnie udział brali – każdy z jurorów miał na swoim koncie przynajmniej jeden półmisek sałatki majonezowej. Trudno takich czymś zaskoczyć. Łukaszewiczowi się jednak udało.

Wykorzystując opcję edytora tekstu sprawił, że Agnieszka Wolny-Hamkało w ekstazie zacisnęła uda i odbyła wewnętrzną podróż do dzieciństwa, przypominając sobie wszystkie szczegóły z bajki „Było sobie życie”. Karol Maliszewski zareagował podobnie – zadrżał raz, zadrżał drugi raz, spociał się a następnie ujrzał Ajudaha (cokolwiek to znaczy). Natomiast Antoni Matuszkiewicz po zapoznaniu się z dziełem Łukaszewicza do dziś nie może przestać opowiadać o „jedynym głębi wysychającego dna”.

Jaka była przyczyna takich zachowań? Jaki bodziec był w stanie wyprowadzić z równowagi tych specjalistów od poezji? Czy były to kiepskie wierszyki o przygodach Arnolifniego w tramwaju? Czy były to dołączone do wierszyków zdjęcia, które poeta zrobił w trakcie jednej z wakacyjnych wycieczek organizowanych przez PTTK? Otóż nie.

Tajemnicą sukcesu *Trójmasztowca* Łukaszewicza była odpowiednia edycja tekstu. Autor-Poeta i Edytor w jednej postaci używając opcji „akapit z lewej” / „akapit z prawej” powołał do życia kolejno tzw. *Egzemplarze Lewoskrętne* i *Egzemplarze Prawoskrętne*.

Jurorzy świdnickiego konkursu nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z takim – oględnie rzecz nazywając: kuriozum wydawniczym. Dlatego postanowili dzieło wyróżnić.

Ale Jarek Łukaszewicz nie tylko zgarnął nagrodę. Jego koncepcja produkcji kuriozów edycyjnych pod płaszczykiem liryki doczekała się epigonów. Łukaszewicz jako autor koncepcji prawo- i lewoskrętności stał się duchowym przewodnikiem tych wszystkich, którzy nie potrafią pisać wierszy i jednocześnie są przekonani, że piszą wiersze wybitne.

Łukaszewicz wykorzystując w produkcji *Trójmasztowca* dwie opcje edycji tekstu: akapit z lewej oraz akapit z prawej – wysoko ustawił poprzeczkę swoim uczniom. Najbardziej pojętym z nich okazał się Krzysztof Mrowiec, który swoje teksty w tomiku *Liryki naiwne* ułożył wykorzystując opcję „akapit wyśrodkowany”. Mamy zatem do czynienia z klasyczną historią: oto pojawia się uczeń, który dopełnia dzieło Mistrza czyniąc je doskonałym.

Tom Krzysztofa Mrowca *Liryki naiwne* składa się ze 150. tekstów. Są to teksty tego rodzaju, że każda wypowiedź na ich temat będzie lepsza niż same wiersze. Oto próbka:

*Ustyszałem słowa piosenki
Słowa pełne nadziei i rozterki
Słowa pełne przyjaźni i samotności
Melodia jej ucieszyła moje serce
Śpiew jej słów ożywił moje pragnienia
Dostrzegłem w niej przestrzeń
Przestrzeń, którą wypełniasz Ty*

....
itp., itd

[ucieczka]

Można próbować skonfrontować ów tekst z dziełem Mistrza:

*heloł wagino, dzień dobry szyjko
zmieniwszy kosmiczną wyporność
znosisz dary małżonko – powiedział
Arnolfini – „a gdzie zanosisz dary?”*

....

[małżeństwo Arnolfinich, Jarek Łukaszewicz]

Ale obawiam się, że taka konfrontacja zarówno na płaszczyźnie semantycznej jak i estetycznej wypadłaby na niekorzyść dzieła Autora *Trójmasztowca*. Bo co by nie powiedzieć o tekstach Krzysztofa Mrowca z tomu *Liryki naiwne*, to jedno jest pewne: są one lepsze jakościowo niż wiersze Łukaszewicza – niedużo ale lepsze.

Jednak tu nie o poezje chodzi ale o kuriozalne edycje tekstów. Oto, w jaki sposób poeta Krzysztof Mrowiec nawiązał do standardów wytyczonych przez Jarka Łukaszewicza w *Trójmasztowcu*.

Na zakończenie warto przybliżyć czytelnikom sylwetkę poety Krzysztofa Mrowca.

Urodził się on 25. lutego 1964 r. w Tychach. Długo się uczył aż wreszcie zdobył upragniony dyplom technika górnika. Od 21. roku życia zaczął pracować w kopalniach węgla kamiennego. Później mu się znudziło i wyjechał do Niemiec, gdzie obecnie przebywa. Jak można wyczytać z notki na okładce: „W 2005 r. nastąpił przełom w życiu Krzysztofa”. W tym roku postanowił wszystkie swoje myśli, marzenia i wizje utrwalić w wersji nadającej się do druku. Powstało dzieło: *Liryki naiwne*.

Osobiście bardzo się cieszę natrafiając na tego typu dzieła jak *Liryki naiwne*. Nigdy nie zostaną one przeczytane przez Agnieszkę Wolny-Hamkało. Nie trafią na biurka Maliszewskiego czy Matuszkiewicz. Nie wezmą udziału w wyścigu literackich szczurów do którejś z nagród. Ale nie wydaje mi się, by Krzysztof Mrowiec odczuwał z tego powodu żal. Mało tego – nie sądzę, by autorzy tacy jak Krzysztof Mrowiec wiedzieli kto to taki Wolny-Hamkało, Maliszewski czy Matuszkiewicz.

Moja radość nie jest spowodowana sadystyczną satysfakcją rzeźnickiego sprawiania kurioza wydawniczego. Przeciwnie. Szczerzę się cieszę z tego, że istnieje jakaś siła w człowieku, która zmusza go do pisania i upublicznienia za wszelką cenę swoich wierszy. Nieważne, że te wiersze są do dupy. Ważne, że powstają i że są wydawane (w tym przypadku sumptem Autora w systemie „Fortunet”).

Jestem pewien, że tomik Krzysztofa Mrowca sprzedawany po 19,90 pln / sztuka znajdzie swoich czytelników. Ja przeczytałem – nie wszystko, ale to zawsze coś.

Jakobe Mansztajn, Wiedeński high life

Przełom w branży porno nastąpił wraz z debiutem w filmie XXX czarnego człowieka. Ogromne, połyskujące afroamerykańskie penisy przerażały ale jednocześnie fascynowały jak pierwsza scena *Star Wars IV (A New Hope)*, w której galaktyczny krążownik Imperium ostrzeliwał mały stateczek z księżniczką Leilą na pokładzie.

O jakimkolwiek przełomie – jakościowym – w najnowszej poezji polskiej trudno mówić. Przeciwnie. Wydaje się, że poezja kojarzona z wolnością wewnętrzną, stała się poezją konkursową – taką, w której używa się najbardziej skutecznych form obrazowania. Przy czym skuteczność ta obliczona jest na sukces, którym w tym przypadku jest zdobycie nagrody w konkursie literackim.

W tym kontekście najnowsza poezja jest poezją uwarunkowaną. Stała się jednym wielkim odruchem Pawłowa, w którym rolę gongu odgrywa informacja o konkursie, wywołująca odpowiednią reakcję w mózgu poety.

Pierwszy aksjomat Skutecznej Poetyki brzmi:

- NIE RYZYKUJ

Wszystko co nowe jest nieznanne. To, co nieznanne z reguły budzi lęk. Dlatego z pragmatycznego punktu widzenia należy w miarę możliwości zrezygnować z własnego, oryginalnego stylu (zakładając, że ów jest własny i oryginalny), bo każda forma eksperymentu na formie czy treści będzie skazana na porażkę.

[w zapisie formalnym wyglądałoby to następująco:

$$1 = (R \rightarrow 0)$$

Gdzie:

1 - oznacza osiągnięcie sukcesu /wygranie konkursu, bycie zauważonym przez krytykę itp./
R – oznacza ryzyko]

Drugi aksjomat **Skutecznej Poetyki** wymaga komentarza.

Wśród poetów dominuje przekonanie, że aby pisać dobre wiersze należy dużo czytać. Chodzi oczywiście o lekturę „dobrych wierszy”. Przy czym przez dobre wiersze rozumie się te, które zostały uznane za dobre. Uznane – czyli: wyróżnione, nagrodzone itp.

Taki pogląd opiera się implicite na założeniu, że poezja to rodzaj ewolucyjnie rozwijającej się myśli naukowej, w której każdy kolejny etap jest formą komentarza do poprzednika. Innymi słowy: aby być skutecznym poetą – podobnie jak to się przyjęło w nauce – musisz w swoich tekstach mieć „dużo przypisów”. To znaczy: każdy krytyk, koneser poezji itp. powinien móc w twoich wierszach odnaleźć pewne wyraźne inspiracje tj. ślady lektur „wierszy dobrych” (nagrodzonych, uznanych)

[zapis formalny:

$$X = [X(1) = (1(A)+1(B)+1(C)+ \dots 1(N))]$$

Gdzie:

X = kandydat na dobrego poetę

X(1) = wiersz kandydata na dobrego poetę

1(A)

1(B) = dzieła uznanych / dobrych poetów.

(1C)

...

1(N)

Trzeci aksjomat **Skutecznej Poetyki** brzmi:

- Pisz tak jak się **TERAZ** pisze.

Z pozoru przypomina on aksjomat drugi. Ale tylko z pozoru. W aksjomacie trzecim zwrócić uwagę należy na kategorię „TERAZ”. Określenie czasu teraźniejszego umożliwia wprowadzenie różnicy w ramach zbioru Wszystkich Skutecznych Poetyk i wybrać tylko te, które są TERAZ (w tej chwili) najbardziej skuteczne.

[zapis formalny:

(A, B...N) = WOB

$1 = (A \text{ i } \sim B) \iff [A(WOB) = 1a(\Delta T)]$

Gdzie:

WOB – oznacza zbiór Wszystkich Skutecznych Poetyk

1 – sukces

1a(ΔT) – sukces w poprzedniej jednostce czasowej.

.

Jak to wygląda w praktyce. Weźmy ostatni przykład – tomik Jakobe Mansztajna pt. **Wiedeński high life**.

Oto jeden z wierszy Jakobe Mansztajna z nagrodzonego Silesiusem tomiku – wiersz pt. **Próba sił**:

*pada komenda: ruszyć w głąb wątych rusztowań gałęzi.
mamy trzy carmeny, trzy pomarańczowe oranżady w proszku,
nie lada kosmos nad i pod koszulkami
ciała cienkie jak zapałki, jeśli wymienić wszystko.*

*na czubek wciągając kolorową szmatę! – to teraz nasze
drzewo; niebo odmyka się i kurzy jak rozcięta stopą woda.
dalej już tylko trzask ręk, stłuczone czoło
i plamki krwi na koszulce, jeśli wymienić wszystko*

[próba sił]

Pierwsze, co się rzuca w oczy po lekturze tego tekstu to realizm. Nawet „rusztowania gałęzi” w kontekście tekstu tracą swoją metaforyczność i stają się czymś realnym. Sam wiersz nie wymaga interpretacji, gdyż nie ma czego interpretować. Jednak pomimo znikomej wartości semantycznej tekst jest ciekawym przykładem kontynuacji pewnej Poetyki Sukcesu, która zaczęła się formować w tekstach Marcina Świetlickiego by apogeum rozwoju osiągnąć w tomiku *Dolna Wilda* – Edwarda Pasewicza.

Świetlicki rozpoczął proces humanizowania tekstu poetyckiego. Realizm służył uczłowieczeniu tekstu – zbliżaniu do go czytelnika, by ten mógł odnaleźć w nim któreś z własnych przeżyć. W jednym ze swoich wczesnych wierszy pisał:

*Powiedziałem: znam takie miejsce,
gdzie przychodzą umierać koty.
Zapytałem: chcesz je zobaczyć?
Odpowiedziała: nie chcę.*

*Powiedziałem: jest czyste i ważne.
Powiedziałem: jest jasne i pierwsze.
Zapytałem: chcesz je zobaczyć?
Odpowiedziała: nie chcę.*

*Powiedziała to w taki sposób,
że musiałem odwrócić się od niej.
Od tamtej pory
powoli
zbliżam się do wyjścia.*

[Świerszcze, Świetlicki, *Zimne kraje* 2, 1996 r)

Każdy w dowolnej chwili może być jedną ze stron podobnego dialogu. Nie każdy jednak jak Świetlicki odnajdzie w tej codzienności ten słaby punkt – jedno słowo, gest – które potrafi odmienić pogląd, relację z innym człowiekiem a następnie doświadczenie owego punktu skanalizować dzięki poezji. Na tym polega istota tej formy realizmu – że jest on znaczący - w wierszach Świetlickiego.

Kolejny przykład – nowszy – rozwoju tej poetyki pochodzi z roku 2004. Marcin Świetlicki publikuje kolejny tomik: *49 wierszy o wódce i papierosach*. W tym zbiorze także pojawiają się charakterystyczne zhumanizowane wiersze. Przykład:

*Podłogi, z płaszcza łóżko, a ze swetra kołdra.
Dumnie sierść zwierząt domowych noszona
na ubraniach człowieczych, uzezwierżenie
ładne i delikatne, zwierzenia przezsenne.*

*Tu jest moja parafia, tu jest mój kontynent.
Pierwsze słońce wbrew starej, czarnej, twardej zimie.
Tu jestem ja, mężczyzna, nie mam już powodu,
by się więcej ukrywać wobec słońca wschodu,*

*wobec kamienic, wobec kobiet, wobec
tego, do czego trzeba do wieczora dobiec.*

[Poranna parafia]

Pomimo, że nie ma w tekście niczego nadzwyczajnego – żadnej dziwacznej metafory, ani dziwaczego archaizmu lub podobnej sztuczki, której celem jest odwrócenie uwagi czytelnika od (zwykle w takich przypadkach) zionącego emocjonalną i intelektualną pustką tekstu, wiersz sam w sobie jest niezwykły. Wszystko to zasługa zhumanizowania tekstu.

Na czym polega humanizacja tekstu?

Po pierwsze: podmiot liryczny jest zawsze występuje zawsze jako: „ja, ty, on, my, wy oni”. Przy czym każda z form osobowych ma charakter realny. To znaczy: mogła istnieć, istnieje, może istnieć i nie ma żadnej przeszkody w jej zaistnieniu. Innymi słowy: nie jest to smok, czarnoksiężnik, demon, anioł ciemności czy inny stwór ale konkretny „Ktoś” – „Ktoś”, którego poznałem kiedyś, kogo mogę poznać albo typ, którego poznała moja przyjaciółka.

Po drugie: tekst jest pozbawiony udziwnień – piramidalnych metafor, zbędnych archaizmów, dziwnych słów itp. Ascetyczny jeżeli chodzi o dobór środków poetyckich sposób wyrazu ma swój cel. Odległość między zhumanizowanym tekstem a jego odbiorcą radykalnie się kurczy. Czytelnik postrzega zhumanizowany tekst jako coś prywatnego, jako opis możliwego zdarzenia, które przeżył, które przeżyje. Dzięki takiemu odbiorowi tekstu jego autor jawi się jako człowiek szczerzy, jako ktoś, kogo chciałoby się spotkać, ktoś kto mnie rozumie, ktoś taki jak ja.

Po trzecie: w trakcie lektury tekstu następuje przejście epistemiczne – czytelnik nie tylko obcuje tekstem poetyckim ale rozstrzyga o jego prawdziwości. Dla odbiorcy zhumanizowany tekst jest tekstem prawdziwym gdyż jest autentyczny. Taki proces jest pochodną realizmu.

Siłę zhumanizowanych tekstów poetyckich doskonale przedstawia wiersz **Olifant**, Świetlickiego:

*Zobaczyłem światło więc przyszedłem. Zadzwonilem i otworzyłaś.
Nie przyszedłem rozmawiać, nie przyszedłem się kłócić,
nie przyszedłem prowadzić odwiecznej wojny.
Ja przyszedłem się kochać.
Mam już jeden nóż w plecach i nie ma tam miejsca na następne.
Odpada dylemat: kawa - herbata?
Przyszedłem się kochać.
Zobaczyłem światło więc przyszedłem. Zadzwonilem i otworzyłaś.
Nie przyszedłem rozmawiać. Nie przyszedłem namawiać.
Nie przyszedłem zbierać podpisów. Nie przyszedłem pić wódki.
Ja przyszedłem się kochać.*

Tu nie chodzi o pytanie: co poeta miał na myśli? Tylko o to, czy istnieje taki mężczyzna na ziemi, niezależnie od koloru skóry, wieku, wzrostu itp., który nie chciałby przynajmniej raz w życiu z kimś w ten sposób porozmawiać?

Wracając do tematu.

Poetyka Sukcesu, którą zapoczątkował Świetlicki swoją popularność odziedziczyła po swoim stwórcy ale szczyt formy i apogeum rozwoju osiągnęła w błyskotliwym debiucie Edwarda Pasewicza.

Tom *Dolna Wilda* to zbiór wierszy perfekcyjnych – doskonale zhumanizowanych tak jak nigdy później i nigdy wcześniej zhumanizowane nie były. Ale jednocześnie – dzięki pewnemu skrzywieniu teozoficznemu – realizm został pogłębiony o pewne wartości, których wcześniej nie występowały w takiej koniunkcji.

Oto przykład:

*Wysuszeni, nadzy i wątpiący, tacy
są nasi lokatorzy. Fen ich drażni i wątpią w Boga,
patrzac na wzgórza i płacząc na Cytadeli,
w dzień zaduszny wspominając angielskich lotników.
Czy chce się nam wymieniać wszystkie te zmarłe
nazwiska?
No i ich lustra, nie zapominajmy
o pieśniach powleczonego rtęcią szkła,
o tygrysie pod powieką, który się wyzwoli,
wyzwoli, gdy będziemy dużo czytać.
(Tak co dzień rano widzę ich w koszulach,
słyszę te szepty, później głośne śmiechy).
Moja muzyka jest muzyką ciała, gdy chcę
wydobyć dźwięk, to stukam płaską dłonią
o rozgrzany kamień, dźwięk jest jak postać
ledwo co widziana, powidok czegoś, co
się utkało w umyśle, a umysł jest tkaniną,
która nie ma granic, bo gdzie granice
tego, co tka się bez przerwy?
Ale czy oni mają muzykę? Chłopiec,
co wąskie stopy natarł olejkim do opalania,
jego kochanek, który już śpi od południa,
i przyjaciele i znajomi palący się w słońcu,
Ci przyjechali z Treviru, tamten z Akki,
wiem, że widzieli Krzyż Południa i zazdroszczę
chłosty w ciemnym pokoju na Via Nuova,
tych opowieści słucham drugi tydzień,
a jednak nie mogę usłyszeć muzyki.
Może to zresztą tak być musi,
stoję z patykiem w dłoni skrepowany,
bielszy niż mur, o który się opieram,
słyszę, że chłopiec czyta, patrzę tylko
wiem, że o nic go nie spytam.*

[NAŚLADOWNICTWO]

Istotnym wkładem Pasewicza do tej Poetyki Sukcesu jest wprowadzenie nowych sposobów obrazowania. Pasewicz próbuje bezwzględny realizm Świetlickiego zdehumanizować ale robi to pozostając na płaszczyźnie zasad realizmu.

„pieśń powleczonego rtęcią szkła” jest czymś innym niż „mowa mgieł bezszelestnej duszy”

Gdyby spróbować przeanalizować ten wiersz, to okaże się, że składa się on z następujących fragmentów:

*„Wysuszeni, nadzy i wąpiący, tacy
są nasi lokatorzy. Fen ich drażni i wąpią w Boga,
patrzac na wzgórze i płacząc na Cytadeli,
w dzień zaduszny wspominając angielskich lotników.
Czy chce się nam wymieniać wszystkie te zmarłe
nazwiska?
(Tak co dzień rano widzę ich w koszulach,
słyszę te szepty, później głośne śmiechy).”*

*„Chłopiec, co wąskie stopy natarł olejkim do opalania,
jego kochanek, który już śpi od południa,
i przyjaciele i znajomi palący się w słońcu,
Ci przyjechali z Treviru, tamten z Akki,
wiem, że widzieli Krzyż Południa i zazdroścę
chłosty w ciemnym pokoju na Via Nuova,
tych opowieści słucham drugi tydzień”*

*„Może to zresztą tak być musi,
stoję z patykiem w dłoni skrępowany,
bielszy niż mur, o który się opieram,
słyszę, że chłopiec czyta, patrzę tylko
wiem, że o nic go nie spytam.”*

Gdyby obdarzyć każdy z fragmentów autonomią, okazałyby się zwykłymi pamiętnikarskimi notkami – intymnymi zapiskami zastępowego, który zakochał się w blondynku, dwunastoletnim skautem, który za chwilę prześpi w towarzystwie kolegów swoją pierwszą noc po namiocie. Kto wie, co się wówczas wydarzy?

Ale w tym wierszu Pasewicz decyduje się na eksperyment. Jako autor musi mieć świadomość owego skrócenia dystansu z czytelnikiem i wykorzystuje to, przemycając własną, oryginalną myśl. W dwóch fragmentach:

*No i ich lustra, nie zapominajmy
o pieśniach powleczonego rtęcią szkła,
o tygrysie pod powieką, który się wyzwoli,
wyzwoli, gdy będziemy dużo czytać.*

*„Moja muzyka jest muzyką ciała, gdy chcę
wydobyć dźwięk, to stukam płaską dłonią
o rozgrzany kamień, dźwięk jest jak postać
ledwo co widziana, powidok czegoś, co*

*się utkało w umyśle, a umysł jest tkaniną,
która nie ma granic, bo gdzie granice
tego, co tka się bez przerwy?
Ale czy oni mają muzykę?"*

- Pasewicz przekazuje odbiorcy swoich tekstów więcej mądrości i nauk niż kaznodzieja w ciągu całego swojego życia. Ale podobnie jak kaznodzieja – Pasewicz ze swoimi naukami dotrze do nieskończenie wielu słuchaczy (Fragment: „Moja muzyka jest muzyką ciała, gdy chcę wydobyć dźwięk, to stukam płaską dłonią o rozgrzany kamień” – jest być może najlepszym fragmentem jaki powstał w ramach czegoś, co określa się jako „najnowsza” poezja polską). Nie wymaga od odbiorcy specjalistycznego przygotowania filologicznego czy filozoficznego. Jest spadkobiercą tradycji, z której czerpie: jest mnichem, który z ogoloną głową, w sandałach siada między dziećmi, które go pytają po co mu te dziwne koraliki? A on im cierpliwie tłumaczy co to takiego Mała.

W późniejszych tekstach – choćby z **th** – Pasewicz – dokona ostatecznej personalizacji Poetyki Sukcesu. To, co realne będzie nierzeczywiste a to, co rzeczywiste będzie nierealne. Przykład:

*Przestrzeń ma kształt tarki do buraków.
Białko pisze. To nie jest list miłosny, to
deklaracja. Białko pisze i nie obchodzi go
autor, spin, myszko, i śmierć z zazdrości.*

*Białko pisze i nie jest ślepe, to nie rojenia
tylko suma przerażeń. I nieważne jest czy
pokochamy trupa, ta wiedza odsyła nas w
sen a on okazuje się kolejnym pismem, nie
odpowiemy chyba na poste restante?*

*I, czekaj jeszcze, nie pamiętam, ty czy ja
wpadłem na tę myśl o żukach w środku
figi, nie uważaliśmy, teraz to możliwe, że
one nas piszą. A, i dajmy spokój płci,
pamiętaj słońce, jest biała.*

[Jak przegrać doskonale]

Tu realność ograniczała będzie się tylko do strony formalnej: Rzeczowniki: „białko”, „przestrzeń”, „tarka do buraków”, „list miłosny”, „myszka”, „śmierć z zazdrości” – to wszystko może, mogło lub kiedyś może zaistnieć. Pytanie, czy może zaistnieć w tym układzie, który zaproponował autor wiersza? – Wątpliwe, ale jednak piękne i znaczące.

Wracając do Poetyki Sukcesu.

Zarówno Świetlicki jak i Pasewicz odnieśli środowiskowy sukces. Stali się Autorami, których się czyta, cytuje. Stali się poetami, cenionymi za dorobek a nie za nagrody, dziwne stroje, meloniki, wywiady itp. Innymi słowy – przepustki do Świata Najnowszej Poezji poeci ci napisali sobie własnymi długopisami.

Sukces jest sukcesem wówczas, kiedy można go powtórzyć. Znaleźli się naśladowcy Świetlickiego i Pasewicza. Zresztą naśladownictwo w świecie polskiej poezji nie jest czymś złym. Nie jest traktowane – zresztą nie bez racji – jak plagiat. Naśladowanie Poetyki Sukcesu w poetyckim światku jest objawem dobrego wychowania, odpowiednikiem znajomości zasad obsługi różnej wielkości i kształtu widelczyków rozłożonych na stoliku w ekskluzywnej restauracji. Naśladowanie Poetyki Sukcesu jest dowodem indywidualnego odczytania kandydata, który pretenduje do roli pełnoprawnego uczestnika Oficjalnego Obiegu Literackiego.

O tym jak bardzo skuteczne jest naśladowanie przekonują dwa ostatnia sukcesy:

- Przemysława Witkowskiego *Preparaty*
- Jakobe Mansztajna *Wiedeński high life*

Na początek ten pierwszy:

W jednym z wierszy z *Preparatów* Witkowski pisze:

*ten takt jest statyczny, przyciąga. ona tam jest,
widziałem. rusza się pod nim, te same odgłosy,
które dobrze pamiętam.
tak niewiele przeciekło przez palce, a chłód
zaczyna znów gościć. były odcienie piołunu,
a jest merkurochrom, sen o lepie na muchy,
że duszno, że ci ludzie, którzy tu przychodzili
po prostu chodzą gdzie indziej,
że zamiast otworzyć usta, tyle przydawek,
przecinków. gdzie wyznaczyć linię podziału,
jak ważne jest, żeby w odpowiednim miejscu
się przejeździć, zapomnieć?*

[POWIERZCHNIOWE NAPIĘCIE]

Trudno oprzeć się wrażeniu literackiego dejavu porównując trzy pierwsze wersy Witkowskiego z trzema wersetami **Jak przegrać doskonale** – Pasewicza. Porównajmy:

Pasewicz:

*Przestrzeń ma kształt tarki do buraków.
Białko pisze. To nie jest list miłosny, to
deklaracja. Białko pisze i nie obchodzi go
autor, spin, myszko, i śmierć z zazdrości.*

Witkowski:

*ten takt jest statyczny, przyciąga. ona tam jest,
widziałem. rusza się pod nim, te same odgłosy,
które dobrze pamiętam.*

Zamieńmy „białko” na „oną (kobietę)” i odwrotnie:

Witkowski-Pasewicz:

*Przestrzeń ma kształt tarki do buraków.
Kobieta pisze. To nie jest list miłosny, to
Deklaracja. Ona pisze nie obchodzi ją
autor, spin, myszko, i śmierć z zazdrości.*

Pasewicz-Witkowski

*ten takt jest statyczny, przyciąga, białko tam jest,
widziałem. rusza się pod nim, te same odgłosy,
które dobrze pamiętam.*

Jest jedna odpowiedź na pytanie: „Czy to Pasewicz jest podobny do Witkowskiego czy na odwrót?” – ale mimo wszystko, eksperymenty z treścią pozwalają czytelnikowi zdobyć inną perspektywę. Możliwość jednoczesnego widzenia na odległość i w mikroskali.

Witkowski kończy z Biezezinem w garści. Dostaje laurkę itp., itd. Ale co z Mansztajnem? Wróćmy do tekstu Próba sił z nagrodzonego Silesiusem debiutu. Jakobe Mansztajn pisze:

*pada komenda: ruszyć w głąb wątych rusztowań gałęzi.
mamy trzy carmeny, trzy pomarańczowe oranżady w proszku,
nie lada kosmos nad i pod koszulkami
ciała cienkie jak zapałki, jeśli wymienić wszystko.*

*na czubek wciągnąć kolorową szmatę! – to teraz nasze
drzewo; niebo odmyka się i kurzy jak rozcięta stopą woda.
dalej już tylko trzask rąk, stłuczone czoło
i plamki krwi na koszulce, jeśli wymienić wszystko*

[próba sił]

Analizując ten tekst wydaje się, że autor próbuje nadać zdarzeniom jedermannowskim status wydarzeń niezwykłych. Mamy w wierszu:

„pada komenda”
„mamy trzy carmeny, trzy pomarańczowe oranżady w proszku”
„ciała cienkie jak zapałki, jeśli wymienić wszystko”
„na czubek wciągnąć kolorową szmatę”
Itp., itd.

W każdym razie w realizmie Mansztajna widoczny jest odwrót od stylu Pasewicza i próba reanimacji czegoś, co nigdy nie istniało. Otóż Jakobe Mansztajn jako poeta-realista sięga po banał w przekonaniu, że jest rzeczywistym spadkobiercą talentu Świetlickiego. Teksty Mansztajna pozbawione metafizycznych implikacji ale jednocześnie zhumanizowane do granic ucłowieczenia tekstu literackiego w ogóle, stają się manifestem groteski. Na przykład:

niebawem runą osiedlowe kioski i po dropsy

*będzie trzeba gnać do tesco. siwy czuje
niewidzialną rękę rynku i stopniowy upadek
mniejszych form. takim jak my pluje się na głowy,
albowiem należymy do mniejszych form.
wiedeński high life: siedzimy przed kioskiem
i wsuwamy dropsy. wiatr owiewa nasze twarze,
jakby całował na do widzenia. do widzenia
i dobranoc. niebawem runą osiedlowe kioski,
przemienie era dropsów, wiedeński high life
szlag trafi. podział na kwestie stanie się
nieostry, siwy twierdzi, że to nawet dobrze -
najwyższy czas zacząć działać jako bohater
zbiorowy, bo liczba mnoga jest bezpieczna.
bezpieczeństwo w tej sytuacji będzie kluczowe*

[NARRACJA III]

Nie wymyślono lepszego sposobu na skolonizowanie świadomości rocznika 70 i parę jak wspomnienie o dropsach, pastylkach konferencyjnych, lodach casatte i bananach z PEWEX-u. Autor wiersz korzysta z tych archetypów ale nie oferuje nic w zamian. Żeruje na reminiscencjach – jest klasycznym drapieźnikiem, zainteresowanym łupem. Do dyspozycji ma wypróbowane narzędzie: Poetykę Sukcesu, niebezpiecznej redukcji dystansu dzielącego tekst i jego odbiorcę. Jakobe Mansztajn w tym sensie jest wzorowym naśladowcą Pasewicza, Świetlickiego i Witkowskiego. Gratulacje dla poety i przestroga dla innych:

Chcesz być poetą, który wygrywa konkursy? Pisz tak jak poeci, którzy wygrywają konkursy!

Piotr M. Cieński, Prozak życia

W Polsce, w kraju, w którym – jeżeli wierzyć piosenkom – na dróg rozstaju najczęściej spotykaną osobą jest bóg w którymś ze swoich trzech wcieleń, nie ma wielu bogactw naturalnych. Próżno szukać diamentów w górach, a płucząc złoto w Wiśle prędzej człowiek dorobi się grzyba między palcami niż zarobi na bochenek chleba.

Ale w kraju, w którym na rozstajach dróg roi się od przydrożnych kapliczek – pod dostatkiem jest innych bogactw – bogactw z rodzaju nienaturalnych, skarbów nie z tego świata. Cudów. Poetów.

O jednym z nich, odtwórczyni roli Ilony w serialu *Złotopolscy* – Ewa Kasprzyk powiedziała:

jest dla mnie tym poetą, o których myślę: gdyby wszyscy byli tak utalentowani i czyści jaki, byłby świat? Myślę o nim, bo wierzę że jego wrażliwość będzie wszechobecna. Ma niezwykle dar łączenia rzeczy wzniosłych z prozą życia

Nie ma powodów by nie ufać tej ocenie. Ewa Kasprzyk, której talent recenzencki porównywany jest przez wielu do naturalnych uzdolnień Jakuba Winiarskiego, prezentuje popularny współcześnie model krytyki literackiej, zwanej krytyką hipokrytów. Pierwszy i jedyny aksjomat tego rodzaju pisania o literaturze jaki proponuje tego rodzaju krytyka brzmi:

primum non nocere

Inny zacny krytyk – z zamiłowania koneser poezji, z zawodu śpiewak – Maciej Zembaty podzielił entuzjazm koleżanki Ewy. Ów cud scharakteryzował następująco:

„Dziś już tak nikt nie pisze, nikt nie rymuje, nikt nie szuka w słowach ich ukrytych znaczeń. Nikt nie bawi się formą tak jak autor tych utworów. Początkowe zaskoczenie jakie towarzyszyło lekturze, szybko zmieniło się w autentyczne zainteresowanie. Jeżeli miałbym określić te wiersze jednym słowem powiedziałbym, że są mądre i szlachetne.”

Natomiast Zbigniew Jerzyna – postać także cudowna – napisał:

Są to wiersze prawdziwego mistrza. Długo czekaliśmy na to, aż wreszcie objawił się nam nowy Andrzej Bursa, piszący w podobnych klimatach, tej samej miary talentu. Wiersze ... są zanurzone w życiu, inspirowane dotykającą rzeczywistością, zbudowane z rzeczy, przedmiotów, szczegółów, fragmentów świata. Jest w nich dużo przedniej poezji, a jednocześnie są jakoś racjonalnie sprawdzalne. Poeta posiada niemal idealne wyczucie formy oraz doskonały słuch poetycki. (...) Zaskakujące metafory, odległe skojarzenia, piękne poetyckie obrazy... To jedna z ważniejszych książek w najnowszej poezji polskiej.

Rekomendacje Ewy Kasprzyk i Macieja Zębatego można potraktować z przymrużeniem oka. Jednak Zbigniew Jerzyna to poeta z krwi i kości rocznika 38', który przeżył niejedno, z niejednego pieca literackiego literacki chleb jadł, niejedną nagrodę za twórczość odebrał, niejedną książkę wydał, niejedną wiersz napisał i jeszcze niejedną napisze. Jedno jest pewne – Zbigniew Jerzyna zna się, wie o czym pisze.

Gdyby podsumować: ekstazy recenzenckie Kasprzyk, Jerzyny i Zembatego; gdyby uwzględnić to, że w promocję owego Cudu zaangażował się medialnie pewien portal literacki i radio można pomyśleć, że chodzi tu o Jacka Dehnela. Owe przypuszczenie wydają się potwierdzać.

Ale czy mowa Jacku Dehnelu?

Drzewa najlepiej poznaje się po owocach, dlatego przyjrzyjmy się tekstom uzdolnionego poety – Jacka Dehnela i owego cudownego chłopca, którym zachwyciła się aktorka, piosenkarz i poeta starej daty.

Oto wiersz:

*Noc prosiłem aby ciebie pozdrowiła
Oraz wietrzyk zagrał tobie na drzew harfie.
Brat mój Miesiąc cię osrebrzy moja miła,
Jakże pięknie zajaśniałaś w srebrnej szarfie.
Księżyc puka w twoje okna mgielnym pyłem,
Noc pozdrawia ciebie każdym mrocznym gestem
Moja droga cały czas przy tobie byłem,
Moja drogo, cały czas przy tobie jestem...*

[***]

Wydaje się, że jego autorem mógłby być Jacek Dehnel. A jest w tym przypuszczeniu coś niespójnego. Mała rysa, dokładniej: dwie rysy.

Po pierwsze – Jacek Dehnel wiele razy starał się przekonać, że sztukę pisania rymowanek opanował do perfekcji. W dedykowanym Agnieszce Kuciak wierszyku pt. **Przyjęcie jako wirtuoz słowa**, podróżujący przez literaturę z paszportem języka polskiego w kieszeni, wspiął się na szczyty swojego talentu:

*Stoją u okna strome ciemności,
ciemność przychodzi do okien w gości.*

*A za ciemnością idą zwierzęta,
żadne bestiarium ich nie spamięta.*

*Za zwierzętami śmierć biała kroczy,
śmierć sześciokrzydła, na skrzydłach oczy.*

*Stają u okien. Patrzą do środka.
Bardzo się zmieni, kto je napotka.*

*W środku tłum, meble, książki i szklanki,
czyli szkło, drewno, papier i tkanki.*

...

[przyjęcie]

Pomijając złożoność semantyczną owego dzieła (o „ciemności”, która w poezji polskiej od dawien dawna wykazuje się nadzwyczaj dobrą kondycją fizyczną: „oddycha”, „podchodzi”, „snuje się”, „wybucha”, „rozrasta się” a nawet „jaśnieje” itp. – można pisać dużo i długo) porównując je z wyżej cytowanym zauważyć można pewien brak o charakterze warsztatowym.

Rym: A B A B ..., w wierszu *** wymagają od poety większej biegłości w posługiwaniu się językiem niż rym AA BB CC.

I to jest ta pierwsza rysa.

Druga dotyczy ostatniego fragmentu tekstu: ***, dokładniej wersu: „Moja droga, cały czas przy tobie jestem...”.

Wziąwszy pod uwagę wers przedostatni: „Moja droga cały czas przy tobie byłem” wątpliwym jest, by Autor chciał napisać o „drodze”. Przepuszczalnie zamiast jednej z polskich dróg w ostatnim wersie miała wystąpić inna droga – droga sercu poety kobieta.

Czy Jacek Dehnel mógłby popełnić taki błąd? Wątpliwe. Spędzając tygodnie nad opracowywaniem strofy, wytracając wzrok w skąpym oświetleniu nocnej lampki, cyzelując każde słowo z rzemieślniczą precyzją poeta Jacek Dehnel nigdy – z przyczyn od niego niezależnych – nie pomyliłby kamienistej drogi z drogą kobietą.

Porównajmy inne fragmenty.

Między 9. czerwca a 10. lipca 2005 zakochany poeta napisał tekst, który pisze każdy w podobnej sytuacji. Z uniesieniami miłosnymi jest bowiem tak, że najbardziej topornomózgiego, owłosionego małpiziona zmieniają w gładkoliczego anioła poezji o złotych skrzydłach.

Oto fragment dedykowanego dla „P.T” produktu zakochanego serca i strutego miłością umysłu:

*Te codzienne, conocne, te żmudne ćwiczenia,
te pasaża pod górkę „bycia-dwojgiem-ludzi”,
gdzie zmiana każdej nuty bardzo wiele zmienia,*

*to budzenie się rano ze ścierpłym ramieniem,
bo całą noc się spało tak, by cię nie zbudzić,
te codzienne, conocne, te żmudne ćwiczenia:*

*gemmy francuskich kremów, pianek do golenia,
by mniej drapać policzki, by mniej je utrudzić
w pocałunkach – a taka zmiana wiele zmienia*

...

[II Sogno]

Mniej więcej w tym samym czasie inna, pogrążona w amoku miłosnym dłoń zapisuje:

Kiedy zmieniasz się w szept,

*Będę szeptał twe życie
Nocą ciemną bezsenną,
Która blednie o świcie
Kiedy zmienisz się w szept,
Będę szeptał i szedł
Przez życie...*

*Kiedy zmieniasz się szept,
Rankiem ciebie wypowiem,
Porą czystą i mglistą
Będziesz stawać się słowem.
Kiedy zmienisz się w szept,
Będę szeptał i szedł,
Tak co dzień...*

[Kiedy zmienisz się w szept]

Może to się wydać nieprawdopodobne, ale wiersz *Kiedy zmienisz się w szept* nie został napisany przez Jacka Dehnela. Metamorfoza w szept nie uwzględnia gmerania w owłosieniu na kłacie i skręcania spoconymi palcami dredów z pokręconych kłaczek w okolicach sutków i pępka. Próżno w tekście *Kiedy zmienisz się w szept* szukać owego dehnelowskiego trudu „żmudnych ćwiczeń” („codzienne żmudne ćwiczenia” – zapewne chodzi o wspólne wyciskanie sztangi na ławeczce. Kiedy jeden z partnerów robi serię drugi go asekuje, z tyłu podtrzymując sztangę, by ta nie przygniotła delikwenta w ostatnim powtórzeniu. Jeżeli chodzi o „conocne żmudne ćwiczenia” – tu sprawa nie jest tak oczywista. Wątpliwe, by podmiot liryczny pomagał innemu podmiotowi lirycznemu w nocnych ćwiczeniach kulturystycznych – nikt nie ćwiczy po nocach. Być może owe „nocne ćwiczenie” ma związek z przetoką jelitową. Być może ze zwężeniem światła odbytu na skutek pewnych procesów. Trudno ustalić o jakiego rodzaju „żmudność” tu chodzi.). Nie odnajdziemy tu także elementów product placementu:

„francuskich kremów, pianek do golenia”

– zachwalania francuskich kosmetyków, których użycie gwarantuje gładkość lica do tego stopnia, że mężczyzna mężczyźnie może ocierać policzkiem nawet najbardziej intymne okolice ciała godzinami nie powodując podrażnień wrażliwego naskórka.

Mimo semantycznych różnic, które jednoznacznie wykluczają nie tylko autorstwo ale nawet współudział Jacka Dehnela w powstaniu tekstu *Kiedy zmienisz się w szept*, to na poziomie strukturalnym istnieją pewne podobieństwa, które pozwalają przypuszczać, że teksty *Il Sogno* oraz *Kiedy zmienisz się w szept* napisane zostały przez tego samego autora. Otóż:

powtórzenia:

te codzienne, conocne, te żmudne ćwiczenia:

oraz

Kiedy zmieniasz się w szept

spełniają w tekstach taką samą funkcję – nadają im melodyjność. Wydaje się zatem, że konstruowane one były z premedytacją, przez tekściarza układającego słowa piosenki dla Maryli Rodowicz.

Dodatkowy argument przemawiający za taką interpretacją jest następujący:

- w obu tekstach występuje ta sama „bezsenna noc”.
- w obu tekstach mamy do czynienia z kategorią „poranka, dnia następnego”
- w obu przypadkach zarówno „bezsenna noc” jak i „poranek” wyznaczają granice czasu akcji.

Można powiedzieć, że jest to czysty przypadek, albo że każdy zakochany człowiek piszący wiersze, pisze o tym co wydarza się „tuż przed”, w „trakcie” i „chwile po”, bo później się rozleniwia i zasypia. Można dowodzić, że najważniejsza w całym zdarzeniu – przynajmniej na początku związku – jest „bezsenna noc” na temat której powstało nieskończenie wiele opisów literackich. Że „bezsenna noc” tak bardzo powszechne zarówno u nieprzywykłych do okołobiegunowych pór roku turystów jak i u zakochanych w pierwszych tygodniach związku warte są uwiecznienia z jednego powodu. Otóż ich dramaturgia, erotyczne napięcie, – po miesiącu zmieniają się w bezmyślny rytuał spania na własnej pościeli z zazdrosnym przestrzeganiem granicy biegnącej przez środek wersalki a „ścierpnięte ramiona” i inne ścierpnięte kończyny nagle tracą jędrność i czucie. Bo kiedy zapach endorfin unoszący się ze zmiętego prześcieradła zmieni się w kwaśny, nieznośnie szczypiący w oczy zapach bąków wzmagający się z każdym poruszeniem kołdry – człowiek uzmysławia sobie jedno, że ma tylko jedno marzenie: chciałby się porządnie wyspać.

Weźmy inny fragment.

17. czerwca 2009 r. to ważna data w dziejach świata. w tym dniu niestrudzony podwładny prezes Justyny Radczyńskiej-Misiurewicz – po tym jak udzielił pocieszenia szefowej, która wydając entę książkę z wierszami jak zwykle zastanawiała się ile jeszcze będzie musiała naprodukować dzieł, by opowiedzieli o niej w TVP Kultura – po raz tysiąc dwieście siedemdziesiąty ósmy i jak się wydaje nie ostatni objawił światu swój talent. Opublikował wiersz pt. **Tuman**.

Oto fragment owego dzieła:

*Tak, miłość. Lecz to zawiść jest nieukojona.
Błyszczące oko w szparach pomiędzy deskami
stodoły, gdzie on tamtą obraca na sianie;
mowy nad jarzynową o ukrytej forsie,
o zdobytych spod lady żywieniowych bonach;
suto słodzone bluzgi jak torsje po torcie.*

...

[tuman]

Za każdym razem publikacja tego typu wierszy, w których poetycki flajsz przekracza swój zenit jest wydarzeniem międzynarodowym. Zresztą każdy wiersz o miłości jest pewnym wydarzeniem. Także i ten:

*Młoda miłość szalona
Płacze nasze wrzecziona,
Nieraz moja się w palec zraniła...
Rozpalenie czasami
Się spotka ze łzami
Ale nie chce ugasić się nijak.*

...

[kochać]

Mimo, że drugi fragment pozbawiony jest naturalistycznych opisów mętnej zupy jarzynowej i baraszkowania na sianie, każdy znawca poezji przyzna, że mógłby zostać napisany przez Jacka Dehnela. Być może Tuman nie jest tak dobry jak wiersz: Kochać ale jak w poprzednim przypadku, tak i teraz widoczne są wyraźne koniunkcje między fragmentami. Lakoniczny tytuł a także identyczny rzeczownik na drugim miejscu w pierwszym wersie „miłość”. Archetypy: „szpary pomiędzy deskami” oraz „zranienia się w palec” (prawdopodobnie chodzi tu o zranienie się drzazgą, pochodzącą z deski lub innym elementem z drewna jak np. kolec dzikiej róży. Tego typu rany są statystycznie rzecz biorąc najczęstszymi obrażeniami jakie odnoszą bohaterowie bajek, powieści, wierszy a także najpospolitszymi obrażeniami jakie można odnieść na co dzień. Każdy, przynajmniej raz w życiu zranił się w palec drzazgą.) – są dowodem, że piszący teksty kochać oraz tuman czerpali z tego samego zbioru motywów, by wzbudzić w odbiorcy takie samo wrażenie.

Ostatni dowód, to dowód z okazania.

Okazanie jest czynnością procesową, którą z powodzeniem można wykorzystać w ciekawym eksperymencie. Czy na przedstawionych zdjęciach rozpoznasz Jacka Dehnela? Czy jesteś w stanie rozpoznać who-is-who?

* Zabawa jak i tekst nie powstałaby, gdyby nie Piotr M. Cieński – utalentowany poeta i tekściarz, którego tomik literacki tp. **Prozak życia** wydany w 2009 r. w wydawnictwie Anagram, wylądował na półce z poezją jednego z warszawskich Empików, który przypadkiem odwiedziłem.

Łukasz Gryczewski, małe wielkie Anioły

Jak to się stało, że zapracowany i śmiertelnie zmęczony pod koniec swojego żywota Czesław Miłosz znalazł czas by przeczytać kilka wierszyków Jacka Dehnela i napisać o nich trzy zdania, które stały się przepustką do kariery autora Lali? Czy w promocji młodego talentu miał swój udział Jurek Illg – człowiek, który ma ten unikalny dar, że rozpoznaje bezbłędnie własny talent literacki dzięki czemu kultura polski doczekała się kolejnego filaru w postaci Wierszy z Marcówki. Czy to on podsunął dzieła młodego poety umierającemu Czesławowi? Czy może zadziałała tu jakaś inna – nie bójmy się tego słowa – pozaziemska siła?

Na temat tych i podobnych mechanizmów rządzących karierami poetyckimi młodych chłopców i dziewczynek można snuć najróżniejsze i najbardziej egzotyczne przypuszczenia. Istnieje jednak inna droga prowadząca do literackiej sławy. Przejrzysta, rządząca się klarownymi zasadami. Napisałem „zasadami”? – Błąd, chodziło oczywiście o jedną zasadę, którą można sformułować następująco:

ilość dostępnych środków na koncie 9500 PLN

Tyle kosztuje przepustka do oficjalnego obiegu literackiego.

Zbędne są namaszczenia starszych, sapiących panów. Nie trzeba się latami podlizywać administracjom portali poetyckich i zarządom fundacji literackich w nadziei, że się zostanie nie tyle zauważonym co wynagrodzonym za zasługi. Zbędne są wydatki na podróże do Wrocławia „na Port”. Nie musisz też znać kogoś, kto zna pewną panią, która koleguje się z kolegą, który regularnie penetruje doodbytniczo pewnego znajomego a ten z kolei jest kochankiem żony redaktora serii wydawniczej.

Dziewięć tysięcy pięćset złotych polskich – tyle trzeba zapłacić za bilet do oficjalnej rzeczywistości literackiej z zachowaniem godności i honoru. Tylko tyle.

Zbędne są wydawnicze recenzje i przyjacielskie laudacje na okładkę. Nie potrzebne są nie tylko ciekawe wiersze ale nawet te nieciekawe – w skrajnym przypadku wszelka treść jest zbędna.

Za 9500 PLN :

„Twoja książka będzie przez co najmniej 50 lat przechowywana w Bibliotece Uniwersytetu im. M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego, Bibliotece Uniwersyteckiej w Toruniu, Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu, Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego, Bibliotece Śląskiej w Katowicach, Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy, Książnicy Pomorskiej w Szczecinie, Bibliotece Uniwersytetu Gdańskiego, Bibliotece Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Bibliotece Uniwersytetu Opolskiego i Książnicy Podlaskiej w Białymstoku.”

Czy to nie wspaniałe? Jeżeli uświadomisz sobie, że w Książnicy Podlaskiej w Białymstoku nie ma dzieł takich tuz literatury polskiej jak Monika Mosiewicz czy Justyna Radczyńska-

Misiurewicz, że w jej katalogu nie znajdziesz Lali Jacka Dehnela – to kwota 9500 PLN przestaje odstraszać (o ile w ogóle odstraszała).

Czy uświadamiasz sobie jak długo Prezes Radczyńska musiała studiować syntaksę i semantykę by stworzyć dzieło:

*plot drzwi na zasuwkę
koński dotyk tułowia
woda przyciskająca mnie
do piersi jak obły żarłacz*

*na ciętej grani mętna
fioletowa przepaść
mogę na zawsze myśli*

*wyślizgną się
a
jak mydło z bezładnej ręki
w najczulszych momentach
światło w skrętnych korzeniach*

*tli się ledwo
mie strach*

[łatwa wierność]

Źródło: **nieszuflada.pl**

Zdajesz sobie sprawę jaką drogę intelektualną musiała kobiecina przebyć, by światło dzienne ujrzała metafora: „koński dotyk tułowia”?

Czy zdajesz sobie sprawę jak długo trzeba nosić aparat ortodontyczny by nie tylko seplenić ale i zacząć pisać:

*z jękyzem clizą na ssen
bochcy w mesnyn sensiae
senryjych onsensnów
gdy w sęsimitych mulinsenccejah
sunje ięś ofsensywne gesensis
klonjeego szrewia weszensebongo
a zoem clyzi się co oprafitzs
w min otcadyć dla biesie*

[ssen]

Autor: Monika Mosiewicz, źródło: **nieszuflada.pl**

Albo czy wiesz jak bardzo żywotną trzeba mieć babcie lub też jak bardzo kosztowną farmakologię stosować by dostatecznie długo utrzymać starowinkę nie tylko przy życiu ale w miarę dobrej kondycji intelektualnej, byś ty jako przyszły autor-literat mógł zadać jej

wszystkie pytania, zebrać odpowiedni materiał literacki, zanotować jej odpowiedzi a później napisać:

„Już teraz dom w Oliwie wygląda inaczej. A kiedy babcia umrze, a umrze niebawem, i mogę to napisać zupełnie spokojnie, bo po pierwsze, dawno wszyscy pogodziliśmy się z tą myślą, a po drugie, ona i tak tego nigdy nie przeczyta, bo w ogóle już nie czyta, wszystko się zmieni nie do poznania”

(Jacek Dehnel, *Lala*, s. 5)

Już nie musisz cierpieć! Nie musisz przeżywać! Nie musisz torturować najbliższych swoim talentem – Torturuj cały świat! – tak powinien wyglądać slogan reklamowy Systemu Wydawniczego Fortunet, bo to właśnie ten system za jedyne 9500 złotych polskich oferuje przepustkę do świata, w którym podstawową menu jest sałatka warzywna z majonezem.

Czym się różni Fortunet od tradycyjnego wydawnictwa literackiego? O różnicach oraz innych niezwykle istotnych z perspektywy literackiego padawana kwestiach przeczytać można na stronie fortunet.eu:

„Typowe” wydawnictwo niechętnie wydaje książki debiutantów. Wydaje najchętniej pisarzy znanych, żeby zysk był pewny, a jeśli już zdecyduje się na współpracę, to najczęściej „wiąże” Autora ze sobą na stałe, bo jeśli go promuje w jakikolwiek sposób (choćby wydając jego książkę), to chciałoby mieć pewność, że drugą i trzecią książkę Autor też wyda w tym samym wydawnictwie. Fortunet jest dla tych, którzy chcieliby korzystać z pełnej swobody i – w przypadku, gdy książka będzie się sprzedawała – zarabiać poważne pieniądze”

Dla tych, którzy nie ogarnęli istoty różnicy: „Fortunet vs. Reszta świata” rewolucyjny wydawca przygotował metaforę z franchisingiem i McDonaldem:

„To trochę tak jak w przypadku franchisingu. Franczyzobiorca ma dużo większe szanse na zarobienie pieniędzy działając w sieci (np. McDonald) niż otwierając własny bar pod własną nazwą (zwłaszcza, jeśli nie potrafi smażyć hamburgerów :-)”

Można by pomyśleć, że Fortunet to psikus spłątany przez anonimowego internautę lub hochsztaplerski projekt naciągaczy z Rosji, którzy żerując na rozdętym ego niedocenionych artystów chcą zbić majątek (dla niektórych bywalców Internetu uśmieszek „;-)” na stronie profesjonalnego wydawcy może wydać się przynajmniej podejrzliwy). Otóż nic z tych rzeczy. Fortunet to najuczciwszy system wydawniczy jaki został stworzony przez białego człowieka. Mało tego – to system cieszący się rosnącą popularnością. W ciągu swego istnienia (na stronie fortunet.eu można przeczytać: „działamy od 1992 roku”. Jednak pierwsza z pozycji – książka Zofii Zelman pt. *Ślady na ścieżce wędrowca* – umieszczona w spisie wydanych książek pochodzi z 2005. roku) dorobiło się 56. szlagierów wydawniczych. M.in. *Morderstwo w piekle*, Tadeusza Matraszka; *Sukces zaczyna się teraz. Poradnik dla kobiet*, Elżbiety Burdach; *Ja i mój głos. Jak odnaleźć wibracje swojego głosu i nawiązać głębszy kontakt z samym sobą i innymi ludźmi?* Jolanty Sipowicz; *Umrzeć w deszczu*, Aleksandra Sowy czy *Inwestuj w Elektrownię Wiatrową*, Elżbieta i Ryszarda Kowalczyków.

Wśród Autorów systemu Fortunet znajdują się klasycy literatury.

Z tych bardziej znanych należałoby wymienić:

- Maria Malina Lampone
- Jan Kintzi
- Krzysztof Cezary Buszman
- Grzegorz Art'Mann
- Park Jae Woo

System wydawniczy Fortunet – co nie jest bez znaczenia – gwarantuje Autorom doskonałą dystrybucję ich dzieł. Upowszechnienie myśli to podstawa:

„Nasze wydawnictwo – Wydawnictwo Poligraf – używa swoich licznych kontaktów i know-how, by książkę nie tylko wydać, ale również umieścić ją w systemie dystrybucji (m.in. w sieci Empik!)”

Wyobraź sobie: wchodzisz do EMPIK-u, podchodzisz do regału i widzisz na nim swoją książkę. Trochę nieśmiało, jakbyś bał się skalać ową relikwię, wyciągasz po nią rękę. Następnie delikatnie dotykasz kredowaną, połyskującą i jakby ciepłą dokładkę. Myślisz sobie: „Tak! To dzieło żyje swoim życiem!”. Zaciskając na niej palce obu rąk przytulasz książkę do piersi, całujesz i podnosisz do góry tak, by wszyscy widzieli. Wykrzykujesz:

- Oto ciało i krew moja!

Po czym szybko odkładasz na miejsce i uciekasz przed ochroną i panami w białych fartuchach, którzy nie wykazują krzty zrozumienia dla twojego geniuszu.

Oprócz dystrybucji, nakładu w wysokości 1000 egzemplarzy (dla książki w formacie A5 o objętości 200 stron) w cenę wliczona jest nieśmiertelność. Tak, tak. Żadna „niespieszność”, „niespieszność” ani każda inna literówka. Za 9500 zł, po odliczeniu kosztów wydawniczych, można kupić sobie życie wieczne. Żarty? Nie.

Otóż kiedy Twoje – Szanowny Autorze – nazwisko zostanie wymazane z księgi żywota, kiedy zniknie nagrobek a epitafium zatrze czas – twoja książka z imieniem i nazwiskiem na okładce trwać będzie. I to wszystko dzięki Fortunetowi!

„zapewniamy obecność Twojej książki m.in. w Bibliotece Narodowej w Warszawie i Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

Biblioteki te będą przechowywać Twoją książkę wieczyście! W ten sposób zapewnisz sobie nieśmiertelność.” (podkreślenie – M.T.)

Jednym z Autorów, który za życia zagwarantował sobie nieśmiertelność jest Łukasz Gryczewski. W 2010 r., wydając 9500 zł, wydał swoje dzieło pt. **małe wielkie Anioły**. Kilka egzemplarzy jego książki o numerze ISBN 978-83-88330-55-1, jako egzemplarze obowiązkowe, na wieki trafiło do zbioru Biblioteki Narodowej. Reszta trafiła do wolnej sprzedaży, na półki księgarń.

Od tej pory Łukasz Gryczewski – podobnie jak Jacek Dehnel, Piotr Czerniawski, Radosław Wiśniewski, Roman Kaźmierski, Szczepan Kopyt, Edward Pasewicz, Jarek Łukaszewicz itp. – może sobie w biogramie, tuż po nazwisku dopisać: „poeta”.

Poeta Łukasz Gryczewski napisał tak o swoim dziele:

„Zbiór wierszy, spisanych pod wpływem własnych wewnętrznych przeżyć, opisujących najskrytsze tajemnice przyjaźni, miłości i tego wszystkiego, co jest najcenniejsze dla człowieka”

Nie wnikając w to, czy można pisać wiersze pod wpływem cudzych przeżyć wewnętrznych przejdźmy do zawartości tomiku *małe wielkie Anioły*.

Już po lekturze pierwszego tekstu można nabrać wyobrażenia na temat talentu i kunsztu poety Łukasza Gryczewskiego:

*Jak niewiele trzeba, by cudem się stało,
To co nigdy nie mogło, nie wydawało,
Czasem drobina, chęć, chwila wystarcza,
By stać się młodzieńcem ze starca,
By to, co marzeniem, ułudą było,
W jednej sekundzie, błysku się sprawiło,
By przygnębienie, szczęściem się stało,
I wieczność w tym wszystkim trwało.*

[Drobina]

Jako czytelnik skapitulowałem trując się nad znaczeniem „tego, co nigdy nie wydawało”. Podałem się także w trakcie analizy zwrotu: „błyskiem się sprawić”. Moje rozterki interpretacyjne nie dotyczyły tego czy można „się sprawić” – bo tradycja „się sprawiania” znana jest w Kraju Kwitnącej Wiśni pod nazwą harakiri – ale kategorii „błysku”. Nie jestem pewien czy można „błyskiem się sprawić”.

Pewność oraz interpretacyjny grunt pod nogami tracę także analizując ostatni wers dzieła. Czy istnieje „wieczność” rodzaju męskiego?

Poeta, którego dzieło wywołuje tyle pytań musi zasłużyć na nagrodę. Kościelscy to minimum.

Z drugiej strony zdumiewa mnie to, jak dalece potrafi posunąć się poeta w odchodzeniu od sensu, na jakie pośmiewisko gotów jest się wystawić po to tylko, by zachować rym.

Ktoś mógłby powiedzieć: że tylko pierwszy wiersz jest taki udany. Że w tomikach tak to już bywa: najlepszy wiersz jest na pierwszy a później to już sieczka.

Być może tak jest. Być może inni poeci z premedytacją konstruują swoje tomiki tak, by skusić czytelnika pierwszym tekstem i zmusić go do wydania kilkunastu / kilkudziesięciu złotych polskich na literacki szajs.

Łukasz Gryczewski jest inny. Każdy z ponad setki tekstów upakowany w tomik jest jakościowo porównywalny z „Drobiną”. Zatem dwadzieścia cztery złote, które należy zapłacić przy kasie w EMPIKU-u za książkę *wielkie małe Anioły* jest inwestycją trafioną.

Oto wiersz drugi:

*Pustka, ją w swym sercu czuję,
Czemu tak zniecka drażni, atakuje,
Czemu wierci, wrzyna, wzbudza pożądanie,
Czemu nie ucichnie, czemu nie przestanie.*

*Tęsknota, ją wraz z pustką czuję,
Wiem już dokładnie, jak słodko smakuje,
Wiem, że nie przestanie tęchać duszy mojej,
Wiem, że jest też częścią tęsknoty i twojej.
Tak chciałbym by czas, pory, szybko przemijały,
By dwa serca w jedno serce się złąły,
Zabiły razem, i w pustce już nigdy nie trwały.*

[pustka]

Tu zwraca uwagę przede wszystkim uniwersalność przekazu. Zmieniając w pierwszym wersie:

„pustka” na „sraczka”
„serce” na „brzuch”

otrzymujemy wiersz o podobnej dramaturgii przekazu i zachowanej obrazowości cierpienia.

Trzeci, czwarty, piąty, pięćdziesiąty i pięćdziesiąty pierwszy wiersz są równie piękne. Ale wiersz pięćdziesiąty drugi to błyskotliwy popis autora – graficzne sprawozdanie z jego talentu i wszystkich uzdolnień literackich:

*Gry, zabawa czy nauka,
Tego ciągle głowa szuka.
Myszą stronę klik, otwarta,
Z Internetem wiedza zwarta.
Sport, historia, geografia,
Polski, język, ortografia,
Śpiew, plastyka, matematyka,
Gdy na stronę myszka klika.*

[Internet]

Wszechstronność poety Łukasza Gryczewskiego polega na tym, że z naturalnym wdziękiem, bez zadęcia potrafi pisać wiersze dla dorosłych oraz dla dzieci. Jestem pewien, że za sto lat, kiedy będzie układana antologia *Poeci na Nowy Wiek II*, Roman Honet – pod warunkiem, że dożyje – znajdzie w niej miejsce dla kilku tekstów z tomiku *małe wielkie Anioły*.

Paweł Koziół, metale ciężkie

Wydawanie poezji nie jest rzeczą łatwą. Chimeryczni poeci nie dotrzymujący terminów to najmniejszy problem. Główną trudnością jaką spotyka redaktor na swojej zawodowej drodze życia jest problem wyboru tekstów. Zanim to jednak nastąpi redaktor musi wytypować autora tekstów – poetkę lub poetę.

Przeciętny redaktor przeciętnego wydawnictwa dba o to, by wybrany autor także nie wybijał się ponad literacką przeciętność. Tylko przeciętny autor jest gwarantem przeciętności tekstów, które mają zostać złożone w przeciętny tomik i wydrukowane.

Wydawanie przeciętnych tomików przeciętnych wierszy jest bardzo ważne. Wiersze nieprzeciętne, gdyby zostały wprowadzone do oficjalnego obiegu mogłyby zachwiać jego ustalonymi strukturami, hierarchią i systemem zależności.

Odstępstwo od normy a takim byłaby każda forma nienormalności groziłaby destabilizacją znanego świata normalnych poetów, krytyków, jurorów, konkursów, sponsorów, wydawców itp.

Przeciętny nakład przeciętnego tomiku to pięćset egzemplarzy. Przeciętna objętość, to stron pięćdziesiąt. Teraz czas na przeciętnego recenzenta i przeciętne recenzje złożone z przeciętnych zdań typu:

- 1) „Na każdej stronicy, w każdym wersie tego tomiku [godność Autora] bierze na warsztat trudną w obróbce materię chaosu”
- 2) „Poeta eksploruje wrażenia aż do samego dna, na wskroś”
- 3) „Wychwytuje poszumy, chrzęsty, zgrzyty, by później to, co ujrane i objęte słowem – albo przemilczane – umieścić w rozległej perspektywie”
- 4) „Modelując odporne, chropowate tworzywo, osiąga autor indywidualną, coraz mocniej zestrojoną melodykę wiersza”

(Autorem przeciętnych zdań jest w tym przypadku Piotr W. Lorkowski ale mógłby być nim każdy przeciętny krytyk literacki.)

Przeciętny poeta tym się różni od przeciętnego człowieka, że jest świadomy własnej przeciętności a także przeciętności swoich dzieł. O ile człowiek stan normalny traktuje jak coś naturalnego i bezpiecznego, tak przeciętny poeta marzy o byciu nieprzeciętnym, o pisaniu nieprzeciętnych wierszy – jednym słowem o przekazaniu kolejnym pokoleniom nieprzeciętnego dzieła.

O tym samym marzy przeciętny redaktor przeciętnego wydawnictwa, wydającego poezję. On też chciałby przestać być przeciętnym redaktorem wydającym przeciętne tomiki. Także przeciętny krytyk chciałby pisać nieprzeciętne zdania.

Krzysztof Siwczyk publikując na portalu niedoczytania.pl tekst **Jest spokojnie, jest bezpiecznie** – sam nigdy nie napisał żadnego niebezpiecznego, nieprzeciętnego tekstu. Jest przykładem bezpiecznie ulokowanego poety, o bezpiecznej reputacji, który marzy o byciu nieprzeciętnym.

Na tym polega paradoks przeciętności rzeczywistości literackiej. Dzięki temu, że każdy jej element zmierza do nieprzeciętności utrzymuje się ona w stanie przeciętności. Istotne jest, że przeciętna z natury rzeczywistość literacka traktuje kategorię nieprzeciętności jako coś idealnego, jako element czasu przeszłego, coś co niemożliwe jest do osiągnięcia chociaż warto – gdyż tak wypada – dążyć do niej. Przeciętne uzasadnienie takiego stanu rzeczy brzmi: „wszystko już było”

Uczestnicy rzeczywistości literackiej prześcigają się w dążeniu do nieprzeciętności. Najbardziej rozpowszechnioną metodą stosowaną w tym celu są eksperymenty formie. Przeciętni poeci i ich przeciętni wydawcy są przekonani, dziwnie wyglądające zdanie, dziwnie wyglądający wiersz lub też dziwnie wyglądający tomik jest wystarczająco nieprzeciętnym objawem nieprzeciętności.

Przykładem takiego eksperymentu formalnego jest tomik *Trójmasztowiec* Jarka Łukaszewicza. Książka złożona z zupełnie przeciętnych tekstów poddana odpowiedniej obróbce formalnej (dodane zdjęcia, „skrętność” itp.) wystarczyła by przeciętni jurorzy zupełnie przeciętnego konkursu literackiego uznali tomik Łukaszewicza za nieprzeciętny

Innym przykładem jest tomik *Metale ciężkie* napisany przez przeciętnego poetę, wydane przez przeciętnego redaktora w przeciętnym wydawnictwie.

Autor tomiku – Paweł Kozioł – w ucieczce od przeciętności postanowił wprowadzić do formy większe spacje.

W przeciętnych tekstach, zbudowanych z typowych, zupełnie przeciętnych metafor takich jak:

„Stalowe układanki świtu”

„trójnogie nadajniki bełkotu”

„igły radia”

„przesłania narkotyczne”

„żebra skrzyżowań”

„rzuty kostką oka”

„zardzewiałe orbity prowincji”

nie wiadomo skąd, nie wiadomo dlaczego pojawiły się nienaturalne odstępy między niektórymi zdaniami.

Ponownie jak w przypadku *Trójmasztowca* Łukaszewicza, eksperyment formalny się powiódł. Przeciętny redaktor – a takim jest Mariusz Grzebalski – zapoznawszy się z wierszami okraszonymi gigantycznymi spacjami uznał dzieło przeciętnego poety za wystarczająco nieprzeciętne, by wprowadzić je do oficjalnych struktur przeciętnej rzeczywistości literackiej.

I tak oto dzięki spacjom przeciętność pozostała przeciętnością. Równowaga w bezpiecznym świecie, bezpiecznych poetów i ich bezpiecznych dzieł pozostała nienaruszona.

Roman Kaźmierski, dni zimorodków

Wśród wszystkich ważnych dat historii literatury polskiej jest jedna szczególnie ważna. 27.10.2003 r. Tego dnia Roman Kaźmierski zorientował się, że niewola narodowa skończyła się, że jego ukochana ojczyzna zrzuciła czerwone kajdany. Że skończyła się cenzura, że nie ma już kontroli publikacji i że można bez przeszkód wyrażać myśl własną – niezależnie od jej jakości oraz ilości.

Tego samego dnia Kaźmierski wychylił kieliszek koniaku za zdrowie Lecha Wałęsy a na drugi dzień, tj. 28.10.2003 r., odespawszy kaca, założył swoje pierwsze konto na pewnym internetowym serwisie poetyckim o wdzięcznej nazwie: nieszuflada.pl

Od razu zaczął publikować. Wiersz za wierszem, mądrość za mądrością, przesłanie za przesłaniem. Było tego sporo. Od 2003 do dnia dzisiejszego użytkownik Roman Kaźmierski/nrml opublikował 772. sztuki tekstów.

Jak długo trzeba liczyć, by doliczyć się do siedmiuset wie ten, kto próbował. Wie także Piotr Czerniawski administrator portalu – człowiek znany z tego, że trzy razy doliczył się do nieskończoności. Nie przeraziła go zatem liczba: 772, ale miał świadomość istnienia ograniczeń systemowych w szczególności pojemności twardych dysków, które – jeżeli nic nie zrobi – użytkownik Roman Kaźmierski zapełni bilionami, trylionami gigabajtów swoich zdigitalizowanych wierszy.

Po konsultacji z przełożonymi administrator nieszuflada.pl wprowadził dobowy limit publikacji wierszy: nie więcej niż dwa teksty na dobę.

Roman Kaźmierski – wytrawny opozycjonista, który wiele razy przechytrzył totalitarną maszynę PRL-owskiego systemu; wirtuoz psychologii i znawca najmroczniejszych zakamarków umysłu, który potrafił przekonać nawet najbardziej zakuty zomowski łeb, że gumowa pała, to w rzeczywistości freudowski symbol, który ma związek z nocnymi wizytami ojca w pokoju dziecka – i tym razem znalazł wyjście z sytuacji. By ominąć formalny zakaz i móc w dalszym ciągu zapełniać przestrzenie twardych dysków serwerów założył drugie konto: Jan Trach.

Od tej chwili Jan Trach na spółkę z użytkownikiem: nrml. publikowali teksty Romana Kaźmierskiego. Dziesiątka za dziesiątką, setka za setką. Z czasem Romek się rozkręcił – powstał trzeci użytkownik i jeszcze jeden. Wszystko po to, by sprawnie ominąć jedną z reguł portalu zobowiązującą każdego użytkownika do publikacji nie więcej niż dwa teksty na dobę.

Osiem tekstów dziennie przez siedem dni w tygodniu to sporo nawet jak dla wytrawnego fana poezji. Dziesiątki zmieniały się w setki, później były pięćsetki, tysiące i tak dalej. Kaźmierski miał świadomość istnienia indywidualnych ograniczeń czytelniczych dlatego opublikował swoje pierwsze przesłanie do odbiorcy. Brzmi ono następująco:

niech Cię (czytelniku – M.T.) nie odstrasza, ani [nie] zniechęca ilość tekstów sygnowanych przeze mnie (chodzi tu raczej o teksty opublikowane – M.T.); najwyżej jedna dwie frazy są w nich wartościowe (to prawda – M.T.); które? trzeba szukać...

No to poszukajmy.

Czytając wiersze Kaźmierskiego nie sposób odnieść wrażenia, że zostały napisane przez emerytowanego, owdowiałego i bezdzietnego nauczyciela języka polskiego, który chwilę wcześniej wykupił sobie działkę na cmentarzu, opłacił pochówek i wybrał odcień granitu nagrobka.

Przytłaczająca większość produkcji literackiej Kaźmierskiego dotyczy jednego tematu – starości i śmierci. Mimo zapewnień poety, że swoje teksty spisywał na przestrzeni kilkunastu lat i dopiero teraz zdecydował się je upublicznić – trudno mu uwierzyć. Bo tak idealna psychiczna petryfikacja, tak doskonały brak rozwoju nie dotyczy nawet kamieni polnych, które z czasem erodują. Kaźmierski jako poeta w latach 1985-2010 – gdyby uwierzyć w jego zapewnienia – musiałby, przynajmniej o tym świadczyć jego twórczość, znaleźć poza czasem, poza prawem zmiany, poza erozją.

Kilka przykładów:

Trzy dni po zalogowaniu się na nieszuflada.pl Roman Kaźmierski/nrml publikuje wierszyk pt. **Okolica:**

*Cmentarne wyścigi. Z okopów
prosto w zażawienie
nad sobą. Nade mną
wieczór wypuszcza korzenie.
Umarli tak dobrze
wychowani. Tyle tylko
miejsca zajmują,
ile mam dla nich czasu
wśród nagrobków
pocieszenia
cichego.*

[OKOLICA, 2003]

Zwracam uwagę na kategorię: „choroby”, „marłych”, „nagrobków”.

Kilka lat później, w roku 2006, ponownie raczy czytelników takim podobnym wierszykiem:

*Rok, kiedy umieram, jest znany, ma trzy cztery lata.
Zostawiam morze, jezioro i rzekę. Cel ma swoje tam i tam.
Deski czernieją, dni i noce poszarpane, każda chwila
tęskni za następną. Wciąż pragnienie zmian, braku
słów, zło nadchodzi coraz gorsze, i pozostaje.*

[On i ona, 2006]

Mijają kolejne dwa lata a Kaźmierski ciągle pisze takie same wiersze i w dodatku o tym samym:

*Ilości przerażają. Z powodu deszczowych kropel,
komórek w organizmie, asfaltowych liści
i milimetrów autostrad traci się wiarę,
nadzieję i tym podobne. Choremu się poprawia,
więc umiera z gwarancją, Czy jednym okiem
widzi pół świata, czy połowę prawdy o sobie?
Nikiel lśni jak znajoma planeta bez imienia.
Pachnie kawa i środek przeciw wrogom.
W słowie ja rozmnażają się znaki.*

[Obchody, 2008]

Wydaje się, że apogeum nekrofilii literackiej Kaźmierskiego przypada na rok 2010, kiedy to ów pisze przewidywalny i jakże podobny do wszystkich 700. wcześniej opublikowanych tekstów wierszyk o umieraniu, chorobach i cierpieniu:

*Pełno jej wszędzie, jakby była żywa.
Nocą wyjada z lodówki smakołyki
na jutrzejszy, uroczyستی obiad.
Siedzi przy stole z miną beztęciowej
dziewczynki, a my gadamy
o cudzym umieraniu aż do bólu.
Śmierć w kółko o sobie.*

[Rodzaj żeński, 2010]

Ale już rok wcześniej Kaźmierski ożywił taki rodzaj podmiotu lirycznego, który był gotów przespać się ze skruszałą kobieciną, którą po dwutygodniowej przerwie wygrzebano z ziemi:

*Gdy miłość umiera,
najlepiej wziąć się za porządne sprzątanie.
Czasem potrzebny jest remont,
po nim myje się okna, pucuje szyby,
aż zalsnią jak zwierciadła.
Chłopiec na rowerze, para staruszków
z przyzwyczajenia trzyma się za ręce,
toczy się w nieznane gumowa piłka .
Widzisz i nie widzisz niczego
oprócz twarzy. Jest twoja.*

[Znowu erotyk, 2009]

Potrzeba dużego samozaparcia, by przebrnąć przez kilka setek podobnych tekstów, w których przeplatają się takie same motywy: umierania, śmierci, choroby, pogrzebu. A nawet, kiedy samozaparcia wystarczy, to potrzeba dużej ilości środków antydepresyjnych by w trakcie lektury dwusetnego tekstu o chorobie i umieraniu.

Najnowszy tomik Romana Kaźmierskiego – *dni zimorodków* (2010) – w kontekście powyższych analiz także nie zaskakuje. Obecna w nim nekrofilia literacka jest kolejnym dowodem petryfikacji Kaźmierskiego jako poety. Na dowolnie otwartej stronie tomiku

pojawia się przynajmniej jeden, dobrze znany wszystkim czytelnikom Jana Tracha / nrml.
motyw: choroba lub śmierć.

Str. 15: „miłość to żałoba po tych, których nie spotkaliśmy” (**przybory do pisania**)

Str. 21: „jakiś dzisiaj, jeszcze nie zajęte przez umierających” (**odkrycia i wynalazki**)

Str. 8: „na poręczy koszulka z nadrukiem. Stąd można odczytać tylko R.I.P.” (**instrumenty i operacje**)

Ostatni tekst z tomiku *dni zimorodków* warto przytoczyć w całości. Nie dlatego, by stanowił on jakiś zwrot w twórczości. Także nie dlatego, że wyróżnia się spośród pozostałych setek tekstów tego autora. Raczej dlatego, że po pierwsze – jest typowy tekst Kaźmierskiego, czyli z żałobą w tle; a po drugie dlatego, że należy założyć pewną intencję autora, którą ten kierował się dobierając odpowiednie wiersze. Taki a nie inny tekst zamykający tomik jest przysłowiową kropką nad i, którą mógł postawić tylko sam Autor – Roman Kaźmierski:

*Dzisiaj to żałoba po tym,
kim było się wczoraj. Kiedyś
dorobiło się sygnaturki, wpadającej
w ucho, ręka trzyma się dotyku
bez pomocy, a oko chce być
mądrzejsze od książki,
na którą patrzy. Czytaj: czyta.
Godzina jak koleżanka
z dzieciństwa. Nie jest pewna,
od czego zacząć i czy zdąży.
Kawa, herbata. Mała stypa.*

[Jutro]

O tym jak monotonna i depresyjna jest twórczość Kaźmierskiego świadczy frekwencja na jego wieczorkach poetyckich. Nie jest ich wiele, gdyż organizatorzy mają uzasadnione wątpliwości czy tego typu postać ze świata literackiego zapewni frekwencję na poziomie 10 osób. Niektórzy ryzykują. I tak w marcu 2010 roku poeta miał zaszczyt przemawiać do 8 osób. Dwie panie dołączyły w ostatniej chwili. Wpadły prosto z ulicy, z zakupami. Rozsiadły się a miejsca w pierwszych rzędach było mnóstwo i posłuchały co Roman Kaźmierski ma do powiedzenia. Chociaż kto wie, może publika nie dopisała ze względu na konferansjera? Kto wie.

Podsumowując, gdyby Roman Kaźmierski zamiast wierszy pisał bajki dla dzieci, Plastuś mieszkałby w malutkiej, drewnianej trumience. Śnieżka nigdy by się nie obudziła a wiewiórka z Epoki Lodowcowej nie kradłaby żółędzi tylko śpiewała pieśni żałobne by uczcić wymarłe dinozaury.

Mariusz Grzebalski, Niepiosenki

Współcześni polscy poeci przyzwyczaili naród do przekazów poetyckich, które ogłaszają w formie kilkudziesięciostronicowych tomików. Przyzwyczaili naród także do tego, że współczesną poezją nie jest taka prosta sprawa. Że jej zrozumienie zależy przede wszystkim od prawidłowego odszyfrowania niezwykle skomplikowanych metafor.

Małżonka pewnego współczesnego poety indagowana na salonach o profesję małżonka odpowiada:

- Mój mąż? Mąż jest z zawodu redaktorem.

(fragment żywcem zerznęty ze scenariusza pewnego filmu Stanisława Barei)

Redaktor Mariusz Grzebalski od czasu do czasu wydaje swoje wiersze, które pisze w przerwach między redaktowaniem. Kiedy inni mają przerwę na lunch Mariusz nie je, nie pije, nie pali – z poświęceniem notuje na serwetkach drobnym maczkiem kolejne dzieła. Wszystko dla dobra ludzkości. I całe szczęście, że ludzkość doczekała się takiego poety, który się dla niej poświęca.

Mariusz swoje dzieła wydaje w innych wydawnictwach niż tych, w których redaktuje za co należą mu się wyrazy najwyższego uznania. To, że się kryguje, że może jest mu głupio przekraczać cienką granicę przyzwoitości dobrze świadczy o Grzebalskim jako o człowieku. Całe szczęście, że ludzkość doczekała się takiego prawego człowieka.

Poświęcenie i prawość – oto cnoty prawdziwego redaktora, który po śmierci na pewno zasili grono skrzydlatych istot ubranych na biało.

Zanim Mariusz Grzebalski przejdzie do historii, ludzkość doświadczy na własnej skórze tego wszystkiego, co niesie ze sobą jego przekaz poetycki. A należy wiedzieć, że testament duchowy jaki przygotowuje Mariusz dla świata to żadna kpina czy żart nastolatka, który przyłapany na masturbacji przez ojca przekonuje, że nie wie do czego służy siusiak.

Kolejny fragment swojej spuścizny duchowej Mariusz opublikował u Artura Burszty. Tomik *Niepiosenki* ukazał się Biurze Literackim. Tych bardziej obeznanym w rosztach personalnych w światku wydawniczym może ta publikacja dziwić. Przyjęło uważać się, że przyzwoitość nie jest kategorią „literacką” – lub jak to mówił Roman Honet po publikacji Cosinus salsa w Zielonej Sowie czy Edward Pasewicz po ostatnim posiedzeniu jury konkursu im. J. Bierezina:

- Nie takie numery się w życiu robiło.

W każdym razie dzieło o wymownym tytule *Niepiosenki* w 2009 r. zostało utrwalone na dobrej jakości papierze. Okładce też nie można niczego zarzucić. Twardy, kredowany karton. Szkic wiosłującej pary. Imię i nazwisko autora oraz tytuł *Niepiosenki* z poucinanymi literami, jakby były podmyte przez fale.

Oczywiście jest to świadomy i konsultowany z redaktorem Grzebalskim zabieg artystyczny. Wszak mówiące i wieloznaczne tytuły to specjalność polskich poetów współczesnych. Warto tu wspomnieć chociażby o tak wybitnych tytułach jak:

Słynne i świetne (M. Grzebalski, 2004)

Pocałunek na wstecznym (M. Grzebalski, 2007)

Dziwić nie może, że autorem najbardziej oryginalnych i najbardziej wieloznacznych tytułów jest ten sam człowiek. Grzebalski jako redaktor wie jaki tytuł wybrać, by książka się sprzedała a jako poeta potrafi wykorzystać wiedzę redakcyjną do wymyślenia najbardziej wieloznacznego i zarazem najbardziej hermetycznego tytułu.

Analizując jego ewolucję twórczą od debiutu aż do chwili obecnej widać jak daleką drogę duchową przebył ów intelektualny wędrowiec. Najpierw był *negatyw* (1994), później *widoki* (1998) oraz *drugie dotknięcie* (2001) następnie *słynne i świetne* (2004) o skrzywieniu neolingwistycznym. Później były jakże wieloznaczne i popartowskie jak tylna kanapa w cadillacu deville *pocałunki na wstecznym* (2007). A w roku 2009. naród doczekał się *Niepiosenek* – czegoś, czego nigdy nie zapisano nawet w brudnopisie słownika języka polskiego.

Unikalność a przez to wyjątkowość tytułu najnowszego tomiku redaktora Grzebalskiego czyni dzieło wybitnym. Lektura wydaje się zbędna a inwestycja Ministra Kultury, który przez pół roku przelewał na rachunek bankowy utalentowanego redaktora pewną sumę, sądząc po samym tylko tytule zwróciła się z nawiązką. Cóż bowiem może znaczyć rzeczownik „niepiosenka”? W tym przypadku jest tylko jedna odpowiedź prawidłowa, tylko jedna interpretacja możliwa, tylko jedna jest prawda: oto naród doczekał się wreszcie potomka Jana Pietrzaka – objawił się poeta, bard i przewodnik duchowy kultury zachodu, Mariusz Grzebalski.

Skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, skoro wszystko zostało ustalone i każdy wie *who is who* warto poddać analizie teksty redaktora Grzebalskiego, by odkryć ów ponadczasowy i jakże ważny z perspektywy ducha kultury rodzaju ludzkiego przekaz poety.

Przekaz pierwszy dla świata redaktor Grzebalski sformułował następująco:

*Słucham beznadziejnego techno,
tak beznadziejnego, że nie potrafię się oderwać –
ten sam kawałek dwadzieścia dwa razy*

[Nowa mała proza]

Czytając ową strofę nie sposób oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z treścią istotną ukrytą w znaczeniu liczby dwadzieścia i dwa. Należy zaufać redaktorowi-poecie i przyjąć jego słowa tak jak przyjmuje się monety bite z najcenniejszego kruszcu. Zatem bagatelizowanie treści zawartej w semantyce liczby 22. byłoby wielce nierozsądne i tylko bóg jeden raczy wiedzieć jakie to skutki przyniosłoby dla świata, który znamy.

22 x 2 = 44 (tak, tak czterdzieści i cztery. Żarty się skończyły.)

22. znaki alfabetu hebrajskiego wystarczyły, by spisać *Talmud*, *Apokalipsa* ma 22 rozdziały a w okrąg można wpisać tylko 22 wielokąty foremne. Skoro jesteśmy przy geometrii, to spróbuj podzielić 22 przez niezwykle szczęśliwą supercyfrę siedem. Zobaczysz co się stanie.

Albo inaczej, zrób tak:

22 to w linearnym zapisie 2 i 2 – czyli: (2+2)

I teraz:

$$22 + (2+2) = 26$$

$$26 = 10 + 6 + 5 + 6$$

To zaś zapisane w innej nomenklaturze wygląda następująco:

$$26 = \text{Jod} + \text{Heh} + \text{Waw} + \text{Heh}$$

Prawdopodobnie istnieje na świecie jeden sceptyk-matematyk, który zwątpi w treść przekazu, który redaktor Mariusz zafundował cywilizowanemu światu. Wprowadzając do powyższych rozważań znak mnożenia łatwo przerobi 26 na 28 czyniąc tym samym interpretację kabalistyczną wiersza fałszywą.

Jemu oraz innym zawistnikom i zazdrośnikom talentu poety-redaktora kabała mówi NIE.

Liczba 28 jest bowiem liczbą doskonałą – sumą wszystkich swoich dzielników. W świecie matematyki takie liczby są bardziej unikalne niż kulturowe wyobrażenia na temat stwórcy świata.

Weźmy inny tekst wrażliwego Mariusza – fragment o równie złożonej symbolice:

*Bulterier ciągnie małolatę w trampkach
i kusej różowej kiece w kierunku tysiąch
ciągnących browar na murku*

[układ]

Ów tekst nie wymaga specjalistycznych analiz, by rozpoznać intencję autora. Podwójny błąd – brak podwójnego „l” i podwójnego „r” w nazwie rodzajowej: bullterrier jest tego rodzaju wskazówka, którą Indiana Jones odczytywał w notesie swojego ojca w trakcie poszukiwań Świętego Graala.

Redaktor Mariusz pomny zasad zabawy w tzw. „podchody” pozostawił wszystkim szukającym poetycką strzałkę, wskazującą kierunek interpretacji:

2 x (l)

2 x (r)

2 x (literówka)

Czyli:

2 x 2 x 2

Analogia do „beznadziejnego techno” słuchanego „dwadzieścia dwa razy” jest tu oczywista. Bo jeżeli podmiot liryczny cierpiał „dwadzieścia dwa razy” słuchając tego samego nagrania i przeżył, to równie dobrze mógł słuchać marnej jakości utworu 2 x 22 razy bez szkody dla substancji szarej i trąbki Eustachiusza.

Kolejny niezwykle istotny fragment z tomiku *Niepiosenki* redaktora Grzebalskiego pochodzi z wiersza pt. **Parapet**:

*Siedziałem na parapecie w kuchni,
padał śnieg, noc była przeźroczysta.
Potem w tej samej kuchni smażyliśmy
cebule, kiełbasę, pomidory.*

[parapet]

Na pozór fragment ten wydaje się być zaledwie biograficzną stopklatką, bez żadnego znaczenia dla dziejów świata. Jednak polscy poeci współcześni przyzwyczaili czytelników do tego rodzaju pozorów. Wyrobieni smakosze poezji wiedzą, że najlepsi z najlepszych poetów w pozorze banału przemycają prawdy ostateczne. Tak jest i w tym przypadku. Gdyby zastanowić się co robił podmiot liryczny „siedząc na parapecie w kuchni”, to odpowiedź może być tylko jedna:

- liczył do dwudziestu dwóch.

Dlaczego do dwudziestu dwóch a nie dwudziestu czterech czy dwudziestu sześciu, siedmiu, ośmiu czy dziewięciu? Ano dlatego, że suma wszystkich liter użytych w ostatnim wersie strofy równa się dokładnie dwadzieścia dwa.

cebule = 6

kiełbasę = 8

pomidory = 8

$6 + 8 + 8 = 22$

Czy to przypadek? Nie! Jeżeli chodzi o wiersze redaktora Mariusza o przypadkach nie może być mowy.

Abstrahując od numerologii i semantyki związanej z liczbą 22., wiersze Mariusza Grzebalskiego to prawdziwa skarbnica, w której roi się od filozoficznych refleksji, od diagnoz dotyczących kondycji człowieka we współczesnym świecie, od treści ważnych i od tego wszystkiego, co dla człowieka niezależnie od epoki ważne. Talent Mariusza Grzebalskiego pozwala mu na przeniknięcie skorupy obyczajowości i dotarcie do istoty tego, co określa się w różnych teoriach jako „człowieczeństwo”.

Dla przykładu. W wybitnym tekście pt. **Koniec wakacji** redaktor-poeta pisze o Harcerzach, a pisze tak:

Leżą w milczeniu na podłodze biura.

*Za oknami Poznań zachodzi mgłą.
Młoda instruktorka harcerstwa
chowa kolorowe kredki do szuflady biurka.
Trochę im zazdrości –
te dzikie harce w ciągu dnia.*

[**Koniec wakacji**]

Zanim przejdziemy do drugiej i zarazem ostatniej strony tego jakże wspaniałego, jakże wybitnego i jakże wysublimowanego tekstu warto poświęcić kilka chwil na interpretację owego fragmentu.

Ktoś – tutaj liczba mnoga odgrywa niebagatelną rolę – sobie leży na podłodze. Nie jest to zwykła podłoga, ale podłoga biura. Forma „Leżą” wzmocniona antropomorficznym dopełnieniem: „w milczeniu” sugeruje, że mamy do czynienia z parą humanoidalną. Okoliczności czyli miejsce owego spoczynku: „podłoga biura” wskazuje, że relacja, która łączy ową humanoidalną parę jest podstawową relacją, którą pojawia się w każdej społeczności a mianowicie relacją „pan i niewolnik”. Kategoria biura związana jest przede wszystkim z kategorią pana-szefa i niewolnika-sekretarki w seksi nylonkach.

Uwaga dla czytelnika:

Trop interpretacyjny, w którym pojawia się kategoria „nylon secretary” wynika z preferencji estetycznych interpretatora.

Biuro, w którym harcuje sobie szef z sekretarką znajduje się w miejscu pracy Autora-Poety-Redaktora. Poznań wydaje się być naturalnym miejscem dla poczynienia tego rodzaju obserwacji. Z tego powodu w tym tekście wyczuwalna jest pewna wtórność, brak świeżości w recepcji pomysłu z szefem i sekretarką. Po tak utalentowanym poecie należałoby się spodziewać przeniesienia akcji jeżeli nie w czasie, to przynajmniej w przestrzeni. Chciałoby się poznać perypetie sekretarki na drugim końcu Drogi Mlecznej. Miejmy nadzieję, że ową sugestię Mariusz Grzebalski rozważy redagując swoje kolejne wybitne dzieło.

A propos dzieła. W cytowanym fragmencie uderza sprawność poety w poruszaniu się w obrębie języka oraz umiejętność w redefiniowaniu ustalonych sensów. Jakiegoż geniuszu potrzeba by wykombinować:

- 1) harującą harcerkę
- 2) harce z harcerką
- 3) hufiec harcerski harujący z harcerką
- 4) harcerkę harującą z hufcem harcerskim

Tomik *Niepiosenki* Mariusza Grzebalskiego to bez wątpienia dzieło wybitne. Doskonale pod każdym względem. Dzięki tego typu produkcjom literackim, które niestrudzenie serwuje konsumentom kultury Redaktor Mariusz Grzebalski, czerwone znaki STOP na skrzyżowaniach nabierają wręcz mistycznego znaczenia.

Rafał Grupiński, Uspokojenie

*Zapach, to niemożliwe, a jednak zapach Ziemi,
Nieoczywisty i nieostateczny, jak gdybyś
Była Łazarzem, który na nowo odkrywa zmysłowy
Bieg rzeczy z niedowierzaniem
I przerażeniem wychodząc
Na słoneczny próg domu w Betanii;*

*A więc czujesz ją, błogostawioną jak dzieciństwo,
Ciężarną od wilgoci, nieposkromioną w dzikiej
Mieszaniu światła, pary i wszelakiej żądzy*

[Matka]

Ten przepiękny wiersz, który niepostrzeżenie przenosi swojego odbiorcę do krainy wyidealizowanego dzieciństwa, pozwalając na nowo przeżyć cudowne zdarzenia, poczuć dawno zapomniane zapachy, zobaczyć dawno niewidzianych ludzi – napisany został przez członka Platformy Obywatelskiej, jednego z najbliższych współpracowników Donalda Tuska. Tadeusz Cymański z PiS tak charakteryzuje tego autora w roli polityka: „obecnie jest uważany za jednego z najbliższych i najbardziej zaufanych ludzi Donalda Tuska... to minister ds. podszeptów. Nic nie podpisuje, ale ma dostęp do premiera, któremu podpowiada, co robić”. Jeden z redaktorów Dziennika – Gursztyn Piotr – jest ostrzejszy w ocenie. O autorze pisze: „Formalnie sekretarz w kancelarii premiera odpowiedzialny za kontakty z parlamentem, faktycznie autor przemówień premiera i osoba odpowiedzialna za analizę badań nastrojów społeczeństwa. Wyrafinowany intelektualista wymyślający PR-owskie chwytły pod publiczność, wykładowca akademicki w wirze partyjnych intryg, twardy polityk głoszący potrzebę postępowania zgodnego z wartościami, lecz sam oskarżany o cynizm”.

*Często myślę o Twojej zabawnej walce
Z lustrem
To się musi oczywiście kiedyś udać
Z naprzeciwka wyjdzie zmartwiony bajarz
I wyłączy światło*

Jeśli się uśmiechnie to się nie obudzisz

[bajeczka dla Julki]

Ten piekielnie straszny wiersz – mroczny jak najmroczniejsza ze wszystkich bajek Andersena – napisany został przez starszego pana, z siwą brodą, w okularach. Właściciela domu o powierzchni 96 m² i trochę większego – dokładnie o 30 m² – mieszkania.

Wyobrażasz sobie starszego, siwego dziadka, kołyszącego się na bujanym fotelu przed rozpalonym kominkiem i popijającego grzane wino pachnące cynamonem, który zebrany u jego kolan wnuczętom opowiada bajkę, po wysłuchaniu której dzieci zasną i się już nigdy

więcej nie obudzą? Dziadek wstanie, okryje każde z nich kocem, pogłaszcze po główce i całując w czoło każdemu powie: „śpij dobrze, dziecko”. A później usiądzie w innym fotelu, przed innym kominkiem, będzie pił grzańca tym razem o intensywnym zapachu goździków i pomarańczy. Będą takie same bajki. I te same pocałunki w czoło. Tylko dzieci będą inne.

Albo inaczej: wyobraź sobie wędrownego bazarza. Ale nie jest to zwykły bazarz. Pojawia się on we śnie i tylko raz. Każdemu dziecku opowiada tylko jedną cudowną opowieść. A ono albo się budzi, albo z uśmiechem idzie za nim. Zmartwiony bazarz każdej nocy zbiera wszystkie uśmiechnięte dzieci i prowadzi je do najgłębszego z głębokich snów. Idą za nim bez strachu i lęku, ale im bardziej mu ufają tym bardziej on się smuci. W końcu pęka mu serce ale to nie ma najmniejszego znaczenia, bo kolejnej nocy wyruszy znowu w swoją senną drogę.

Albo tak: wyobraź sobie, że w tym śnie bazarz opowiada ci taką oto bajkę:

*Es fuhr ein knecht hinaus zum wald
Sein bart war noch nicht flüeck
Er lief sich irr im wunderwald
Er kam nicht mehr zurück.*

*Das ganze dorf zog nach ihm aus
Vom früh- zum abendrot
Doch fand man nirgends seine spur
Da gab man ihn für tot*

We śnie rozumiesz wszystkie języki i wszystkie opowieści zarówno te istniejące jak i te, których nigdy nie wymyślono i opowiedziano. Wiesz co będzie dalej. Patrzysz na zmartwionego bazarza i słuchasz dalszej części bajki. Wiesz dobrze, że rycerz nie umarł, że za chwilę się odnajdzie w cudowny sposób i że zacznie snuć opowieść bardziej bajkową, niż historia, której słuchasz. W ciszy i skupieniu chłoniesz swój ulubiony fragment – opowieść rycerza o ludziach z zaczarowanego lasu:

*Die leute tragen güldnes haar
Und eine haut wie schnee.
So heissen sie dort sonn und mond
So berg und tal und see.*

„Zmartwiony bazarz“ opowiada bajkę dalej. Teraz zatykasz uszy, bo nie chcesz słyszeć jak ludzie śmieją się z opowieści głównego bohatera. Śledząc uważnie ruchy ust, starasz się wychwycić ten fragment bajki, w którym opuszczony przez wszystkich rycerz każdego dnia wychodził na pole, by usiąść na kamieniu i śpiewać swoją pieśń aż do późnych godzin nocnych.

*So trieb er täglich in das feld
Und sass auf einem stein
Und sang bis in die tiefe nacht
Und niemand sorgte sein.*

Ale kiedy bajarz przechodzi do ostatniej strofy, znowu chcesz zatkać uszy – wiesz, że tam jest śmierć. Ale jednak nie możesz, coś ci każe jej słuchać. I słuchasz, do końca:

*Nur kinder horchten seinem lied
Und sassen oft zur seit.
Sie sangens als er lang schon tot
Bis in die spätste zeit.*

[**Das Lied**, Stefan George]

A na końcu uśmiechasz się i nie martwisz się, że właśnie straciłeś duszę, którą strapiony bajarz chowa do swojego szarego worka z duszami. Wiesz że już się nie obudzisz ale jesteś spokojny. Bo jeżeli można kiedyś stracić duszę, to wiesz że to jest jedyny sposób w jaki chciałbyś ją stracić.

Piekielne i może dlatego tak bardzo przepiękne połączenie motywu lustra i walki; zmartwionego bajorza i jego terminalnego uśmiechu; wyłączonego światła i śmierci.

Wszystko tak proste, że aż genialne. Wszystko tak smutne, że aż okrutne. Wszystko tak bardzo baśniowe, że aż prawdziwe.

Tomik Rafała Grupańskiego pt. *Uspokojenie*, obejmuje wiersze napisane w latach 1998-2009 (jeden wiersz, piosenka więzienna pt. **Cela II** pochodzi z 1983 r.). Nie byłoby w tym tomiku nic nadzwyczajnego, gdyby nie to że składa się z nadzwyczajnych wierszy. Każdy z nich przesiąknięty jest poezją. Każdy z 29. tekstów, bez wyjątku, jest błyskotliwym porachunkiem poety bądź to z samym sobą, bądź z otaczającą go rzeczywistością w każdej jej odmianie – od sfery prywatnej poczynawszy na politycznej kończąc. I tu w ramach uzasadnienia i dowodu czytelnikom należy się kawałek poezji. Poezji najwyższej klasy:

*Twoje pragnienia wędrują jak cienie
Po rozpalonym murze miasta Ur,
Wszystko, co wypowiemy dziś przeciwko niewoli
Będzie krępowało naszą wolność,
Kiedy już wrócimy do siebie.
Zwinne słowa skamieniają, a prorocy
Będą nosić nad splecionymi dłońmi
Brzuchy kucharzy.*

*Skoro Jahwe nie chce inaczej
Pozostaje na tylko litość dla
Umarłych i niechęć dopiero co
Narodzonych. Oni wszyscy gdzieś są,
Pracowici równie często świętują lub płaczą.
Tylko my żyjemy w pustce, zawieszeni
Pomiędzy wykutymi literami o wybranych.*

*Jaszczurki zwinniejsze od ognia,
Pękające w chaldejskim słońcu,
W pośrodku pospiesznej wędrówki z cienia do cienia.*

[brzuchy]

Od doskonałości tekst ten dzieli sztuczne przerzutnie w drugiej strofie. Ale dzięki nim czytelnik, wybitny z morderczego rytmu narzuconego przez dynamikę i znaczenie strof:

„wszystko, co wypowiemy dziś przeciwko niewoli / będzie krępowało naszą wolność / kiedy już wrócimy do siebie. / zwinne słowa skamieniają a prorocy / będą nosić nad splecionymi dłońmi / brzuchy kucharzy”

zwolni. Ochłonie, złapie oddech bo pogubi się w tych pokracznych i nieudanych przerzutniach. W pierwszej kolejności pomyśli o technicznej pomyłce. Dopuści do siebie myśl, że autor-poeta mógł się tak fatalnie pomylić, by zepsuć wiersz. I zacznie czytać wiersz od początku. Wówczas przekona się, że tu nie ma błędu.

O treściach istotnych pisać należy prosto. Bo prawda jest po prostu prawdziwa, piękno po prostu piękne a wolność jest tak samo „po prostu” jak prawda czy piękno. Ekwilibrystyka na poziomie treści czy formy w takim przypadku działa zawsze na niekorzyść. Rola czytelnika zagubionego w słowach i konstrukcjach z aktywnego odbiorcy zredukowana będzie do błądzącego laika, który nie będzie w stanie nawiązać żadnej formy dialogu z tekstem. Będzie skazany na poszukiwania sensu indiańskich zodiaków zapisanych pismem węzełkowym kipu w znaku cudzysłowu; ważnych treści w fonetycznych zapisach obcojęzycznych zwrotów lub tajnych przekazów w turystycznych fotkach z bazarów w Izraelu (vide Łukaszewicz, *Trójmasztowiec*).

Wiersze Grupińskiego z tomiku *Uspokojenie* porażają prostotą, bezpośredniością i wewnętrznym pięknem. Poeta opowiada o autonomicznych krainach, wartościach, ważnych problemach z zaskakującą swobodą. Oto fragment z wiersza z 1983 r. – **Cela II**:

*za blindą jest skrawek nieba
za skrawkiem nieba Bóg,
to On skrawki te zszywa
i zrzuca nam płótno na stół*

czy można opowiedzieć o nadziejach i niezłomności lepiej? Pewnie tak, ale póki co opowieść taka nie została opowiedziana przez swojego autora.

A może to jest jakiś pomysł? Może trzeba swoje teksty przeżywać każdego dnia, a nie tylko w akcie twórczym, w którym każda litera wydaje się na miejscu, każde słowo doskonałe a wers niemal boski? Może trzeba spośród wierszy wybierać tylko te najlepsze a pozostałe palić – uśmiercać bez żadnych skrupułów, bez odrobiny współczucia dla ich ułomności? Może trzeba w końcu zabić ambicje, odrąbać głowę ego i wybierać do publikacji tylko teksty najlepsze? Może warto czekać lat 10, a jeżeli potrzeba – lat sto nawet, by doczekać się tych wierszy najlepszych i następnie je opublikować? Czy świat wierszy najlepszych jest w ogóle możliwy do wyobrażenia? Nie – ale możliwe jest istnienie tomiku składającego się tylko z doskonałych wierszy: takim jest *Uspokojenie* Rafała Grupińskiego.

Rafał Grupiński spełnia wszystkie kryteria człowieka, którego od poezji dzieli kosmiczna odległość. Grupiński to przecież polityk – już sam rzeczownik, w tym kraju (piszę: „tym kraju”, bo nienawidzę go każdą swoją najmniejszą cząstką, każdy atom o nazwisku Trojanowski i imieniu Marek nie cierpi tego kraju. O tym jak głębokie jest to uczucie

świadczy historia obcinanych paznokci Marka Trojanowskiego, które spadając na ziemię ulegają samospaleniu, zmieniają się w popiół, który rozwiewa byle podmuch – robią wszystko, by nie mieć żadnego kontaktu z podłożem, które nazywa się Polska) obarczony jest jakąś plugawością. Politykiem jest Andrzej Lepper i Łyżwiński. Politykiem jest dawny naczelnik gminy i funkcjonariusz ORMO a dzisiaj najświętszy z katolików i przewodniczący rady gminy.

Jednak gdyby odwołać się do tradycji uprawiania polityki, to wśród polityków odnajdujemy Senekę, La Rochefoucauld'a i innych ludzi podobnego formatu. Kładąc na jednej z szal ich słowa a na drugiej czyni z łatwością odnajdujemy odpowiedź na pytanie:

czy drogowskaz podąża drogą, którą wskazuje?

Rozsądek podpowiada, by nie wierzyć temu poecie, skorumpowanemu ideologicznie. Głos w duchu mówi: „trzymaj się z daleka”. To żadna sztuka skazić opiatami współczesnej polityki tkankę tak wrażliwą jaką jest poezja. Czy Grupiński może igrać z empatią? Drwić z instynktów samozachowawczych, które alarmują: „Zostaw to! Nie czytaj!”. Niech drwi, niech oszukuje, niech korumpuje i uwodzi moją duszę i wrażliwość. Niech robi ze mną co chce, byle czynił to w sposób, w jaki to zrobił w *Uspokojeniu*.

Druga sprawa: zbiór wierszy Grupińskiego – mimo, że jest zbiorem wierszy doskonałych, przy którym blakną teksty Tkaczyszyna-Dyckiego, Dąbrowskiego, Sosnowskiego i innych prominentów polskiej sceny poetyckiej – nie został wydany w prominentnym wydawnictwie literackim. *Uspokojenie* wydane zostało przez Ewę Dorotę Malinowską-Grupińską szefową wydawnictwa „mg” (publikował w nim m.in. Jarosław Klejnocki). Czy Pani Grupińska, to ta Pani Grupińska? – to nie jest ważne. W tym przypadku to nie odgrywa żadnej roli, bo równie dobrze mógłby to być skorumpowany redaktor, albo też przymuszony torturami wydawca, ważne jest, że *Uspokojenie* ujrzało światło dzienne. Takie wiersze należy publikować za wszelką cenę. W tym przypadku każdy środek uświęca cel. Także trup albo i trupów jeden tysiąc. Za *Uspokojenie* warto zapłacić każdą cenę.

Na okładce – sztywnej, kartonowej, lakierowanej (takiej jakie robi tylko wydawnictwo REBIS najlepszym swoim autorom) nie ma notki o autorze, nie ma przyjacielsko-lizusowskiego blurba Maliszewskiego albo Miłosza Biedrzyckiego. Zamiast tego jest kod paskowy, numer ISBN: 978-83-61297-97-0 oraz cena: 24,90 zł.

Warto przeczytać tomik, o którym nie napisano żadnego blurba, zbiór wierszy Rafała Grupińskiego, sekretarza stanu i poety – który w oświadczeniu majątkowym, w rubryce „Składniki mienia ruchomego...” błędnie wpisał słowo Peugeot.

Piotr Matywiecki, Powietrze i czerń

Wiersz:

*Mucha złapana w otwarte okno przedziału
wyleciała z pociągu tysiąc kilometrów dalej.
A ja przeczytałem dwie gazety, przespałem noc,
wynudziłem się.*

[***]

Zadanie z treścią (Matematyka)

Do przedziału pociągu PKP, jadącego ze średnią prędkością 30 km/h wleciała muszka owocówka, której średnia długość życia wynosi 12 godzin. Pytanie: jak niezwykle musi być to mucha, by „wylecieć z pociągu tysiąc kilometrów dalej”?*

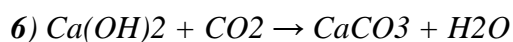
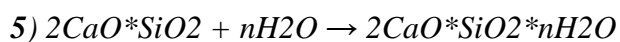
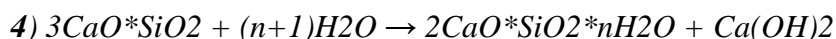
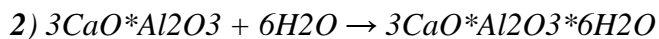
* Średnia prędkość pociągu osobowego PKP wynosi mierzona na odcinku między Julianką a Turowem

Wiersz:

*Z cementowego pojemnika na śmieci
Kłoszard wyjął zapleśniałą kanapkę
i cisnął z powrotem.*

*Podjechał samochód,
śmieciarz wyjął z cementowej dziury
metalowy kubek
i wysypał zawartość na otwartą platformę.
Jeszcze jeden kubek wyrzucił z pamięci.*

Zadanie (Technologia Odlewów Betonowych)



Uzupełnij opis reakcji chemicznej tak, by otrzymać „cementowy kosz na śmieci”.

Wiersze:

*Morze idzie po plaży swojego dna,
podnosi kamień nieba, dźwiga w górę
i pokazuje Ziemię
Bogu*

[1]

*Cisza idzie po dnie,
fala idzie przy niebie.
Gdzie idą? – Niewiele bezdroży odejścia, tylko trzy:
morze, niebo, ziemia.
Wszechobecne uciekło.
Nad ranem wstaje blask, a nie jest poblaskiem.*

[2]

Pytanie:

Z jakiego rodzaju dnem poeta chce zapoznać czytelnika:

- A) zwykłym dnem
- B) drugim dnem
- C) czymś jeszcze głębszym

Autor powyższych wierszy, błędów rzeczowych i wręcz nieziemskich metafor pochodzących z tomiku *Powietrze i czerń*, Piotr Matywiecki otrzymał w 2007 r. Nagrodę Literacką Gdynia za książkę o Tuwimie (*Twarcz Tuwima*). Dwa lata wcześniej omsknął się o inną literacką nagrodę – Nike. Generalnie to o Nike Matywiecki ociera się od roku 2006 (nominacja dla tomiku *Ta chmura powraca*). Póki co z tego ocierania się do dziś nic nie wyszło. Ale kto wie, może tym razem nie skończy się na tarciu i Matywiecki zgarnie Silesiusa. Czas pokaże.

Marian Stala – szanowany starszy pan profesor – uważa, że: „wiersze z nowego tomu Piotra Matywieckiego mówią”. Nie jest to ostatnia niedorzeczność, którą zdarzyło się popełnić zacnemu uczonemu w następstwie kontaktów z wierszami Matywieckiego. Ośmiotysięcznikiem profesorskiego nonsensu pozostaje konkluzja:

„Jego [tj. Matywieckiego – M.T.] nowy tom to poezja bardzo wysokiej próby”

A jak „wysokiej próby” są to wiersze niech świadczy oda do zwirowni, którą Piotr Matywiecki przewrotnie nazwał **Litanią do Ziemi**:

*drwiąca zwirownio
pod głową myśląca
lekka i zwinięta*

*nie wokół słońca
a wokół siebie*

*ciężka i zwinna
przez okolice
na wylot
prześwitna siatko
nieba pod skałami*

*powiewie grawitacji
oddechu pochowany
góro równiny
lotna groto
szczycie wszystkiego*

dmuchawcu Boga.

[Litania do Ziemi]

Potrzeba kilku chwil, by ochłonać z wrażenia po tak dużej dawce poezji, tak wysokiej próby. Ile razy w życiu człowiek czyta odę do żwirowni? Ile uniesień poetyckich na temat otoczek zna kultura Zachodu?

Dlatego warto docenić trud autora, który w wielomiesięcznych dyskusjach z redaktorami Wydawnictwa Literackiego wynegocjował w końcu publikację tego dzieła. Warto było, bo doświadczywszy owego poetyckiego uniesienia odbiorca poezji Matywieckiego wzbogacony wewnętrznie sam zmienia się w poetę, któremu głos wewnętrzny podpowiada dalszy ciąg poetyckiej historii:

*smutny kamieniołomie
tłusta betoniarko
szpadlu, szypa, kielnio
i ty drewniana kasto*

*Maryja wyrabia ciasto
Syn ogień rozpala
a Mąż się opierdala*

Skoro już jesteśmy przy Świętej Rodzinie, to warto zwrócić uwagę na kolejny tekst z tomiku. Dodać należy – tekst równie wysokiej próby co oda do żwirowni. Mowa o wierszu o jakże wymownym i bogatym semantycznie tytule: * * *, w którym poeta rozważa istotę komunikacji: Ziemia / Niebo.

*Modlę się
i nie wiem co to znaczy.*

*Modlitwa nie łączy
człowieka i Boga.*

Ale to

*jest
modlitwa.*

*To ona
jest Bogiem.*

*To ona
jest człowiekiem.*

[***]

Kontemplując powyższy tekst trudno oprzeć się wrażeniu, że tuż na poziomie drugiej strofy pojawia się Najwyższa Forma Transcendencji, wobec której nie pozostaje obojętna nawet absolutna forma „najwyższej próby poezji” Piotra Matywieckiego. Bo jakże inaczej wytłumaczyć owo nienaturalne poszatkowanie wersu: „ale to jest modlitwa” niż ingerencją samego Stwórcy?

O tym, że nie tylko poeta Matywiecki, ale Stwórca w pierwszej osobie miał udział w powstaniu tekstów wchodzących w skład tomiku Powietrze i czerń świadczy kolejny tekst pt. **Sztuka prehistoryczna**. O tym jak bardzo „wysokiej próby” jest to poezja oraz ile w tym wierszu pozostałości z ingerencji Absolutu w proces twórczy niech świadczy ten fragment:

*jaskinie
wyjmuje się z ziemi
i otwiera w muzeach*

*podziemna wycinanka
wydobyta na powierzchnię
zwiedzana
zabawka Hadesu*

[**Sztuka prehistoryczna**]

Poeta Matywiecki dostarczając kolejnych Literackich Dowodów Na Istnienie Boga ujawnia swoją filozoficzną naturę. Jawi się nie tylko jako poeta ale także i może przede wszystkim jako egzystencjalista o kierkegaardowskim rodowodzie.

Inspiracja sławną alternatywą „albo-albo” jest bardzo wyraźna w wierszach polskiego poety. Matywiecki jako filozof nie zadowolili się zwykłym naśladownictwem. Przeciwnie. Przenosząc zasady egzystencjalizmu chrześcijańskiego Kirkegaarda na grunt polski udoskonalił system Duńczyka zastępując oklepaną alternatywę „albo-albo” binogacją: „ani-ani”. Oto przykłady:

str. 6

*Zawartość pokoju
to nie są skarby. Bo nie są cenne.
Ani bezcenne.*

[***]

str. 11

*Ptaki nie znają wnętrza ani zewnątrz,
ani przestrzeni, ani rzeczy w niej*

[Natura]

str. 25

*nie lękam się nieistnienia ani istnienia
bo oddycha mną
bezprzestrzenne powietrze*

[Powietrze]

str. 27

*i kiedy już nie ma
ani tła ani kartki ani lat*

[Fotografie Nelly Sachs]

Jak widać, zmiana ta okazała się być strzałem w dziesiątkę. Dzięki binegacji filozof Matywiecki dociera do takich głębin bytu, w których nic nie istnieje i co najważniejsze – zdaje z tego odkrycia relację odbiorcom swojej poezji. Innymi słowy – Piotr Matywiecki jest poetą, który z wrodzonym sobie talentem pisze o niczym.

Tomik Piotra Matywieckiego *Powietrze i czerń* powinien zostać wyróżniony we wszystkich możliwych konkursach literackich a jego autor powinien zgarnąć wszystkie nagrody jakie może zgarnąć poeta. I nie chodzi tylko o Silesiusy, Nike czy Paszporty Polityki ale przynajmniej o Nobla. Marian Stala pisząc o „poezji bardzo wysokiej próby” zapomniał podkreślić, że niektóre z tekstów Matywieckiego z omawianego zbioru, to teksty o noblowskim ciężarze gatunkowym.

I żeby inni mogli rozsmakować się w przestworzach tej głębokiej poezji, by ludzkość na własnej skórze mogła odczuć dotyk noblowskich wersów, warto – dla dobra ludzkości oczywiście – złamać zapisy prawa autorskiego i przytoczyć w całości jeden z wierszy Piotra Matywieckiego ze zbioru *Powietrze i czerń*.

Panie i Panowie, czapki z głów:

* * *

*góra
nie dźwiga siebie
żyje lekko*

ziemia w powietrzu

Bożena Keff, Utwór o Matce i Ojczyźnie

Bożena Keff zanim stała się publicystką, badaczką literatury w Żydowskim Instytucie Historycznym im. Emanuela Ringelbluma, krytyczką filmową, tłumaczką, poetką, działaczką społeczną była zapewne – jak każda kobieta – szczęśliwą mężatką. I trwałaby w szczęściu i miłości, gdyby nie ten dzień – jeden dzień, w którym to mąż na obiad zażyczył sobie bigos.

Zakochana i szczęśliwa żona kupiła wszystkie składniki. Te niezbędne, potrzebne oraz te, które do bigosu się nie nadają. Po kilku godzinach spędzonych przy garach powstał niezwykle bigos. Oprócz kapusty, mięsa w potrawie połyskiwały do połowy rozpuszczone landrynki owocowe, które świetnie kontrastowały z brokułami na tle gotowanych na twardo jaj, które kucharka także do potrawy dodała. Bigos ten, co może wydawać się niezwykle zagęszczony został zasmażką z dodatkiem rodzynek i orzeszków ziemnych. Ta mieszanina miała w zamierzeniu złamać silny odór kokosu.

Reakcja męża upewniła kobietę, by rzuciła gary i oddała mniej ambitnym zajęciom tak jak pisanie wierszy. Okazało się jednak, że kobieta jest taką samą poetką jak kucharką.

Sztuka kulinarna jest sztuką wyobraźni. Smak i potrawę należy sobie najpierw wyobrazić. Aromat chilli i czekolady połączyły się najpierw w głowie geniusza, dopiero później w miedzianym kociołku podgrzewanym na parze. Podobnie rzecz ma się z wierszami.

W 2008 r., Bożena Keff przy współdziałaniu korporacji ha!art wydała tomik pt. *Utwór o Matce i Ojczyźnie*. W dziele tym objawił się kunszt kucharsko-literacki Bożeny.

W celu ugotowania tomiku poeta wzięła wszystko, co znalazła w TV Polsat, TVN, na regale z książkami, na szafce z gazetami, w domowym zbiorze DVD.

Są tu m.in.:

Lara Croft, Żydowski Instytut Historyczny, biedna kobieta, rodzona matka, Frodo, Kora, Kronos, komuna, „Polityka”, Polański i jego „Pianista”, Żyd, Alien, Ripley, Adolf Hitler, Nosferatu, solidarność, KOR, Rakowski, Urban, internowany mąż, Werner Herzog, Klaus Kinsky,

Jak widać prawdziwe bogactwo, świadczące o wyjątkowości zaplecza intelektualno-estetycznego, z którego czerpie poetka Bożena Keff.

Poetka, by nadać tekstom pewien wyraz dodaje tu i ówdzie „kurwę” albo „kurwę flaka” [nie wiem co to, ale ufam doświadczonej kobiecie-artystce, że wie o czym pisze]. Czasami w tekście można przeczytać zwykle: „pocałuj mnie w dupę”. Dla przykładu:

*Ty zdrajczyń! Ty zbawicielsko Moja!
Czemu mnie opuszczasz w tej dolinie
Padlinie. Zamiast trwać tu przy mnie
I słuchać jak we mnie burczy flak, przelewa się moje życie wewnętrzne
Z nieszczęścia w nieszczęście, którego jesteś powołana być świadkiem*

*Korusiu srusiu!
I nie ma dla ciebie innych powołań
kurwa flak!*

[pieśń Meter. Ty zdrajczy]

Albo:

*Struchlałe ze strachu stoi zamarle z opuszczenia, jelita żółdek serce
ścięte w lodowaty supeł,
na twarzy krzywy uśmieszek ironii wobec tej kretynki
który już jej zostanie na lata jako znak wyższej inteligencji
i ogólnego pocałuj mnie w dupę*

[przyszła pora, gdy córka]

Tomik ma osobliwy układ formalny. Podzielony został na kilka części. Każda opatrzona została tytułem. Ale próżno szukać w książce spisu treści, który ułatwiłby orientację w gmatwaninie różnej rangi nagłówków.

Mała uwaga dla wydawnictwa: natychmiast zwolnić osobę odpowiedzialną za typografię.

Wydawca zamiast spisu treści umieścił na końcu książki siedemnastostronicową analizę bigosu poetyckiego Bożeny Keff, pod którą podpisały się:

Maria Janion
Izabela Filipiak

Która z pań pisała a która dyktowała? – Tego się nie dowiadujemy z analizy. Dowiemy się natomiast, że:

*„matka z **Utworu o Matce i Ojczyźnie** jest polską Żydówką, która jedyna z całej rodziny przeżyła Holokaust”*

Na tym poziomie interpretacji pojawia się pewna nieścistość. Być może jest ona skutkiem nieuwagi, może prowokacją. Trudno o tym przesądzić. W każdym razie Janion & Filipiak pomijają motyw **Ósmego pasażera Nostromo**. Motyw istoty obcej – kosmicznego szkodnika z wysuwaną szczęką i kwasem zamiast krwi nie może zostać pominięty w analizie poezji Bożeny Keff. W wierszu **Statek Nostromo** czytamy:

*Dekadę później bunty zeszyły głęboko pod glebę
rodzinnego życia, które zapanowało jako wybawienie od rodzinnego życia.
Ripley jest teraz dorosła, wiele się zmieniło lecz w sumie niewiele,
a poza tym świetnie
się toczy życie na pokładzie rodzinnego statku. Alien jest w składzie załogi*

[Statek Nostromo]

„Alien w składzie załogi” pojawia się na 26. stronie tomiku. Do końca książki, czyli przez pięćdziesiąt trzy strony nie zaatakujecie on „matki z *Utworu o Matce i Ojczyźnie*”. Dlatego też uzasadnione będzie rozszerzenie interpretacji Janion & Filipiak:

matka z *Utworu o Matce i Ojczyźnie* jest polską Żydówką, która jedyna z całej rodziny przeżyła Holokaust oraz atak Aliena, *ósmego pasażera Nostromo*.

Panie Janion & Filipiak mimo podjętego trudu (częstotliwość używania fraz: „Żydówka matka, Holocaust – jest w tej kilkunastostronicowej analizie imponująca), nie są w stanie przekonać czytelnika, że lektura tomiku Bożeny Keff to przygoda z literackim bigosem, do którego autorka wrzuciła wszystko co miała w swojej literackiej kuchni.

Połączenie na jednej przestrzeni literackiej – a tak jest przecież odbierany tomik – tolkienowskiego *Hobbita* z Mieczysławem Rakowskim jest piramidalnym głupstwem, z którym może się równać tylko koktajlowa kombinacja wędzonej szprotki z truskawkami i winem za 4,50 zł za butelkę.